

JERZY EDIGEY

## **Walizka z milionami**

„KB”

### **ROZDZIAŁ I**

#### **Bank zamknięty**

Deszcz ciągle padał. Właściwie nie deszcz, mżawka. Taka, przed którą nie ochroni ani parasol, ani płaszcz. To już drugi dzień podlej pogody. Jak gdyby nie rozpoczynał się wrzesień, lecz kończył listopad. Ludzie śpieszący do pracy czy też na dworzec, a większość mieszkańców Łowicza pracuje w stolicy, całą swoją uwagę skupili na ostrożnym wymijaniu wielkich kałuż na chodnikach i na jezdniach ulic.

Nikt więc nie zwracał uwagi na człowieka w granatowym płaszczu i o identycznym kolorze czapce-maciejówce ze znaczkiem błyskawicy, obarczonego brązową, zniszczoną torbą, zawieszoną paskiem na ramieniu. Ot, zwykły pracownik centrali telefonicznej lub elektrowni, który udaje się na obchód swojego rejonu albo idzie usunąć jakieś uszkodzenie na linii.

Mężczyzna w granatowym płaszczu spojrzął na zegarek. Wskazówki jego „Rakiety” ustawiły się: duża na dziewiątej, mniejsza nieco niżej. Za kwadrans ósma! Mężczyzna podszedł do pobliskiego transformatora elektrycznego, otworzył go wyjętym z torby kluczem i zaczął manipulować wewnątrz.

To trwało bardzo krótko. Najwyżej minutę. Człowiek w granatowym płaszczu starannie zamknął stalowe drzwiczki transformatora i z kolei skierował się do skrzynki z łączami telefonicznymi. Miał klucz i do niej. Tutaj także szybkimi, ale pewnymi i zdecydowanymi ruchami, wyciągnął z gniazdek kilka wtyczek, a potem starannie zamknął metalowe pudło.

Teraz mężczyzna bez pośpiechu skręcił w jedną z odchodzących od łowickiego rynku bocznych uliczek. Tutaj, niedaleko zakrętu, tuż za wysokim murem, opatrzonym solidną bramą i furtką stał jasny fiat. Przy bramie człowiek w granatowym płaszczu jeszcze raz sięgnął do swojej torby. Wydobył trzeci klucz i włożył go do dziurki zamka furtki. Rygiel odskoczył z cichym szczękiem, drzwi

uchyliły się na kilka centymetrów.

Już nie z torby, lecz z kieszeni płaszcza mężczyzna wyjął kółko z kluczami samochodowymi. Rozejrzał się uważnie. Nikt go nie obserwował, więc otworzył kluczem drzwi auta i wśliznął się cło środka. Tutaj ściągnął z siebie mokry płaszcz i zdjął maciejówkę. Został w eleganckim ciemnym garniturze. Biała koszula, do tego dobrze dobrany, spokojny krawat. Biała chusteczka w górnej kieszonce marynarki dopełniała kompletu.

Silnik od razu zaskoczył. Ale kierowca nie uruchamiał wozu. Trzymał go „na luzie”. Swoją granatowy płaszcz i skórzaną torbę wraz czapką wsunął pod siedzenie tak, że nie było ich w ogóle widać. Czekał.

A tymczasem w momencie, kiedy człowiek w granatowym płaszczu wyłączał prąd elektryczny w tej części rynku, na schody Spółdzielczego Banku Ludowego wchodziło trzech mężczyzn w jasnych prochowcach. Wszyscy hołdowali modzie wąsów. Gęsty zarost pokrywał nie tylko ich brody, ale także i policzki. Każdy z tej trójki miał na głowie albo cyklistówkę, albo kapelusz z dużym rondem.

Spółdzielczy Bank Ludowy w Łowiczu mieści się w niewielkim dwupiętrowym domu na rynku miasta. Z boku kamieniczki jest brama i schody prowadzące na piętra zamieszkałe przez różnych lokatorów. Cały parter zajmuje dość duża salka operacyjna, gdzie pracuje większość urzędników. Poza tym jest tu jeszcze gabinet dyrektora i pokój, gdzie urzęduje księgowość, oraz pomieszczenie bez okien, szumnie zwane „skarbcem”, gdyż stoją tu pod ścianą trzy duże kasy pancerne. Skarbiec dzieli od sali operacyjnej masywne dębowe drzwi obite stalową blachą oraz nie mniej solidna krata zamykana na wielką kłódkę.

Spółdzielczy Bank - Ludowy w Łowiczu jest bardzo ważną placówką przede wszystkim dla rolników, mieszkańców powiatu. Tutaj otrzymują oni kredyty inwestycyjne. Tutaj też inkasują wszelkie należności za dostawy zboża i za kontraktację żywca. A wrzesień to dla rolników dobry miesiąc. Odstawia się zboże. Na stacji kolejowej w Łowiczu i w innych pobliskich miejscowościach tegoż powiatu kolejarze codziennie doczepiają do pociągów kilka lub nawet kilkanaście wagonów z trzodą chlewną i bydłem. A potem hodowca zgłasza się z kwitem do banku, aby zainkasować należną mu gotówkę.

Aby usprawnić załatwianie spraw klienteli bank rozpoczął pracę o godzinie siódmej rano, a punktualnie o ósmej woźny otwierał z klucza frontowe wejście do banku. Kasy rozpoczynały wypłaty. Już pół godziny przedtem na chodniku zwykle

stała spora grupka czekających na tę chwilę. Ale dzisiaj nie było nikogo. W taką pogodę nikt z samego rana nie kwapił się z wyprawą do banku.

Kiedy brodacze znaleźli się przed jego drzwiami, woźny poinformował ich przez małe okienko:

- Bank jeszcze zamknięty. Otwieramy o ósmej. Za kwadrans.
- My do dyrektora Drzewieckiego. Jesteśmy umówieni. Z Warszawy, z Centrali Rolno-Spożywczej - to mówiąc jeden z trójki pokazał przez szybkę legitymację w brązowej okładce.

Gdyby przybysze podali jakiś błahy powód odwiedzin banku przed jego otwarciem, woźny na pewno by ich nie wpuścił. A przynajmniej poszedłby do dyrektora Stanisława Drzewieckiego z pytaniem o dyrektywy. Ale nawet w Łowiczu, choć to tak blisko stolicy, działa magia słów „My z Warszawy” i do tego „z Centrali”. Woźny nie wahając się więc ani chwili przekręcił klucz w zamku i trzech mężczyzn znalazło się wewnątrz. W niewielkim przedpokoju, spełniającym rolę zarówno dyżurki, jak i szatni.

Teraz wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Siedzący w dyżurce wartownik właśnie przeglądał gazetę, którą kupił idąc do pracy. Nagle i on, i woźny zobaczyli w rękach interesantów wymierzone w siebie pistolety.

- Spokojnie! Nie ruszać się. Bo strzełę.

W głosie mówiącego wyczuwało się pewność, że bez namysłu spełni swoją groźbę.

A tymczasem drugi z napastników zabrał wartownikowi karabin stojący koło krzesła, a trzeci umocował na zewnętrznej ścianie drzwi duży napis:

**BANK DZIŚ OTWARTY OD GODZINY DZIEWIĄTEJ.**

**PRZEPRASZAMY.** Klucz tkwił w drzwiach. Napastnicy nie mieli zatem żadnych trudności z ich zamknięciem. Od zewnątrz nic im na razie nie groziło. Trzymając pistolety w pogotowiu, polecili swoim dwóm więźniom:

- Idziemy na salę. Tylko bez głupstw.

Woźnemu i wartownikowi nie pozostało nic innego, jak usłuchać tego rozkazu.

Ukazanie się tej grupki na sali operacyjnej początkowo nie wzbudziło niczyjego zainteresowania. Urzędnicy siedzieli przy okienkach i przy biurkach, szykując się do codziennej bankowej „młocki”. Kasjer i „dyrektor oraz jeden z

urzędników znajdowali się właśnie w skarbcu. Stali przy otwartej kasie pancерnej i wyjmowali z niej pieniądze do walizki, którą codziennym zwyczajem przenoszono potem do boksu kasjera.

Jeden z napastników zatrzymał się przy wejściu. Drugi szybko przeszedł, a właściwie przebiegł przez salę i stanął w drzwiach skarbcza. Trzeci brodacz wybrał miejsce na środku sali. Podniósł pistolet i dwukrotnie strzelił w sufit.

- Wszyscy wstać! Ręce do góry! - zakomenderował.

Wybuchła mała panika. Jedna z urzędniczek zaczęła krzyczeć. Napastnik skierował lufę swojej broni w jej kierunku.

- Cisza! Bo strzelam - powiedział dobitnie.

Kobieta zamilkła.

Tymczasem jeden z pracowników banku, ten, który znajdował się obok boksu kasowego i do którego należało przyjmowanie i sprawdzanie czeków oraz innych poleceń wypłaty, nie stracił zimnej krwi. Nacisnął nogą znajdujący się pod biurkiem guzik alarmowy. Ale głos syreny nie rozległ się. Również w niedalekiej komendzie milicji nie zapaliło się czerwone światło alarmu. Także zamki elektryczne, mające w tym momencie zablokować wszystkie wyjścia z budynku, nie drgnęły. W tej części miasta prąd elektryczny był wyłączony.

Pracownicy banku wstawali ze swoich miejsc i podnosili ręce do góry. Ludzie w skarbcu zamarli z przerażenia widząc naprzeciwko siebie lufę pistoletu.

- Wszyscy do pokoju dyrektora! - zakomenderował napastnik znajdujący się na środku sali. - Prędko i bez żadnych figli.

- Wy też - uzupełnił brodacz stojący na progu skarbcza. - Ruszać się!

Pokój dyrektora Drzewieckiego był obszerny. Prócz biurka znajdował się tu długi stół pokryty zielonym sukniem i kilkanaście krzeseł. Tutaj odbywały się narady bankowe i tutaj też przyjmowano tych interesantów, którzy chcieli bez świadków rozmawiać z kierownictwem. Teraz w pomieszczeniu z dwoma oknami wychodzącymi na podwórze zrobiło się tłoczno. W progu stanął jeden z napastników:

- Wszyscy siadać - polecił. - Na krzesłach lub na podłodze.

Ten rozkaz również wykonano bez sprzeciwu.

Pozostali dwaj mężczyźni weszli do skarbcza. Z leżącej na podłodze walizki wyrzucili paczki z banknotami po dwadzieścia i po pięćdziesiąt złotych oraz woreczki z bilonem. W zamian ładowali w nią najpierw znajdujące się na górnej półce kasy pancерnej banknoty tysiączłotowe, paczkowane po sto sztuk. Gdy już tych zabrakło,

opróżnili kasę z pięćsetek i uzupełnili zawartość starej walizki setkami. Kiedy była pełna, jeden z bandytów zamknął ją i przewiązał paskiem wyjętym z kieszeni płaszcza.

Cholera, jakie to ciężkie - syknął próbując unieść łup.

- Dziwisz się.? - roześmiał się drugi z brodaczy. - W tej walizeczce jest, tak na oko licząc, ponad cztery miliony złotych.

- No to spływamy.

- Spokojnie. Idź najpierw do drzwi i zobacz, czy nikogo nie ma. Ja wezmę walizkę.

Obaj wyszli ze skarbcza. Jeden skierował się do drzwi, drugi wraz z łupem podszedł do napastnika pilnującego ludzi stłoczonych w pokoju dyrektora.

- No proszę - roześmiał się - jak sobie grzecznie siedzą. My już gotowi - dodał zwracając się do kolegi.

- Droga wolna - meldował trzeci spod drzwi.

- Macie tu spokojnie siedzieć przez pół godziny. Jeżeli przez ten czas ktoś podniesie alarm, wrzucę przez okno granat - to mówiąc podniósł do góry owalny czarny przedmiot, aby żaden z pracowników banku nie miał wątpliwości, co im grozi. Czy to był naprawdę granat? Nikt mu się dokładnie nie przyglądał.

Drzwi gabinetu dyrektora Zostały zamknięte na klucz. Ludzie znajdujący się wewnątrz usłyszeli szybkie kroki przez salę operacyjną, a następnie odgłos otwieranych i zamykanych drzwi od ulicy. Siedzący najbliżej okien zerwali się z podłogi i rzucili do krat, żeby podnieść alarm. Ale natychmiast musieli wrócić na swoje miejsca. Na podwórzu, tuż przy jednym z okien, stał ten sam brodacz, który ich pilnował.

- Spokój - warknął. - Co mówiłem?

Sterroryzowani granatem, odskoczyli od okna i przywarowali na podłodze.

Upłynęło kilka minut, długich jak wieczność. Dyrektor Drzewiecki, który siedział przy biurku, zerknął w kierunku okna. Sylwetka napastnika zniknęła, więc delikatnie zdjął słuchawkę telefonu z widełek. Sygnału jednak nie było. Nie pomogło naciskanie widełek. Telefon milczał.

- Pewnie przecięli druty - szepnął jeden z młodszych pracowników banku, siedzący na podłodze obok biurka. - Wyjrzę. Może już poszli?

Chwilę obserwował podwórko, ale nikogo tam nie dostrzegł.

- Już tych drani nie ma - zauważył i otworzył okno.

Wszyscy zerwali się ze swoich miejsc. Ktoś naiwny nacisnął klamkę drzwi. Naturalnie bez oczekiwanego skutku. Ktoś inny napał na drzwi całym ciałem, aby utorować drogę do wolności. Ale masywne dębowe deski, obite na dodatek dźwiękoszczelną skórą, ani drgnęły.

- Nie poradzimy - zaopiniował kasjer. - Trzeba przez okno wezwać pomocy.

Mało było jednak nadziei na szybką odsiecz. Mieszkańcy lokali na wyższych piętrach opuścili dom udając się do pracy, do szkół lub po zakupy. Krzyki przez dłuższy czas nikogo nie zaalarmowały. Wreszcie na podwórzu zajrzał jakiś klient banku, który przeczytawszy tabliczkę o późniejszym otwarciu kasy przechodził koło bramy, wiodącej na podwórko i posłyszał wołanie o pomoc.

- Co się tu dzieje? - zapytał zdziwiony widząc tyle twarzy w dwóch oknach.

- Napad na bank - wyjaśnił dyrektor Drzewiecki. - Jesteśmy zamknięci. Proszę natychmiast zawiadomić milicję.

- Napad? - zdziwił się rolnik. - A gdzie napastnicy? - Już uciekli. Zamknęli nas w jednym pokoju. Wezwijcie milicję. Jak najprędzej.

- Naprawdę? - rolnik obawiał się, że ktoś z niego kpi.

- Panie Marchlewski - kasjer znał tego interesanta. - Niech pan biegnie po milicję. Każda chwila jest droga.

Dopiero teraz Marchlewski zdecydował się usłuchać prośby.

Tymczasem trzech napastnicy, po zamknięciu wszystkich urzędników w gabinecie Drzewieckiego, spokojnie opuścili bank wraz ze swoim cennym łupem. Starannie zamknęli za sobą drzwi wejściowe, przeszli chodnikiem rynku kilka metrów i skręcili w podwórzu starej kamieniczki. Tutaj jeden z brodaczy skutecznie przeszkodził przedwczesnemu, jego zdaniem, wszczęciu alarmu przez więźniów. Chwilę jeszcze stał przed oknem, czekając, aż jego towarzysze przejdą przez podwórko i z cenną walizką przedostaną się furtką w murze na boczną uliczkę, biegnącą od rynku. Tu kilka metrów za bramą stał jasny fiat. Walizkę wrzucono do bagażnika. Dwaj brodacze zajęli miejsca na tylnym siedzeniu, prawe przednie drzwi pozostawili otwarte. Potem do grupki dołączył pozostały bandyta i usiadł obok kierowcy. Samochód ruszył.

- Tak im popędziłem kota, że przynajmniej przez dziesięć minut żaden nosa za okno nie wystawi - roześmiał się.

Kierowca nic nie odpowiedział. Chwilę kręcił po uliczkach Łowicza, wreszcie

skierował wóz najkrótszą drogą w stronę stacji kolejowej, W pewnym miejscu zatrzymał.

- Wysiadać - polecił.

Trzej mężczyźni posłusznie wysiedli i szybkim krokiem poszli na dworzec, gdzie zmieszali się z małym tłumkiem ludzi oczekujących na peronach. Jasny fiat pojechał dalej, do przejazdu kolejowego. Przejazd był otwarty i wkrótce samochód nabral prędkości. Jechał szosą warszawską, w stronę stolicy.

Zaalarmowana milicja przybyła w ciągu kilku minut. Ale milicjanci nie mogli się dostać do wewnątrz. Trzeba było sprowadzić specjalistę, aby otworzył drzwi wejściowe, a później dobrał wytrych dla uwolnienia pracowników banku, zamkniętych w pokoju od podwórza. Wreszcie bladzi i zemocjonowani urzędnicy mogli opuścić swoje więzienie.

Akcją milicyjną kierował porucznik Mikołaj Stolarczyk, Z Warszawy, z Komendy Wojewódzkiej MO, przyjechała w niecałą godzinę później liczna ekipa dochodzeniowa z majorem Witoldem Potapowiczem na czele. Porucznik, orientując się, że Warszawa obejmie dochodzenie, nie przeprowadzał przesłuchań, a jedynie starał się zabezpieczyć wszelkie ślady i ustalić stan faktyczny. Jeden z milicjantów zażądał drabiny i stojąc prawie na jej wierzchołku wydłubał dwa pociski wystrzelone przez bandytę i tkwiące w suficie.

Po przybyciu majora Potapowicza rozpoczęły się przesłuchiwanie świadków. Zaczęto od woźnego i wartownika. Później zaproszono na rozmowę dyrektora, kasjera i urzędnika, który był w skarbcu. Z kolei pozostali pracownicy banku opowiedzieli oficerowi milicji, w jaki sposób przebiegała akcja napadu i co charakterystycznego zauważyli. Ekipa daktyloskopowa zbierała odciski palców. Wezwani monterzy szybko znaleźli przyczynę niedziałania telefonów i brak prądu elektrycznego.

Dochodzenie na miejscu w banku przeciągnęło się do późnych godzin wieczornych. Na rynku przed Spółdzielczym Bankiem Ludowym stale gromadziły się tłumy gapiów. Wieść o zuchwałym napadzie rozeszła się w mgnieniu oka po całym mieście. Dwóch mundurowych milicjantów na próżno przepędzało ciekawskich. Jedni odchodzili, żeby zaraz wrócić, inni trzymali się trochę dalej budynku bankowego, ale także nie myśleli o opuszczeniu punktu obserwacyjnego.

Wreszcie gdzieś po ósmej wieczorem drzwi wejściowe otworzyły się i pracownicy bankowi grupkami opuszczali budynek, w którym przeżyli dziś takie

emocje. W pomieszczeniach pozostali tylko milicjanci, dyrektor Drzewiecki oraz wartownik z nocnej zmiany.

- Może pan major zostawiłby na noc któregoś ze swoich ludzi? -

zapropozował dyrektor.

• Po co? - uśmiechnął się oficer milicji. - Nie ma obawy, drugi raz już nie przyjdą. Wiedzą, że nie macie, forsy.

- Czy jutro otwieramy?

• Co mieliśmy do zrobienia na miejscu, zostało zrobione - wyjaśnił major. - Skończyliśmy naszą robotę w banku. A co do jego otwarcia, decydujcie sami albo niech o tym postanowią władze zwierzchnie. Mnie się wydaje, że bank powinien być otwarty jak najszybciej.

• Naturalnie - zgodził się porucznik Stolarczyk. - Wasi klienci mają zbyt wiele roboty w polu, aby na próżno przyjeżdżać po swoje pieniądze.

- Porozumiem się z Warszawą - zdecydował Drzewiecki.

- Wychodzimy - postanowił major.

Oficerowie milicji pożegnali się z dyrektorem i poszli do Komendy Powiatowej MO. Tutaj major Potapowicz, porucznik Stolarczyk i komendant powiatowy pułkownik Leśniewski odbyli pierwszą naradę. Oficerowie milicji nie mieli zbyt zadowolonych min. Wyniki pierwszego dochodzenia były więcej niż skąpe.

Porucznik Stolarczyk zreferował swojemu szefowi przebieg napadu:

• Napastnicy doskonale orientowali się w rozkładzie budynku i w zwyczajach panujących w banku. Działali bezbłędnie. Cały napad trwał niewiele ponad dziesięć minut. Uciekli przez podwórze na boczną uliczkę, gdzie, jak zdołaliśmy ustalić, czekał na nich samochód, jasny fiat. Niestety, padał cały czas deszcz, przechodniów było mało, zresztą ani oni, ani mieszkańcy sąsiednich domów nie interesowali się wozem i jego kierowcą. Urządzenia alarmowe banku były w największym porządku. Nie działały dlatego, że bandyci wyłączyli elektryczność w tej dzielnicy Łowicza. To samo dotyczy telefonów. Wykonali to fachowo. Jedna z ekspedientek sklepu spożywczego przypomina sobie, że widziała jakiegoś osobnika w ciemnym płaszczu i w czapce, jak manipulował przy transformatorze. Wtedy zgasło światło w pokoju na zapleczu sklepu.

- Czy rola tego woźnego, który otworzył drzwi bandytom, i strażnika



pozwalającego się rozbroić nie budzą waszych podejrzeń? - zapytał pułkownik.

- Ja bym ich obu na wszelki wypadek, przymknął - stwierdził porucznik.
- Sądzę, że nie należy tego robić - zaproponował major Potapowicz. -

Dotychczasowy materiał dochodzenia nie, daje najmniejszych podstaw do zatrzymania tych ludzi. Bandyci wykazali dużo sprytu, ponieważ liczyli się z faktem, że woźny nie zechce ich” wpuścić. Ubezpieczyli się przed tą ewentualnością.

Dyrektor Drzewiecki zeznał, są na to też inni świadkowie, że wczoraj telefonowano do niego z Warszawy, rzekomo z Centrali Rolno-Spożywczej, zapowiadając na dzisiaj przyjazd trzech pracowników Centrali. Gdyby więc nawet woźny nie od razu wpuścił przybyłych, a poszedł zapytać dyrektora, Drzewiecki na pewno poleciłby mu otworzyć drzwi. A wtedy sprawy potoczyłyby się takim samym biegiem. Strażnik dał się zaskoczyć, to fakt, ale sądzę, że każdy z nas na jego miejscu nie byłby bardziej ostrożny. Zresztą strażnik uzbrojony był w karabin, a ta długa broń jest całkowicie nieprzydatna do służby w zamkniętym pomieszczeniu. Nawet gdyby karabin nie stał oparty o krzesło, ale znajdował się w ręku właściciela, skutek byłby ten sam.

- Czy ja wiem? - pułkownik zastanawiał się nad słowami Potapowicza.
- Nie twierdzę bezwzględnie, że woźny i strażnik nie mieli przedtem

kontaktów z napastnikami, ale uważam to za mało prawdopodobne - bronił swojego stanowiska major. - Jeżeli któryś z nich jest winnym, to na razie dałbym im spokój i nie zatrzymywałbym żadnego z nich. Lepiej poddać ich bacznej obserwacji. Może w ten sposób doprowadzą nas do głównych sprawców napadu?

- Bandyci musieli mieć współnika na terenie banku - upierał się porucznik. -

Skąd by tak dobrze znali rozkład pomieszczeń? Skąd by wiedzieli, że „urzędnicy zaczynają pracę o siódmej rano, a kasy otwiera się godzinę później? Wreszcie klucz do furtki na podwórzu. Tamtędy napastnicy uciekli. Przecież furtka jest stale zamknięta.

Major uśmiechnął się.

- Drogi kolego - powiedział - podejmuję się ten zamek otworzyć w ciągu dwóch minut przy pomocy zwykłego gwoźdźca odpowiednio zagiętego. A ludzi, którzy planują taką akcję, na pewno stać było na bardziej precyzyjny wytrych. Łatwo też poznać rozkład pomieszczeń bankowych. Wystarczyło złożyć w tym lokalu choć jedną wizytę, aby być doskonale zorientowanym. Przecież poza salą operacyjną i szatnią jest tam jeszcze tylko pięć innych pokoi. Zwyczaje panujące w banku nie są dla nikogo tajemnicą. Godziny otwarcia kas są podane na drzwiach wejściowych. A

wiadomo, jeśli kasy otwiera się o ósmej, to pracownicy banku muszą przyjść przynajmniej pół godziny przedtem. Co zaś do pieniędzy, trzeba je wyjąć ze skarbca i dostarczyć do okienek kasowych przed wejściem pierwszych klientów. Jestem przekonany, że bandyci przez pewien czas dokładnie obserwowali bank i zebrali wszelkie potrzebne im informacje. Żeby je uzyskać, nie musieli szukać współnika wewnątrz, chociaż nie można wykluczyć, że go mają.

- A wyłączenie światła i telefonów? - upierał się porucznik Stolarczyk.
- Tak - przyznał Potapowicz. - Tutaj sprawa jest bardziej skomplikowana.

Człowiek, który to zrobił, albo ma odpowiednie wykształcenie techniczne, albo wieloletnią praktykę. To zresztą, jak dotychczas, jedyna wskazówka dotycząca personaliów jednego z bandytów.

- Jeszcze jasny fiat - mruknął pułkownik.

- Na pewno skradziony - odparował major. - A jeśli nie skradziony, to odnalezienie wozu i tak nie będzie łatwe. Identycznych jest w Polsce co najmniej kilka tysięcy. Pójdziemy tym śladem, ale wątpię w sukces.

- A daktyloskopia?

- Będziemy mieli wyniki w ciągu jutrzejszego dnia.

Technicy zebrali dużo materiału i wzięli też odciski wszystkich pracowników banku. Ale świadkowie, którzy stali bliżej napastników, twierdzą, że nosili rękawiczki. Tak więc i tutaj - powiedział major - nie należy liczyć na zbyt wiele.

- Co z rysopisami napastników? - nadal dopytywał pułkownik.
- Opisano ich dość dokładnie: wszyscy noszą duży zarost i ciemne okulary.

U jednego ten zarost jest rudawy, u dwóch pozostałych ciemny. Głowy mieli przykryte bądź czapką, bądź kapeluszem. Wzrost jednego powyżej średniego. Tak około stu osiemdziesięciu centymetrów albo więcej.- Dwaj inni: wzrost średni. Tyle zdołaliśmy ustalić.

• Tyle co nic. Zarost to najlepszy sposób zamaskowania twarzy. Na pewno do tej pory po tych bakach i brodach nie pozostało ani śladu. A okulary wyrzucone. A zatem - podsumował szef Komendy Powiatowej MO - właściwie nie dysponujemy w tej chwili niczym konkretnym, co mogłoby nam ułatwić wykrycie sprawców napadu.

- Niestety, nie mamy - potwierdził major.

- Komenda Wojewódzka przejmie dochodzenie?

- Przypuszczam, że tak. Naturalnie przy waszej czynnej pomocy.

- Oczywiście. Postaramy się przeprowadzić najszerszy wywiad miejscowy. Może znajdziemy jakiś ślad. Jestem jednak przekonany, że napastnicy są z Warszawy.

- Na razie bawimy się w zgadywanke - odpowiedział major. Ja najbardziej jednak liczę na to, że bandyci zrobią teraz jakiś błąd.
- Jak można teraz zrobić błąd? - zdziwił się porucznik. Przecież nie zostawili żadnych śladów. Bank nie zapisywał numerów banknotów.

- Tak, ale zrabowano przeszło cztery miliony złotych. Nie każdy potrafi spokojnie siedzieć w domu, pracować w fabryce albo w biurze z pensją dwóch lub trzech tysięcy złotych miesięcznie, mając w szafie walizkę z taką fortuną. Bandyci nie przemogą w sobie chęci wydawania zdobytych pieniędzy. I to jest nasza największa szansa.

## ROZDZIAŁ II

### Tajemnica Lasku Bielańskiego

Nazajutrz deszcz już nie padał, ale nadal było zimno i ciężkie ołowiane chmury wisiały tuż nad ziemią. Pogoda nie sprzyjała spacerom. A pomimo to w Lasku Bielańskim ścieżką wzdłuż wysokiego brzegu Wisły przechadzał się jakiś mężczyzna. Najwidoczniej umówił się z kimś na spotkanie, bo często i nerwowo spoglądał na zegarek. Dochodziła czwarta po południu.

Wreszcie od strony ulicy Dewajtis ukazała się sylwetka drugiego człowieka. Szedł ostrożnie coraz to oglądając się na wszystkie strony, jak gdyby obawiał się, że jest śledzony. Podeszedł do czekającego. Przywitali się.

- Czekam prawie pół godziny.
- Sam jesteś? - zdziwił się przybyły.
- Panowie hrabiowie nie grzeszą punktualnością. Byliśmy umówieni na wpół do czwartej - zauważył pierwszy z mężczyzn.
- Spóźniłem się, ale musiałem się przesiadać z tramwaju do taksówki i później znowu do autobusu. Zdawało mi się, że ktoś lezie za mną.

Wyższy z mężczyzn wzruszył ramionami.

- Strach cię obleciał! Kto by miał ciebie śledzić? Zwariowałeś?!
- Być może, myliłem się, ale czy to dziwne, że po tym wszystkim mam trochę nerwy rozdygotane? Gdyby nas nakryli? Nie daj Boże nawet pomyśleć.

- Nie bój się, nie nakryją.
- Czytałeś dzisiejsze gazety?

- Pewnie, że czytałem. Ale narobili krzyku. To nic, popiszą i przestaną.

- Jeden z dzienników podał, że „milicja jest na tropie zuchwałych bandytów - zacytował niższy.

- Nie bądź frajer. Zawsze tak piszą. Dla fasonu i żeby się MO przypodobać.

Przecież nie mogą rąbać „milicja nie znalazła żadnych śladów i nie wie, co dalej robić”. No nie?

- Niby racja, rozumiem, ale mimo to trochę się boję.
- Włos nam z głowy nie spadnie. Teraz tylko przywarować jakiś czas i cicho siedzieć, dopóki się nie uspokoi.

Zza drzew wyszedł trzeci spacerowicz.

• Kazika jeszcze nie ma? - zdziwił się witając z kolegami. - Myślałem, że tylko na mnie czekacie.

• Ty też punktualnie przyszedłeś! - usłyszał w odpowiedzi wymówkę. - Czekając tu na was można dostać lumbago. Sterczę nad wodą przeszło pół godziny.

• To ci się, bratku, dobrze opłaci - ostatni z przybyszów był w doskonałym humorze. - Czytaliście chyba prasę? Cztery miliony sto siedemdziesiąt trzy tysiące złotych. Po milioniku dla każdego, na rączkę. Starczy na samochód, porządne „mieszkanie i dobrą zabawę. Dziesięć minut strachu i spokój do końca życia. Trzeba przyznać, że Kazik wszystko zorganizował na medal.

• Ale co się z nim dzieje? Dlaczego go nie ma? - denerwował się ten najbardziej przestraszony.

• Pewnie pieniążki liczy i pakuje w paczki. Paczuszka dla każdego. Elegancko przewiązana sznureczkiem, a w środku tysiąc „nalepek”. Małe to, poręczne, a jakie miłe. Kochana paczuszka. Już widzę, jak ją targam do chałupy.

Gdzieś daleko trzasnęła łamana gałązka. Jeden z mężczyzn podskoczył na ten odgłos. Pozostali, widząc przerażenie swojego towarzysza, aż się roześmieli.

- Ależ ty, Zygmunt, jesteś nerwowy.

- Co zrobić? Nie mogę się opanować. Całą noc nie spałem.

- A oto Kazik!

Tak długo oczekiwany Kazik zbliżył się i przywitał z przyjaciółmi.

- Co tam, chłopcy? Jak samopoczucie? Pięknie jesteście ogoleni i ostrzyżeni.

Widzę, że śladu nie zostało z tych wąsików i bród. Cacy, cacy!

- To nie było za mądre - zaoponował Zygmunt. - Prasa pisała o trzech brodaczach, a teraz każdy z mojego otoczenia będzie się dziwił, że raptem chodzę bez wąsów i brody. Akurat na drugi dzień po napadzie. Może wydać się podejrzane.

Kazik ręką machnął.

- Przecież dlatego kazałem wam wziąć urlopy. Przedtem mieliście mniejsze zarosty. Nikt się nie zdziwi, jak wrócicie bez nich. Nikt nie zwróci uwagi, że zgoliliście brody.

- Zygmunt w ogóle robi w portki ze strachu - zaśmiał się jeden z czwórki.

- Nie ma powodu. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. Nie darmo myślałem nad tą akcją przeszło dwa lata. Przewidziałem wszelkie warianty sprawy. Wymierzyłem

stoperem jak najdokładniej czas każdej czynności. Kiedy jechaliśmy wozem na dworzec kolejowy i potem wysiedliście, wiedziałem co do minuty, o jakiej porze dojdziecie do stacji i powrócicie do Warszawy. Zaplanowałem także, z jaką szybkością wracać do miasta, aby mnie jakiś przypadkowy patrol nie zatrzymał na drodze i nie zajrzał do bagażnika.

- A forsa?

- Na nią także przygotowałem schowek. Cała milicja, choćby stanęła na głowie, będzie szukała tej walizki do końca świata. Nawet diabeł nie znajdzie tych ciałków. Tak je schowałem. A wiadomo, gdyby kogoś z nas podejrzewali o udział w robocie, jak długo nie dojdą do pieniędzy, włos nam z głowy nie spadnie.

- Ja tam sobie postanowiłem - wtrącił Tadeusz - że gdyby mnie przyskrzynili, będę wszystkiemu zaprzeczał. Bez dowodów winy jesteśmy całkowicie kryci. W razie wyspy, trzeba twardo się zapierać.

- Nie będzie żadnej wyspy. Nie myślcie o tym. Zygmunt niepotrzebnie się denerwuje. Forsę mamy dobrze zabezpieczoną, plan udał się ha sto dwa.

- Najlepiej - uzupełnił Andrzej - prowadzić normalny tryb życia i jeżeli w naszej obecności ktoś zacznie mówić o napadzie, brać udział w tej rozmowie, wyrażając przekonanie, że w najbliższym czasie milicja znajdzie i przytknie całą szajkę.

- Diabła zjedzą, zanim nas znajdą - roześmiał się Kazik. - Zygmunt może być spokojny. Nikt go nie śledzi. To tylko urojenia chorych nerwów. Trzeba się wziąć

w garść, bo inaczej naprawdę można narobić głupstw. Spokój i tylko spokój.

- To samo i ja temu durniowi tłumaczę.
- Ja to rozumiem, ale nie mogę się opanować.

- Na dzisiejsze spotkanie jechał tramwajem i taksówką, bo mu się przywidziało, że go śledzą.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi, ale zbyt wielka także może wzbudzić podejrzenia. A ty, Tadek, w przeciwieństwie do Zygmunta, jesteś za bardzo pewny siebie.

- Co możesz mi zarzucić?
- Mówiłem, że każdy z was ma się pozbyć nie tylko brody i wąsów, ale

również czapki i płaszcza. A ty w nich nadal paradujesz, jak gdyby nic.

- Ja swój zaraz wczoraj spaliłem - pochwalił się Zygmunt.

- Takich płaszczy i czapek jest w Warszawie najmarniej dziesięć tysięcy.

• Może nawet i dwadzieścia - Kazimierz nie był przekonany - ale twój ma plamę na rękawie. Jeżeli któryś z urzędników zauważył ten drobny szczegół, milicja już szuka takiego płaszcza. Wolałbym, żeby go nie znalazła na twoim karku.

• Ty idioto głupi - oburzył się pozostali z uczestników rozmowy - masz milion, a żal ci starego łacha za stówę?

• Nie żal, ale chłodno jest i zanoszą się stale na deszcz, to w czym miałem przyjść? - tłumaczył się Tadeusz. - Innego nie mam.

- To sobie kup - krótko uciął Kazik. - Żeby ci więcej w tym nie oglądał.

• Dobrze, już dobrze, nie marudź. A ty, Andrzej, tak nie podskakuj. Za niski jesteś.

- Nie kłóćcie się - uspokajał Zygmunt.

- Przyniosłeś pieniądze? - zapytał Tadeusz.

• W czym? - roześmiał się Kazik. - Miałem walizkę do lasu taskać? Nie bójcie się. Każdy swoją dolę dostanie. Ale nie za prędko.

- Jak to? - oburzył się Andrzej.

• Tak to. Już ja was dobrze znam. Dać wam dzisiaj po te pół miliona, za dwa dni już by was milicja kupiła. Zaraz by się zaczęło szastanie forszą. Knajpy, samochody, dziewczynki. Musicie nareszcie zrozumieć, że oni nie mają żadnych śladów, żadnego punktu zaczepienia. Jedynie wasze własne błędy mogą ich naprowadzić na trop. Teraz trzeba siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Idę o zakład,

że wywiadowcy MO zaczęli węszyć w każdej restauracji, kto i za jakie pieniądze się bawi. Będą też sprawdzali, kto w najbliższym czasie kupi auto lub mieszkanie. Pamiętajcie napad na Narodowy Bank Polski w Wołowie? Tam zabrali jedenaście milionów złotych. A wpadli tylko dlatego, że nie umieli przywarować. Żonie jednego z nich zachciało się kupić dywan czy kilim. To ich zgubiło.

- Bo płaciła banknotami, których numery były wynotowane przez bank.
- I tak ją już w Wołowie mieli na oku, że babka w ciągu tygodnia zrobiła

różnych zakupów na kilkanaście tysięcy złotych, a to od razu rzuciło się w oczy. Nasze bezpieczeństwo zależy od nas samych i od tego, czy potrafimy zachować spokój.

- Kazik ma rację - przytaknął Zygmunt. - Trzeba siedzieć cicho.

- Wcale nie miałem zamiaru kupienia samochodu - bronił się Andrzej.
- Nie dalej jak przed piętnastoma minutami mówiłeś - przypominał Zygmunt

- że kupisz mieszkanie, samochód i dobrze się zabawisz.

- Ale nie mówiłem, że to zrobię natychmiast po dostaniu forsy do ręki. Sam rozumiem, że trzeba trochę poczekać. To kiedy nam dasz po tym milionie?

- Po milionie? Zwariowałeś.

- A po ile?! - ten okrzyk wyrwał się każdemu z pozostałej trójki.

- Zabraliśmy do walizki, sam liczyłem - uzupełnił Zygmunt - grubo ponad cztery miliony. Zresztą dzisiejsze dzienniki podają, że cztery miliony sto siedemdziesiąt tysięcy złotych.

- Zgadza się - spokojnie przytaknął Kazimierz.

- Więc na każdego z nas przypada po milionie i jeszcze po czterdzieści trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt złotych - Zygmunt szybko podzielił całą sumę na cztery. - Tak mi się zdaje.

- To się wam tak zdawało, i źle zdawało.

- Co ty opowiadasz? - zaperzył się Andrzej.

• Czy wy myślicie, że mnie wszystko z nieba spadło? - Kazimierz usiłował zachować spokój. - Sprawna organizacja całej akcji była rezultatem drobiazgowych przygotowań. A spluwy, które wam dałem, nie kosztowały? A to, że tak łatwo weszliście do banku i wiedzieliście co gdzie się znajduje, to święty Mikołaj mi objawił? Skąd wziąłem klucz do transformatora? Kto mnie nauczył, jak się włącza prąd w budynku bankowym? Kto mnie w ogóle nauczył, jakie tam są systemy

alarmowe i że przerwanie dopływu prądu wyłącza ten cały system? A telefony?. Skrzynki rozdzielczej także nie otworzyłem palcem. Płaszcz mundurowy, czapkę i torbę z narzędziami znalazłem pod płotem albo dobry wujaszek pożyczył mi ten ekwipunek? Przygotowania kosztowały, każdemu z pomocników obiecałem jego dołą. Sam powiedz, Andrzej, czyj był pomysł? Kto wszystko zorganizował od początku do końca? Nawet bilety kolejowe z Warszawy do Łowicza i z powrotem dostaliście do rączki. Wyście pracowali tylko piętnaście minut. Ja tę akcję przygotowywałem przez przeszło pół roku. A teraz przychodzicie i wołacie „dawaj milion”. Ucho od śledzia!

- Zawsze mówiliśmy - przypomniał Tadeusz - za całą dolę dzielimy po równi.
- Nieprawda.
  - Sam tak mówiłeś - Zygmunt poparł Tadeusza.
  - Nigdy tego nie powiedziałem. Mówiłem, że każdy dostanie tyle pieniędzy, ile mu się będzie, należało..
  - Nie kręć! - warknął Andrzej.
- Nic nie kręczę. Ja zorganizowałem tę akcję. Ją najwięcej ryzykowałem.
- Nic nie ryzykowałeś. Zaledwie przekręciłeś jeden wyłącznik elektryczny i wyjąłeś jedną wtyczkę telefoniczną. My z bronią w ręku nadstawialiśmy karku.
  - Przygotowałem całą akcję tak, aby nie było żadnego ryzyka.
- Dla ciebie. Bo siedziałeś w samochodzie z włączonym silnikiem. W razie czego nacisnąłbyś pedał i goń wiatr w polu!
- Skończcie to głupie gadanie. Każdy z was dostanie ode mnie po pół miliona złotych. Od dziś za trzy miesiące Ani dnia wcześniej, ani grosza więcej.
- To jest świństwo - oburzył się Zygmunt.
- Dasz równo po milionie - rzucił Andrzej. - Tc reszta aż nadto pokryje te twoje wyimaginowane koszty.
- To ja kłamię? - rzucił się Kazimierz.
- Pewnie, że kłamiesz. Nie tylko kłamiesz, ale jeszcze chcesz nas okraść.
- Panowie, spokój - Tadeusz usiłował interweniować. - Powiedz, Kazik, jakie miałeś wydatki i ile komu się należy. Mnie się zdaje, że coś za wysoko oceniasz tych swoich pomocników. Jeżeli każdy z nich dostanie po kilkadziesiąt tysięcy, to aż nadto.



- Nie będę się wam tłumaczył - Kazimierz znowu się postawił wspólnikom. - Chcecie po pół miliona, to dobrze. A nie, to nie.

- Dasz równo po milionie - Andrzej tracił panowanie nad sobą. - Bo cię...
- Nie bądź taki groźny, mnie nie przestraszysz.
- Dasz milion - Andrzej gwałtownie podskoczył do Kazika. Podniósł rękę do uderzenia.

Napadnięty odparował ten atak i cofnął się krok do tyłu. Stał na samym brzegu urwiska opadającego stromo do Wisły. Deszcze padały przedtem przez trzy dni bez przerwy. Teraz więc cały kawał podmokłej ziemi obsunął się wraz ze stojącym na, niej człowiekiem. Kazimierz usiłował w ostatniej chwili odskoczyć, zamachał rękoma i z okrzykiem przerażenia runął w dół. Ciało zrobiło w powietrzu pół obrotu i ciężko legło na kamienistym brzegu rzeki.

- O Jezu! - jęknął Zygmunt. Leżący w dole człowiek nie ruszał się.
- Nie żyje! - przestraszył się Tadeusz.

- Nic mu nie jest. Pajacuje, jak zwykle - uspokajał towarzyszy Andrzej. - Przecież go nie dotknąłem.

Ale leżący na brzegu rzeki człowiek ani drgnął.

- Trzeba go ratować - denerwował się Zygmunt.
- Zostańcie tutaj - zdecydował Tadeusz. - Ja zejść niżej. Szybko pobiegł ścieżką w kierunku północnym.. Tam, kilkanaście metrów dalej, urwisko przechodziło w łagodnie spadającą do rzeki skarpe, po której można było zejść na brzeg bez trudności. Podbiegł do leżącego i pochylił się nad nim. Usiłował go doprowadzić do przytomności. Bezskutecznie.

- Chyba jednak nie żyje - powiedział prostując się. - Uderzył tyłem głowy o kamień.

Po tych słowach stojący na skarpie mężczyźni natychmiast zeszli na dół. Niestety, i ich usiłowania ocuceniai kolegi także nie odniosły skutku.

- Nie żyje - stwierdził Zygmunt.
- Co robić?
- Przede wszystkim wiać. Bo jak nas tu ktoś nakryje, wtedy leżymy jak neptki.

Zygmunt nerwowo rozejrzył się naokoło. Ale nikogo nie zobaczył.

- Uciekajmy - Tadeusz był nie mniej przerażony od Zygmunta.

- Chwileczkę - zatrzymał ich Andrzej. Przykląkł przy trupie i szybko wyjmował z kieszeni zabitego całą ich zawartość: portfel, dokumenty, portmonetkę, pęk kluczy na metalowym kółku, papierosy, zapalki, chustkę do nosa. Potem przedmioty te schował do kieszeni swojego jasnego płaszcza. Kiedy skończył, zakomenderował: - Teraz wy dwaj przez las do tramwaju. Ja pójdę do ulicy Dewajtis. Spotkamy się za godzinę u mnie w mieszkaniu.

Żaden nie zaprotestował. Na brzegu Wisły zostało jedynie ciało człowieka, który kilka minut przedtem był posiadaczem czterech milionów stu siedemdziesięciu tysięcy złotych.

Umierając, ten człowiek zabrał do grobu tajemnicę. Chwalił się niedawno, że cenny skarb został tak ukryty, iż „nawet diabeł go nie znajdzie”. Czy były to przechwałki zuchwałego szefa bandy, czy też prawda?

Rankiem następnego dnia dwaj wędkarze spostrzegli mężczyznę leżącego nad brzegiem rzeki. Gdy podeszli bliżej, z przerażeniem stwierdzili, że mają przed sobą nieboszczyka. Pobiegli do pobliskiego klasztoru, skąd zaalarmowano milicję. Wkrótce zjawił się radiowóz. Po nim przyjechała ekipa dochodzeniowa, lekarz i karetka pogotowia. Wezwano także prokuratora.

Zaczęły się normalne czynności śledcze: fotografowanie zwłok, rewizja ubrania zmarłego, przesłuchanie tych, którzy pierwsi zauważyli wypadek. Nikt bowiem nie wątpił, że to był nieszczęśliwy wypadek. Świadczyło o tym najlepiej wielkie osuwisko ziemi oderwanej z wysokiego brzegu wiślanej skarpy. Lekarz na miejscu przeprowadził pierwsze badanie.

- Sprawa prosta - oświadczył. - Facet stał nad samym brzegiem. W pewnej chwili ziemia się osunęła i on runął wraz z nią. Osuwająca się ziemia unieruchomiła mu nogi, wskutek czego ciało wykonało łuk. Uderzył plecami o ten półokrągły duży kamień. Nastąpiło złamanie kręgosłupa i prawdopodobnie zerwanie rdzenia pacierzowego. Przypuszczam, że na wysokości kręgow szyi. Momentalna śmierć. Przyczynę zgonu ustali się ściśle dopiero po sekcji, ale nie przypuszczam, abym się mylił.

- Kiedy nastąpił zgon? - zapytał prokurator.
- Co najmniej przed dwunastoma godzinami, a może nawet nieco wcześniej.

- Dziwne, że dopiero teraz go odnaleziono. - Wczoraj było chłodno. Przed wieczorem znowu zaczął padać deszcz. Pogoda nie zachęcała do spacerów.

Zresztą, jeżeli ktoś szedł górą, to mógł nie dostrzec ciała leżącego pod

stromym urwiskiem. Na górze wyraźnie widać, że ziemia się osuwa, nikt więc nie ryzykował podchodzenia na sam skraj skarpy - tłumaczył jeden z wędkarzy. - Co innego my, szliśmy samym brzegiem Wisły i musieliśmy się natknąć na zwłoki.

- A jednak, panie prokuratorze, ktoś już przedtem znalazł tego człowieka - zauważył jeden z członków ekipy dochodzeniowej MO. - Jestem tego całkowicie pewien.

- Skąd ta pewność?

- Przy tym nieszczęśniku nie znalazłem niczego. Ani chusteczki do nosa, ani choćby zużytego biletu tramwajowego.

- Może mieszkał w pobliżu Lasku Bielańskiego?. - A wybierając się na spacer, specjalnie opróżni kieszenie?

- To nieprawdopodobne - zgodził się prokurator.

- Dlatego właśnie twierdzę, że ktoś już przed nami znalazł ciało i okradł zmarłego.

- Może to samobójstwo? - zauważył wędkarz. - Czytałem, że samobójcy nieraz tak postępują, aby utrudnić ich identyfikację.

- Zdarza się - przyznał porucznik MO, który kierował ekipą dochodzeniową. - Ale w tym przypadku samobójstwo jest wykluczone.

- Naturalnie - zgodził się prokurator.

- A zatem trzeba przypuszczać, jak to zauważy słusznie Józwiak, że tego faceta okradziono. Już po śmierci.

- Co za ohyda! - wzdrygnął się jeden z wędkarzy.

- Dziwny to złodziej, który tak dokładnie wypatroszył kieszenie nieboszczyka prokurator zastanowił się.

- Widzę - zauważył w końcu - że sprawa się komplikuje. Początkowo sądziłem, że to zwykły nieszczęśliwy wypadek, ale teraz już nie jestem o tym przekonany.

- Obawiam się - wtrącił wywiadowca Józwiak - że z tym gościem będziemy mieli jeszcze sporo kłopotów.

- Przede wszystkim trzeba ustalić jego tożsamość. A także odszukać tego czy tych, którzy okradli trupa - postanowił prokurator.

- To drugie nie będzie takie proste. Mało to się włóczy po Lasku Bielańskim najrozmaitszej chuliganerii - porucznik dobrze znał tę dzielnicę, teren swojej pracy.

- To co, panie prokuratorze? - zapytał lekarz. - Można go zabierać?
- Oczywiście. Tu nie mamy już nic do roboty.

Niedługo potem karetka ruszyła, zabierając zwłoki człowieka, który jeszcze poprzedniego dnia sądził, że dopiął celu i że w dalszym długim życiu, a w to nie wątpił, czekają go tylko same przyjemne zdarzenia.

Ekipa dochodzeniowa ładowała się do swojego radiowozu, prokurator odjechał służbową warszawą. Na brzegu rzeki pozostał jedynie mały kopczyk żółtobrazowego piasku, część oberwanego stromego urwiska skarpy.

### ROZDZIAŁ III

#### **Gdzie jest ta walizka?**

Punktualnie w godzinę po tragicznym wypadku w Lasku Bielańskim dwaj mężczyźni zadzwonili do drzwi pewnego małego mieszkania przy jednej z ulic Mokotowa. Otworzył natychmiast gospodarz, Andrzej Doberski. Zaprosił gości do środka.

- Rozgośćcie się - powiedział wskazując stół na środku pokoju. - Żonę z dziećmi wysłałem do teściowej. Jesteśmy sami. Możemy mówić bez skrępowania.

Na stole stała butelka wódki i zakąski. Gospodarz nalał do trzech kieliszków.

- Dobrze nam zrobi po tym wszystkim - powiedział podnosząc szkło w górę.

Nie potrzebował nikogo namawiać. Kiedy butelka pokazała dno, Andrzej Doberski zaczął:

- Co się stało, nie odstanie i nie ma co wałkować tej sprawy. Kazik okazał się skończonym łobuzem. Słusznie też Opatrzność go ukarała. Próbował oszukać przyjaciół. Do tej pory krew mnie zalewa. Powtarzam, ja go palcem nie tknąłem.

- Ale co dalej? - płacząco zapytał Zygmunt Lipień!

- Właśnie po to się zebraliśmy. Trzeba znaleźć walizka z pieniędzmi.
- On powiedział, że nawet diabeł jej nie znajdzie!
- Ot, tak klepał jęzorem, żeby nas postraszyć i zmiękczyć. Żebyśmy się zgodzili na jego warunki. Na pewno pieniądze, są w jego mieszkaniu albo w piwnicy.
- Nawet nie wiem, gdzie on mieszka. Zawsze dzwoniłem do niego do warsztatu.

- Ale ja wiem, bo znalazłem adres w jego dowodzie osobistym - z triumfem wyjaśnił Andrzej. Miałem nosa, że opróżniłem mu kieszenie. Ma kawalerkę na Solca. W tych blokach przy Moście Poniatowskiego.

- To co z tego? - Zygmunt był pesymistą. - Przecież nie pójdziemy tam, żeby się nadziać na milicję, która nas wybierze jak raki z sieci.

- A właśnie, że pójdziemy - oświadczył Andrzej.

- Dziękuję, beze mnie.

- To znaczy, że rezygnujesz ze swojej doli?

- Ja mam zrezygnować?!

- W walizce jest cztery miliony sto siedemdziesiąt tysięcy. Teraz na każdego z nas przypada nie milion, ale prawie czterysta tysięcy więcej, bo jeden wysiadł z gry. Zostaliśmy jego spadkobiercami.

- A tamci jego wspólnicy, którzy udzielili mu pomocy w banku?

- Nie ma” obawy - roześmiał się Andrzej. - Nie? zgłoszą się do nas ani nie podadzą nas do sądu. Będą siedzieli cicho. Zresztą nic o nas nie wiedzą. Najwyżej znali Kazika. Ale i w to wątpię. Był z niego kawał drania, ale trzeba mu przyznać, że łeb miał. Na pewno tak się urządził, że nie znają ani jego nazwiska, ani adresu. Za ostrożny był.

- Ale najpierw trzeba znaleźć walizkę - martwił się Tadeusz.

- Moja w tym głowa - Andrzej nie tracił pewności

siebie. - Widzę, że będę musiał objąć dowództwo naszej małej grupki. Znacnie mnie, jestem człowiekiem uczciwym, więc żadnego kantu nikomu nie wytnę.

Szukamy pieniędzy razem lub osobno. Bez względu na to, który z nas i w jakich okolicznościach znajdzie walizkę, pieniądze podzielimy pomiędzy siebie po równo.

Gdyby były naprawdę jakieś koszty, to najpierw uzgadniamy. Zgoda?

- Zgoda! - przytaknęli Zygmunt i Tadeusz.

- Naturalnie - ciągnął Andrzej Doberski - jesteśmy zobowiązani do wzajemnego pomagania sobie i do działania z wolą i wiedzą naszej trójki.

- To zupełnie zrozumiałe - zgodził się Lipień.

- Jestem przekonany, że pieniądze znajdziemy. Może jeszcze dzisiaj.

- Naprawdę chcesz iść do niego do domu? To cholerne ryzyko. Tam już milicja może czekać na nas.

- Nie czeka, nie czeka. Przestań wreszcie być takim obrzydliwym tchórzem.

Od wypadku minęły zaledwie dwie godziny. Deszcz znowu pada, jest ciemno. Kto o takiej porze włóczy się po Lasku Bielańskim lub nad brzegiem Wisły? W najlepszym razie znajdą ciało jutro rano. Zanim przyjedzie milicja, prokurator, zanim rozpoczną dochodzenie, upłynie sporo czasu. A dochodzenie utknie na samym wstępie, ponieważ przy zabitym niczego nie znajdą. Zrewidowałem go dokładnie i zabrałem wszystko, co miał w kieszeniach. Nie zostawiłem najmniejszego drobiazgu. W takiej sytuacji niełatwo będzie zidentyfikować zmarłego.

- Na pewno go rozpoznają.

- I ja w to nie wątpię. Ale to musi potrwać. A przecież warunkiem naszego powodzenia jest wygranie wyścigu z czasem. - Dopóki milicja nie ustali danych personalnych ofiary wypadku, mamy swobodę działania.

- Ale potem mogą się nam dobrać do skóry - na Zyguncie ta skóra ciągle cierpła.

- Nie kracz! Kiedy już zidentyfikują naszego przyjaciela, i tak go nikt nie posądzi o udział w napadzie. Z oględzin miejsca śmierci i z sekcji zwłok wynika, zresztą zgodnie z prawdą, że to był nieszczęśliwy wypadek. A takich zdarza się w Warszawie sporo każdego miesiąca. Tym torem pójdzie śledztwo.

- Jeżeli zrobią rewizję w domu Strzelczyka, mogą znaleźć jakieś dowody jego udziału w napadzie.

- Nie znajdą, bo my będziemy pierwsi.

- Naprawdę chcesz tam iść?

- To jest konieczne. Zarówno dla naszego bezpieczeństwa, jak i dla znalezienia pieniędzy. Pójdziemy wszyscy. Tadek i ja wejdziemy do mieszkania. Zygmunt zostanie „na świecy”.

- Zgadzam się - potwierdził Tadeusz Majewski.

- To straszne niebezpieczeństwo - Zygmunt starał się powstrzymać kolegów.

- Dla ciebie najmniejsze. Będziesz spokojnie spacerował po ulicy i rozglądał się. Gdyby przyjechała Alicja, dasz nam znać.

- W jaki sposób?

- To ustalimy na miejscu, na Solcu. Przecież nawet nie wiem, jak ten dom wygląda, na jakim piętrze jest kawalerka Kazika i na którą stronę wychodzą okna tego mieszkania. Ale wymyślimy jakiś sposób komunikowania się, aby MO nas nie zaskoczyła, chociaż wątpię, żeby doszło do takiej ewentualności.

- Na pewno nie dojdzie - Tadek podzielał przekonanie dowódcy.
- Boję się.
- Wolna droga - rozzłościł się Doberski. - Mam już dosyć słuchania tego twojego „boję się. Nikt ci nie broni wycofać się z interesu. Wystarczy, że wyjdiesz z mojego mieszkania i zamkniesz za sobą drzwi. Nie będę cię gonił, a żaden z nas nie będzie miał do ciebie najmniejszej pretensji. Na twojej rezygnacji zarobimy po siedemset tysięcy. Wybieraj, wóz albo przewóz. Idziesz z nami?

Na twarzy Zygmunta Lipienia odbił się wyraz rozpaczliwej walki, jaka toczyła się w nim między strachem a chciwością. Aż spotniał.

- Idę - zdecydował.
- Myślałem - roześmiał się Doberski - że jako dobry kolega zrobisz nam piękny prezent z siedmiuset nalepek. No, ale komu w drogę, temu czas.

Dom na Solcu okazał się dużą, ośmiopiętrową kamienicą. Jeden rzut oka na tablicę z nazwiskami lokatorów przekonał trzech poszukiwaczy skarbów, że mieszkania Kazimierza Strzelczyka znajduje się na szóstym piętrze. Na jaką stronę wychodziły okna tego mieszkania, trudno było zgadnąć. Natomiast klatka schodowa miała wielką szklaną ścianę. Można więc było obserwować ze schodów zarówno wejście do budynku, jak też i spory kawał ulicy. Idealne miejsce obserwacyjne.

- Ty, Zygmunt - rozkazał Doberski - staniesz przy oknie i dajesz baczenie na ulicę. Jeżeli zobaczysz radiowóz, po prostu trzy razy zadzwonisz do drzwi mieszkań na Kazika. Sam możesz sływać.

- To przecież nadzieję się na milicjantów - Zygmunt nie grzeszył odwagą.
- Nie nadziejesz, się, bo nie będą się drapali na szóste piętro, lecz pojedą windą, a ty zejdziesz spokojnie po schodach. O nas się nie martw.

- A my co zrobimy? - zaniepokoił się Tadeusz.
- Przede wszystkim spróbujemy sprawdzić, czy nie jest to fałszywy alarm. Jak znam Zygmunta, to narobi hałasu na widok pojedynczego milicjanta idącego z dziewczyną pod rękę.

- A jeżeli alarm będzie prawdziwy?
- Zawsze zdążymy wyjść z mieszkania, zamknąć je i albo zejść na dół, albo wejść dwa piętra wyżej, tam ściągnąć windę i zjechać nią na dół. Przecież oni nie zrobią blokady domu. Jeżeli w końcu zidentyfikują zwłoki, to znajdą i adres. Zapewne zechcą dostać się do kawalerki Kazika. Będą tym tak zaabsorbowani i tyle

im to zabierze czasu, że zdążymy się wycofać. Jasne?

- Jasne! - zgodzili się dwaj wspólnicy.
- No to jedziemy - Andrzej włożył klucz i otworzył, windę.

Pojechali na szóste piętro. Kawalerka Strzelczyka znajdowała się na wprost klatki schodowej. W dwie strony biegł długi korytarz. Z niego wiele drzwi prowadziło do sąsiednich mieszkań.

Andrzej wydobył z kieszeni pęk kluczy. Obejrzał zamki w drzwiach kawalerki i przypatrując się kluczom, starał się ustalić, które z nich pasują do zamka „yale” oraz do zasuw na dole drzwi. Najłatwiej odgadł klucz do zamka pod klamką. Był okrągły, zakończony gwiazdką. Takie urządzenie zakłada się do zwykłych „cuhałów”, żeby utrudnić złodziejowi włamanie się do środka.

- To będzie ten i ten długi - powiedział Doberski. - Pilnuj, Zygmunt, a my wchodzimy.

Zasuwa, dała się od razu otworzyć, ale drugi klucz, właśnie do „yale”, nie pasował. Zamek ustąpił dopiero wtedy, kiedy Andrzej wsunął weń inny, płaski klucz, znajdujący się również na kółku wyjętym z kieszeni zmarłego.

Kawalerka Kazimierza Strzelczyka składała się z jednego dość dużego pokoju, malutkiej kuchenki bez okna i równie niewielkiej łazienki. W przedpokoju znajdowała się szafa w ścianie. W pokoju stało biurko, tapczan, dwa fotele, niski stolik i telewizor na wysokich nóżkach. Na ścianie wisiały dwie półki na książki. W mieszkaniu panował pedantyczny, porządek. W kuchni stał mały stół, jedno krzesło i szafka, na której umieszczono niewielką lodówkę. Pod zlewozmywakiem urządzono pomieszczenie na sprzęt kuchenny. W łazience nie było żadnego mebla poza normalnym wyposażeniem tego pomieszczenia.

- Od czego zaczynamy? - zapytał Tadeusz.
- Od kuchni - zdecydował Andrzej. - To nam zajmie parę minut.

W kuchni niczego nie znaleziono, pomimo że Doberski nie tylko odsunął szafkę od ściany, ale nawet zajrzał do mechanizmu lodówki, nie mówiąc już o jej wnętrzu i sprawdzeniu, czy garnki stojące na półce pod zlewozmywakiem są naprawdę puste.

- Tu nic nie ma - stwierdził Tadeusz.
- W łazience także - odpowiedział Andrzej, który i tam zaglądał.

- Chodźmy do jego pokoju.

Ale w pokoju nie znaleziono nie tylko walizki z ogromną sumą pieniędzy,



lecz nawet żadnej małej kwoty. Przejrzeli dokładnie biurko. Tam poza różnymi papierami: listami, kwitami i innymi dokumentami, na których, czytanie rewidujący nie tracili czasu, w szufladach leżała bielizna zmarłego, a w tej najszerzej, na środku biurka, kilka dojrzewających pomidorów.

Tapczan wypełniały pościel i walizka. Ale nie ta poszukiwana. Także jej zawartość była zupełnie inna. Zamiast milionów złotych, jakieś łachy. Już nie do noszenia, ale jeszcze je żal wyrzucić.

W szafie w przedpokoju wisiały ubrania i zimowy płaszcz zmarłego. Na małej antresoli worek turystyczny, w nim sportowe buty „pionierki” i spodnie „pumpy”, jakie nosi się najczęściej w górach. Poza tym stało pudło na brudną bieliznę, zresztą prawie puste.

Doberski zajrzał do środka telewizora i zbadął stojące na półkach książki. Tam też niczego nie znaleziono.

- Nie ma nic - stwierdził Tadeusz.
- Cholera! Gdzie on mógł to schować?
- Przecież w mieszkaniu nie ma żadnej skrytki. Nawet wannę ostukałem.
- Może w piwnicy?
- Chodźmy na dół do piwnicy.
- Czy to nie ryzykowne? - teraz Tadeusz naśladował Zygmunta.
- Jakie tam ryzyko - bagatelizował Doberski. - Nie większe niż tutaj.
- Zawsze ktoś się może napatoczyć i zobaczyć, że się dobieramy do cudzych drzwi. Nie zapominaj, że piwnice mają zazwyczaj nieszczelne drzwi, a jedynie kratę oddzielającą ją od korytarza, i ktokolwiek znajduje się w suterenie, widzi, co sąsiad robi w swoim boksie. Kazik na pewno nie postawił walizy w piwnicy, lecz tam ją dobrze schował. Wykopał dół albo nawet замуrował.

- Sam sobie przeczysz. Gdyby kopał dół czy coś murował, to właśnie sąsiedzi by go widzieli i zainteresowali się taką robotą.

- On był właścicielem mieszkania. Miał klucze do suterenu. Równie dobrze mógł tam zejść w nocy. Wtedy ryzyko spotkania sąsiadów jest minimalne.
- To i my przyjdziemy w nocy. A tymczasem rzucimy okiem, jak się sytuacja przedstawia na dole.

Wyszli z mieszkania. Doberski starannie zamknął drzwi na klucze. Zygmunt nie pytał o rezultat poszukiwań. Widok przyjaciół wychodzących z kawalerki z

pustymi rękoma, wystarczał mu za informację.

Kiedy Doberski zamykał kawalerkę, na szóstym piętrze zatrzymała się winda. Wyszła z niej jakaś kobieta w towarzystwie dwóch małych chłopców, najprawdopodobniej bliźniaków. Wskazywały na to jednakowy wzrost i jednakowe ubranie, już nie mówiąc o podobieństwie rysów twarzy. Kobieta nie zwróciła uwagi na trzech mężczyzn znajdujących się na klatce schodowej. Kiedy chciała zamknąć drzwi windy, Andrzej powiedział:

- Proszę nie zamykać. Zjeżdżamy na dół.
- Niedobrze - Zygmunt znowu był przerażony - że spotkaliśmy tę babę.

Widziała, jak zamykaliście mieszkanie Strzelczyka.

- Głupstwo - zbagatelizował Doberski. - Zresztą nie widziała tego momentu, a jedynie mogła zauważyć; nas stojących przed tymi drzwiami. Po prostu koledzy przyszli w odwiedziny i nie zastawszy gospodarza w domu pojechali na dół.

Winda zatrzymała się na parterze. Ale klatka schodowa nie kończyła się tutaj. Schody prowadziły niżej, do suterenu. W małym parterowym holu akurat nie było nikogo, więc Doberski polecił:

- Czekaj tu, Zygmunt, a w razie czego szukaj nas na dole. My idziemy zbadać piwnicę.

Zanim Lipień zdążył odpowiedzieć, Andrzej z Tadeuszem zeszli schodami. Drzwi do pomieszczeń znajdujących się w podziemiu były otwarte. Kontakt elektryczny znajdował się tuż obok. Kiedy Doberski zapalił światło, poszukiwacze skarbu ujrzeli dość długi korytarz. Pierwsze drzwi z korytarza prowadziły do jakichś urządzeń elektrycznych. W skazy wała na to tabliczka ze znakiem „błyskawicy” i ostrzeżeniem o niebezpieczeństwie grożącym przy otwieraniu tego pomieszczenia. Następne drzwi to z jednej strony baterie wymienników ciepła, z drugiej hydrofornia, jak informowały napisy. Dalej - pralnia. Z kolei korytarz podzielony był na niewielkie boksy - piwnice ze ściankami zbitymi z desek tak, że tworzyły kratownice. Na każdym boksie był wymalowany numer mieszkania. Te numery nie biegły jednak kolejno, ale najwidoczniej według czasu wprowadzania się lokatorów do niedawno zbudowanego domu. Kto się wprowadzał, zajmował następną, najbliższą od wejścia piwnicę, i malował swój numer na jej drzwiach.

Majewski i Doberski przeszli korytarzem aż do końca. Ale na próżno szukali drzwi oznaczonych numeracją odpowiadającą mieszkaniu Kazimierza Strzelczyka.

Sprawdzili ponownie. Bez skutku.

- Czyżby nie miał piwnicy?

- To możliwe - wyjaśnił Majewski. - W domu, w którym mieszkam, kawalerki nie mają piwnic. W tych wysokich budynkach jest zwykle więcej lokali, niż można zbudować piwnic w podziemiu. U nas stale są o to awantury.

- Spływamy! - postanowił Andrzej.

Wyszli z sutereny i we trójkę opuścili kamienicę przy Solcu. Nikt nic nie mówił. Ale Majewski i Lipień pomyśleli, że lepiej było wziąć po pół miliona od żywego Kazimierza Strzelczyka, niż szukać skarbu zmarłego, choćby znalezienie tej walizki miało przynieść każdemu trzy razy więcej. Doszli do Tamki i automatycznie skierowali się w stronę widniejącego na brzegu Wisły pomnika Syreny Warszawskiej. Skręcili na Wybrzeże Kościuszkowskie i usiedli na jednej z ławek.

- Wszystko przepadło - Zygmunt pierwszy przełamał milczenie. - Nigdy nie znajdziemy tych pieniędzy, natomiast milicja nas znajdzie i zaprosi na Mokotów. Co najmniej na dziesięć lat.

- To przez ciebie, Andrzej - dorzucił Majewski. - Żebyś wtedy nie wywołał awantury, nie doszłoby do wypadku z Kazikiem.

- A wy jak barany chcieliście się dać oszukać temu draniowi - Doberski znowu był bliski wybuchu. - Niedoczekanie jego. Wcale nie żałuję tego, co się stało.

- Ale my żałujemy pieniędzy.

- Pieniądze się znajdują.

- Ale gdzie i kiedy?

- Gdzie ten skubaniec mógł je schować?

- Może w warsztacie? - podrzucił Zygmunt.

- W warsztacie chyba nie, przecież inni pracownicy mogliby zauważyć - oponował Tadeusz. - Już prędzej u jakichś krewnych albo u swojej babki.

- Kazik żadnej babce czy jakiemuś pociotkowi nie zawierzyłby czterech milionów złotych. I to pochodzących z takiej roboty - Zygmunt bronił swojej koncepcji

- Zygmunt ma chyba rację - zabrał głos Doberski. - Na parę dni przed akcją Kazik wspominał, że właściciel warsztatu, wyjechał na urlop do Bułgarii i on go zastępuje. Zresztą Kazik zawsze miał klucze do tego warsztatu. Mógł przyjść wcześniej przed innymi i upchnąć walizkę w jakimś kącie. Albo nawet schować ją w mieszkaniu właściciela. Przecież ten Jankowski mieszka w domku wybudowanym

koło warsztatu samochodowego. Kto wie, czy wyjeżdżając za granicę nie zostawił swojemu zaufanemu pracownikowi także i kluczy do mieszkania? Byłem tam kiedyś i pamiętam, że kantorek warsztatu mieści się właśnie w tym obok stojącym domku. Z kantorku drzwi prowadziły do dalszych pomieszczeń.

Andrzej wyjął z kieszeni pęk kluczy odebranych zmarłemu i uważnie je przeglądał.

- Te trzy klucze to do kawalerki - objaśniał - ale tutaj mamy jeszcze jeden podobny, płaski, do „yale”. Te dwa to najprawdopodobniej do kłódek. A te trzy długie to także do jakichś zasuw. Ale gdzie się te zasuwki znajdują? A ten pękaty, to do kłódki, ale bardzo dużej. Takiej, na jakie zamyka się sklepowe żaluzje. Te trzy małe kluczyki zapewne do jakichś szaf.

- Kiedy pewnego razu wstąpiłem do Kazika, do warsztatu, widziałem, jak, otwierał żelazną szafkę-szatnię. Miał tam w niej swoje ciuchy robocze. Właśnie jednym z tych kluczyków - wyjaśniał Tadeusz. - Teraz doskonale to sobie przypominam.

- Panowie - Andrzej odzyskał energię - czeka nas dzisiaj ciężka noc.
- Noc? Dzisiaj? - zaniepokoił się Zygmunt.

- Musimy odwiedzić warsztat samochodowy Jankowskiego i jestem pewien, że tam znajdziemy naszą ukochaną walizeczkę. Nawet się domyślam, gdzie ona jest Ukryta.

- Gdzie?
- Trzymam zakład, że będzie zamknięta w bagażniku jakiegoś samochodu.
- W samochodzie?
- Choćby w tym, którego Kazik używał w czasie akcji. To świetny pomysł.

Cudzy samochód oddany do naprawy. Albo czeka swojej kolejki na remont, albo już jest gotowy, lecz właściciel jeszcze go nie zabrał. A w bagażniku walizka pełna forsy. Nikt by nie wpadł na myśl, żeby tam jej szukać.

- Przecież każdy pracownik warsztatu mógłby tam zajrzeć i znaleźć te pieniądze. Choćby przez głupi przypadek. Na przykład potrzebowałby jakiegoś ki uczyć i zamiast go szukać w warsztacie, sięgnąłby do bagażnika najbliższego stojącego wozu.

- A właśnie że nie, bo Kazik jako zastępca właściciela ma wszystkie kluczyki. A kluczyków do tego wozu nie dałby nikomu. A poza tym w takim warsztacie można

łatwo znaleźć inną, dobrą kryjówkę.

- Znaleźć kryjówkę łatwo, ale znacznie trudniej znaleźć schowane w niej pieniądze.

- Przestań, Zygmunt, biadolić. Od twojego gadania już mnie flaki bołą.

- Chcesz iść teraz do tego warsztatu? - rzeczowo zapytał Tadeusz.

Andrzej spojrział na zegarek. Dochodziła dziewiąta wieczorem.

- Za wcześnie. Zjawimy się tam po dziesiątej.
- To nie będzie takie łatwe - Tadeusz, chociaż nie był tchórzem,

przewidywał trudności. - Naokoło są zabudowania budylnicy. A poza tym warsztat znajduje się

przy głównej drodze wylotowej z Warszawy. Nie ma godziny, żeby tam nie pojawił się radiowóz MO.

- Tym lepiej - Doberski był najzupełniej spokojny. - Już ja wiem, jak się do tego zabrać, aby wszystko grało.

Zygmunt chciał coś powiedzieć. Najprawdopodobniej swoje sakramentalne „boję się”. Już otworzył usta, ale w końcu powstrzymał się od uwagi.

- Głodny jestem - stwierdził Majewski.
- Ja też - przytaknął Andrzej. - Musimy gdzieś po drodze wdepnąć i

porządnie się najeść. Czekają nas bardzo pracowita noc. Warto także zaopatrzyć się w jakieś kanapki. Jeżeli mam w nocy robotę, to zawsze dopisuje mi apetyt.

- Ja tam nie wezmę do ust ani kęsa.
- Nikt cię nie namawia. My pójdziemy na golonkę z dużym piwem, a ty za

nas najesz się strachu.

- Czy też będę stał na świecy? - dopytywał Zygmunt.
- Zobaczymy na miejscu. Ale raczej nie. Na tę noc będziesz monterem

samochodowym.

- Przecież ja się na tym nie znam.

- Nie szkodzi - uciął Andrzej. - Idziemy, bo czas ucieka. I tak trudno będzie

w knajpie dostać coś przyzwoitego do żarcia.

- Zapraszałeś na golonkę.
- Marzyciel. Golonka w Warszawie o dziewiątej wieczorem? Chodźmy.

## ROZDZIAŁ IV

## Noc w warsztacie samochodowym

Każdy, kto choć raz wyjeżdżał z Warszawy samochodem w kierunku Modlina i Gdańska, na pewno przypomina sobie, że jadąc ulicą Marymoncką, niedaleko za Cmentarzem Włoskim, mijał stojącą na skraju drogi wielką, barwną tablicę. Napis wykonany wielkimi literami głosił, że właśnie tutaj znajduje się warsztat naprawy samochodów Józefa Jankowskiego. Specjalność; roboty blacharskie i diagnostyka. Za wysoką siatką odgradzającą całą, niewielką zresztą, posesję widać było biały, jednorodzinny domek. Szeroka brama prowadziła tuż przy domu na podwórze, gdzie w głębi wybudowano sporą halę fabryczną - właśnie ten warsztat blacharski.

Minęła godzina dziesiąta wieczorem. Deszcz wprawdzie nie padał, ale zimno było przenikliwe. Ulicą Marymoncką z rzadka przemykały samochody. Czasami przetoczył się tramwaj. Przed bramą warsztatu stało trzech ludzi. Chwilę obserwowali zarówno całą posesję, jak i ulicę. Było pusto.

- Dobra jest - stwierdził Andrzej Doberski. - Nikogo nie ma. Możemy wchodzić.
- W środku może być nocny dozorca - Zygmunt Lipień jak zwykle zgłosił zastrzeżenia. - Pewno śpi w warsztacie.
  - To go obudzimy - Andrzej nacisnął guzik dzwonka. Rozległ się głośny sygnał, powtórzony później dwukrotnie, gdyż Doberski zadzwonił aż trzy razy. Nikt jednak nie zjawił się na ten alarm.
  - Już po strachu - zauważył Tadeusz Majewski. - pamiętam, Kazik kiedyś wspominał, że teraz nocuje na Marymonckiej, bo właściciel warsztatu wyjechał wraz z rodziną na urlop do Bułgarii. Gdyby był dozorca, Strzelczyk nie musiałby tu mieszkać.

Andrzej uważnie obejrzał bramę wjazdową. Zamknięta była na łańcuch spięty potężną kłódką.

- To ten klucz - Doberski bezbłędnie dobrał odpowiedni klucz z kółka i bez trudu otworzył bramę. Cała trójka wśliznęła się do środka. Andrzej nie poprzestał na uchyleniu wierzei, ale otworzył je na oścież i żeby się nie mogły zamknąć, wsunął haczyki w odpowiednie otwory bocznych słupków.
  - Co ty robisz? - przestraszył się Zygmunt.

A tymczasem Doberski podszedł do hali warsztatowej. Odnalazł znajdujący się na ścianie kontakt i nacisnął. Zapłonęły lampy na wszystkich drzwiach hali i ta na

słupie oświetlająca całe podwórze.

- Zgaś natychmiast! Jeszcze nas tu ktoś zobaczy - denerwował się Lipień.
- Właśnie dlatego to robię, żeby nas widziano - Andrzej spokojnie

dopasowywał klucze do drzwi warsztatu.

- Zwariował! Daję słowo, że zwariował - Zygmunt był bliski ucieczki.

Również Majewski nie rozumiał postępowania kolegi. On też zaczął się obawiać. A Andrzej otworzył już warsztat i także zapalił w nim światła. W hali, która miała pięć dużych boksów, stało osiem samochodów. Każdy w inny sposób uszkodzony. Ten miał zderzenie czołowe, inny, jak świadczyły kompletnie rozbite drzwi z prawej strony, musiał otrzeć się o drzewo. Na dużego forda ktoś najechał i jak to się mówi „zrobił mu garaż z bagażnika”. Duża czarna wołga z tabliczką „CD” dostała z lewej strony maski. Poszedł błotnik i reflektory.

Doberski uważnie rozejrzał się dokoła. Pod jedną ze ścian postawiono metalowe szafki. Niektóre zamknięte na niezbyt skomplikowane kłódki, ale większość otwarta. Wisiały w nich kombinezony robocze, jakie pracownicy warsztatu wkładali do roboty. Andrzej podszedł i wyjął dwa.

- Chłopaki! - Piorunem zakładajcie te ciuchy i brać się do roboty przy tej wóldze.

- Dlaczego? - tym razem i Majewski był przekonany, że ich towarzysz ma nie w porządku „pod strzechą”.

- Wam to trzeba wszystko tłumaczyć, jak chłop krowie na granicy.

Przebierzecie się w kombinezony i będziecie się kręcili koło tego trupa. W tym czasie ja spokojnie zrewiduję posesję, nie wyłączając prywatnego mieszkania Jankowskiego.

- Przecież może nas ktoś zobaczyć.

- No to co? Będzie widział, że w warsztacie pracuje się nocą, żeby doprowadzić do porządku wóz z ambasady. Pilne zamówienie dla obcokrajowców, więc trzeba robić nie oglądając się na porę. A gdybyśmy myszkowali tutaj po ciemku przy latarce elektrycznej lub świecąc zapałkami, diabła byśmy znaleźli i dopiero moglibyśmy zwrócić na siebie uwagę. Przecież to międzynarodowa droga. Stale nią jeżdżą patroli MO.

- To nie jest głupie - Tadeusz zrozumiał plan „wodza”. - Masz łeb!

- Ja zresztą też włożę, kombinezon. Tak będzie wygodniej.
- Zygmunt, wskakuj w to ubranie - sam Majewski szybko zdejmował

garnitur i naciągał poplamiony smarami kombinezon.

- Ale ja się nie znam na samochodach.
- Nie szkodzi. Chodzi o pozorowanie roboty. Staniecie lub usiądziecie przy wołdze i obłożycie się narzędziami. Gdyby się ktoś pokazał, nie wdawajcie się w żadne gadki. Ja będę rozmawiał, a wy pracujcie. Stukajcie albo odkręcajcie jakieś śruby. Zrozumiano?

• Zrobi się - Tadeuszowi bardzo się spodobał plan Doberskiego.

• A jeżeli akurat ciebie nie będzie w warsztacie? - pytanie padło z ust ostrożnego Zygmunta Lipienie.

- To powiecie, że majster poszedł do kantorku i zawołacie mnie.
- Ale w ten sposób my nie będziemy mogli szukać walizki.

- Ja poszukam. Nie bój się, nie okradnę was jak Kazik.

• Ja się nie boję - Zygmunt usiłował dyplomatycznie się wycofać. - Tylko to dłużej potrwa. We trzech byłoby szybciej.

• Na to nic nie poradzimy. Chociaż można i tak zrobić, że w hali warsztatowej wy poszukacie. Ale nie zapomnijcie obejrzeć wszystkich samochodów. W którymś z bagażników może być walizka.

- Taki bagażnik na pewno jest zamknięty.

- Potrafię go otworzyć. Przy Kaziku nie było żadnych kluczyków samochodowych. Znajdę je w kantorku. Razem z dokumentami rejestracyjnymi wozów. Tylko jednocześnie nie włączcie się po warsztacie. Jeden zawsze musi być przy wołdze. Jakby coś, ten drugi łapie pierwsze lepsze narzędzie i wraca do tego auta. No, do roboty!

Doberski przebrał się w kombinezon i przeszedł do sąsiedniego boksu, gdzie znajdowała się lakiernia. Lipień uznał, że najmniejszym ryzykiem jest siedzenie z młotkiem w jednym ręku i jakimś kluczem w drugiej łapie przy rozbitym błotniku. Tadeusz zaczął systematycznie metr po metrze, badać halę warsztatową.

- Zygmunt, puść radio - odezwał się Andrzej z lakierni.
- Jakie radio?
- No, to z wołgi.
- Kiedy nie wiem jak.
- Ale z ciebie fujara - Andrzej wyszedł z lakiem i włączył aparat.

Rozległa się muzyka.



- Teraz już nas wszyscy nie tylko widzą, ale i słyszą - Lipień był niepocieszony.

- O to właśnie chodzi, żeby stworzyć pozory normalnego funkcjonowania warsztatu. Zapewne w czasie pra cy ktoś otwiera aparat i słyszać muzykę.

- Znalazłeś?

- Nie. W lakierni nie ma żadnego schowka. A samo chód, który tam stoi, pusty.

Tadeusz Majewski usiadł na stołku obok wołgi.

- Przeszukałem dokładnie cały warsztat – wyjaśnił. - Wszystkie samochody mają otwarte bagażniki. Szukałem w szafkach na ubrania, bo otworzyłem kłódki. Zbadałem kanał, zaglądałem wszędzie. Nigdzie nie ma tej przeklętej walizki. Gdzie on mógł ją schować?

- Nad lakiernią jest stryszek - wtrącił Zygmunt. - Zauważyłem na podwórzu drabinkę. Może tam?

- Też go widziałem. Trzeba będzie zajrzeć i na tę antresolę.

W tej chwili przed bramą do warsztatu zatrzymał się samochód. W świetle latarni można było dostrzec granatowe litery MO na popielatym tle karoserii warszawy.

- MO! - z przerażeniem szepnął Zygmunt.

- Pracować! - przypomniał Andrzej Doberski i sam złapał leżący na ziemi duży klucz „Szwed”.

Z auta wysiadło dwóch milicjantów i skierowało się w stronę warsztatu.

- Po dwunastej w nocy, a u was się świeci. Co to za nocna robotą?

- Panie sierżancie - Doberski wysunął się do przodu. - Mamy „wołgę z ambasady. Paskudnie dostała. Cały błotnik trzeba klepać. A jutro musi być gotowa. Chciał nie chciał, trzeba w nocy przy niej porobić.

- Macie pozwolenie na pracę w nocy?

- Ja tam nie wiem. Pewnie pan Jankowski ma. Ale stale przecież nie robimy. Czasem tylko. Sam bym wolał teraz spać.

- A gdzie właściciel?

- Nie ma go w Warszawie. Wyjechał na urlop do Bułgarii.

- A ten drugi?

- Pan Kazimierz Strzelczyk? On go zastępuje. Poszedł do domu trochę się

przespać. O piątej ma tu przyjść razem z lakiernikiem. Do tego czasu my wyklepiemy, co potrzeba.

- Coś mi się wydaje, że ten wasz Jankowski zapłaci mandat za nocną pracę. Doberski roześmiał się.

- Na pewno na tym nie straci. Ambasadzie pilno z tym wózkiem, to pokryją i taki wydatek. Nam też obiecali osobno dołożyć, żeby tylko wołga była jutro na chodzie.

Sierżant wyjął z mapnika notes i coś w nim zanotował.

- No dobra - stwierdził. - Pracujcie dalej. Do widzenia.

- Do widzenia, panie sierżancie.

Radiowóz odjechał.

- Widzicie - tryumfował Doberski. - Żeby nie moja głowa, to byśmy leżeli jak neptki. A tak, światło się pali, radio gra, mechanicy pracują, wszystko w porządku. Najwyżej Jankowski po powrocie z Bułgarii zapłaci mandat. Dopiero się zdziwi! Gdzie ta drabina, Zygmunt?

- Z prawej strony podwórza. Koło siatki, gdzie ta kupa złomu.

- Dobrze, znajdę ją i zbadam ten stryszek.

- A ja poszukam na podwórzu. Może Kazik schował pod złomem? Tam leżą różne blachy, połamane karoserie, pokrywy do bagażników Mógł pod nie wcisnąć walizę.

- Zbadaj również pojemniki na śmieci - dorzucił Andrzej.

- Zrobi się.

Majewski wziął się do pracy na podwórzu, Doberski przyciągnął drabinę i zniknął na stryszku. Jedynie Zygmunt siedział na stołku obok wołgi i czujnie wpatrywał się w widniejący z dala wycinek ulicy, którą teraz w nocy rzadko kto przejeżdżał. Po godzinie Andrzej w niesamowicie zawałanym kombinezonie zszedł z góry. Miał twarz jak Murzyn. Oddychał z wysiłkiem.

- Niech to diabli wezmą! Napracowałem się i wybrudziłem. Przejrzałem to. Zbiorowisko jakichś nikomu chyba niepotrzebnych gratów. Blachy, żelaza, skrzynki drewniane z rozmaitym szmelcem. A zakurzone! Nikt tam od lat nie zaglądał. Pełno pyłu i nie ma czym oddychać.

- A walizka?

- Zostawiłem ją na górze, żeby spokojnie leżała. Ty, Zygmunt, masz chyba

fiola. Gdybym ją znalazł, nie siedziałbym na tym przeklętym strychu tak długo. Gdzie tu można się umyć?

- A bo ja wiem?

- Z tyłu, koło tego złomu, jest ubikacja i umywalnia - wyjaśnił Tadeusz, który także skończył „rewizję” na podwórzu. - Pod złomem nic nie ma. W pojemnikach na śmieci także. Ale stojące na podwórzu samochody są zamknięte.

- Na pewno kluczyki będą w kantorku. Zresztą - dodał Andrzej - z tym kompletem narzędzi, jakie tu się znajdują, można otworzyć każdą pancerną kasę, chociaż wolałbym tego unikać, aby nie pozostawać śladów po sobie.

- Ojej! - przestraszył się Zygmunt. - Przecież my pracujemy bez rękawiczek!

- To co z tego?

- Milicja może zdobyć nasze odciski.

- Kompletny wariat. Przede wszystkim kto będzie wiedział, że tu byliśmy?

- Choćby Jankowski, jeżeli dostanie nakaz płatniczy.

- Najpierw musi go dostać. Gdyby nawet do tego doszło, będzie przekonany, że ktoś z polecenia Kazika pracował w nocy.

- Może sprawdzić.

- Niczego nie dojdzie. Zresztą ani mu to nie będzie w głowie. Do tego czasu milicja ustali tożsamość trupa leżącego teraz na Bielanych nad brzegiem Wisły i Jankowski nie będzie miał u kogo sprawdzać. A poza tym na samochodach i na narzędziach jest, jeżeli nie tysiące to najmarniej setki rozmaitych odcisków. Właściciele aut i pracowników. Samochody stąd wyjadą, a narzędzia wezmą do ręki inni ludzie. Nie ma najmniejszej szansy, żeby ktoś tu szukał i zidentyfikował nasze odciski palców.

- Ty zawsze lekceważysz niebezpieczeństwo. A jak przyjdzie co do czego, robisz głupstwa.

- Jakie głupstwa?

- Gdyby nie ty, Kazik by żył i nie trzeba by się było martwić o pieniądze. - Ja go nie zabiłem.

- Tego nie mówię. Ale żebyś wtedy nie rzucił się na niego, nie doszłoby do wypadku.

- A ty jak baran wziąłbyś ochłapy, jakie by ci rzucił wielmożny pan Strzelczyk.

- Od kiedy to pół miliona jest ochłapem?
- Umówiliśmy się przed akcją, że dzielimy zdobycz na cztery równe części, czy nie tak było? - Doberski coraz bardziej się denerwował.

- Było - przyznał Zygmunt - ale potem trzeba było spokojnie rozmawiać z Kazikiem. Na pewno byśmy go przekonali.

- Diabła tam przekonali. Od początku planował, że nas wykiwa. Dlatego wtedy przyszedł bez pieniędzy.

- Teraz ich również nie mamy. Cóż z tego, że wyliczyłeś, iż dostaniemy obecnie po milionie i czterysta tysięcy. Gdzie one są?

- Przecież ich szukamy. Ja i Tadeusz. Tylko ty siedzisz na stołku i palcem nie kiwnąłeś, żeby je znaleźć.

- Tu nie potrzeba palca, ale głowy.

- To rusz tą głową.

- Może i ruszę, kiedy przyjdzie czas.

- Macie zamiar tak całą noc się kłócić? - wtrącił Tadeusz. - Zamiast dalej szukać walizki? Czas ucieka, a jutro nie będziemy mogli tu przyjść powtórnie. - Bo ten mnie zawsze zdenerwuje.

- Lubię takich, co sami naknocą, a później zwalają winę na innych.

- Obaj jesteście dobrzy - osądził współników Majewski. - Teraz ja posiedzę przy wóldze, a wy dwaj spenetrujecie mieszkanie Jankowskiego. Nie zapomnij, Andrzej, o tych samochodach stojących na podwórzu.

- Dobrze, dobrze.

W pęku kluczy znalezionych przy zabitym były również pasujące do drzwi kantorku, który znajdował się na lewo od wejścia, w budynku mieszkalnym. W tym pokoju stało biurko, a na nim porządnie ułożone papiery wozów znajdujących się w naprawie. Na każdym dokumencie rejestracyjnym leżały kluczyki. Ścianę z tyłu za biurkiem zajmował aż po sufit regał, wypełniony najrozmaitszymi częściami samochodowymi. Były wśród nich i najpotrzebniejsze przy remontach i rzadsze „okazy” trudne do kupienia w sklepach. Leżały tu nawet paski klinowe do fiatów - rarytas, którego w punktach sprzedaży „Motozbytu” nie ogląda się przynajmniej od trzech lat.

Pod jedną ścianą tego niewielkiego pomieszczenia stała „amerykanka”, rozłożona i porządnie posłana.. Tutaj sypiał Strzelczyk, zastępując zarówno

właściciela warsztatu, jak i nocnego dozorcę.

Biurko nie było zamknięte na klucz. W jego szufladkach znajdowały się książki handlowe firmy, jej korespondencja i inne papiery. Najwięcej było rachunków zakupu części samochodowych. Poszukiwanych pieniędzy tu nie znaleziono, jak również i w dokładnie obejrzanej „amerykance”.

Z kantorku drzwi prowadziły do dalszych pokoi. Były jednak zamknięte. Wszelkie próby dobrania odpowiedniego klucza z kółka nie powiodły się. Także inne drzwi do mieszkania właściciela, które wychodziły bezpośrednio na małą sionkę, nie dały się otworzyć. Przed niepożądanymi gośćmi zabezpieczono je aż dwoma zamkami „yale” i dużą zasuwą.

- Te drzwi można sforsować jedynie na siłę - ocenił Doberski. - Sprawdzę najpierw samochody na podwórzu, a później zastanowimy się, co robić.

W samochodach walizki nie było. Nie było w nich w ogóle niczego. Zamknięto je chyba dlatego, żeby ktoś niepowołany nie szperał w ich wnętrzu. Ostatecznie przeskoczenie przez siatkę nie stanowiło większej przeszkody dla złodziejaska, który mógłby w nocy dostać się do aut postawionych pod gołym niebem. Dlatego przezornie zabrano z nich i schowano w warsztacie wszystko, co mogło się znajdować w bagażnikach lub wewnątrz wozów. Widocznie Jankowski miał już smutne doświadczenia i musiał właścicielom samochodów odkupywać pozostawione w wozach drobiazgi.

Trzej wspólnicy odbyli krótką naradę.

- Drzwi zewnętrznych nie da się otworzyć - wyjaśnił Doberski. - Chyba, że je wyważymy. Natomiast, drzwi, które prowadzą z kantorka do pokoi mieszkalnych są zamknięte na zwykły zamek. Tu nie widzę większych trudności.

- A kluczy nie ma w kantorku? - zapytał Tadeusz.

- Nie. Zwracałem na to specjalną uwagę. Żadnych kluczy poza tymi do samochodów nie znalazłem. Również w mieszkaniu Kazika ich nie było.

- Może Kazik nie wchodził w ogóle do mieszkania Jankowskiego, bo on nie zostawił mu kluczy? Kiedyś byłem w tym kantorku, ale wtedy nie widziałem „amerykanki”.

- Na pewno tam nie stała - poświadczył Zygmunt.

- Klucz to niewielki przedmiot - rozumował Tadeusz Majewski - i można byłoby go szukać w warsztacie przez kilka dni i w końcu nie znaleźć. Przysnaję zresztą, że szukałem walizki, a nie klucza. Jankowski był nie tylko pracodawcą

Strzelczyka, ale jego dawnym szkolnym kolegą i przyjacielem. Miał do niego całkowite zaufanie. Nie wyobrażam sobie, żeby w takiej sytuacji nie zostawił mu tego klucza do drzwi z kantorku do mieszkania. Brak klucza na kółku jest właśnie argumentem, że walizka została schowana w mieszkaniu prywatnym właściciela warsztatu.

- Tadek ma rację - przyświadczył Lipień. - Jeżeli ja gdzieś wyjeżdżam na dłużej, a nie ma w tym czasie reszty domowników, zostawiam klucz sąsiadom, chociaż ich prawie nie znam. Oni zresztą robią to samo. W naszej kamienicy tak się przyjęło. Jakiś facet wyjechał na miesięczny urlop, nie zostawił kluczy ani adresu, a tym czasem pękła rura. Nie dość, że mu całe mieszkanie zalało, ale administracja musiała wyłączyć aż do jego powrotu ciepłą wodę na wszystkich piętrach.

- W takim razie - powiedział Andrzej - zaraz dorobię jakiś wytrych i spróbujemy się dostać do mieszkania Jankowskiego.

- Tylko ostrożnie - ostrzegął Zygmunt. - Trzeba się tak zachowywać, aby właściciel po powrocie nie spostrzegł, że ktoś gospodarował w jego lokalu.

- Dziecko jestem i tego nie rozumiem - rozzłościł się Doberski. - Ty, Zygmunt, zawsze chcesz wszystkich uczyć.

- Bo odczuwam skutki twojego postępowania.

- Spokój! - Tadeusz Majewski podniósł głos. - Niech Zygmunt pilnuje tutaj, a my we dwóch wejdziemy do mieszkania.

Doberski wybrał z leżących na warsztatowym stole parę metalowych prętów różnej grubości i przy pomocy młotka zagiął i sklepał jeden koniec każdego z nich. W ten sposób powstała mała seria wytrychów. Z tymi narzędziami dwaj włamywacze udali się do kantorku i bez większego trudu drugim czy trzecim wytrychem otworzyli drzwi do pomieszczeń prywatnych właściciela warsztatu.

- Nie zapalajmy światła.

- Dlaczego? - powiedział Andrzej. - Jest już wpół do trzeciej w nocy. Milicja wie, że w warsztacie pracują, a inni nie zwracają na to uwagi. Zresztą przez te zasłony niewiele blasku przenika na zewnątrz. Uważam, że śmiało możemy palić boczne światła. Górnych na suficie bym nie ruszał - to mówiąc odnalazł stojącą na małym stoliku lampę i zapalił ją.

Mieszkanie Jankowskiego składało się z trzech pokoi, obszernej kuchni i łazienki. Budowane było z myślą o jak największej wygodzie użytkowników. Sam właściciel budował je dla siebie i nie musiał zbytnio się liczyć z kosztami. W każdym

pokoju były szafy w ścianach. Jedno wewnętrzne pomieszczenie bez okna spełniało funkcję

ubieralni. Kuchnię obudowano szafkami i wyglądała jak jakieś laboratorium chemiczne.

Jednakże od razu - można się było zorientować, że w tym lokalu od paru tygodni nikt nie mieszkał. Na stolach i na posadzce zebrało się sporo kurzu. Pomimo zamkniętych okien, pył z ulicy przenikał do wewnątrz.

Obydwaj włamywacze z zachowaniem pełnej ostrożności szybko i sprawnie rewidowali pokój po pokoju. Zbadano szafy, szuflady, zaglądano do tapczanów. Cztery miliony nawet w banknotach po tysiąc i po pięćset złotych, to nie drobiazg, który można niepostrzeżenie gdzieś ukryć. A jednak tych pieniędzy i tutaj nie było.

Zygmunt Lipień, ciągle siedzący koło rozbitej wołgi, nie zapytał towarzyszy niedoli o wynik ich poszukiwań. Z kantorku wyszli dwaj mężczyźni o mocno zafrasowanych minach:

- Gdzie on mógł zapeklować tę walizę? - martwił się Majewski.

- Znajdziemy ją - Andrzej próbował pocieszyć kolegów.

• A piwnice pod domem zbadaliście? - zapytał Zygmunt.

• Piwnice?

• Widziałem w sionce schody prowadzące na dół. A te okienka świadczą, że dom jest podpiwniczony.

• Psiakrew! - zachnął się Doberski. - Rzeczywiście zapomniałem o piwnicach. Idziemy.

Po półgodzinie wrócili do warsztatu w równie złych humorach.

• Nie ma - krótko stwierdził Tadeusz. - Obejrzelście wszystko?

• Co tylko się dało. Tam jest kocioł centralnego ogrzewania, skład na koks i dwie piwnice. W obu rozmaite graty. Głównie części karoserii samochodowych. Próbowaliśmy, może walizka została zakopana w ziemi, ale cementowa podłoga nie ma żadnych śladów świeżego betonowania.

Zapadło głucho milczenie. Przerwał je Zygmunt Lipień: - Za dwadzieścia szósta - zauważył. - Mamy tak długo siedzieć, aż przyjdą pracownicy warsztatu i nas nakryją?

- Trzeba się wynosić. I tak już nie mamy tu nic do roboty - potwierdził Tadeusz.

Doberski pogasił światła, pozamykał warsztat i kantorek, a także zatrzasnął bramę wjazdową i umieścił kłódkę na jej normalnym miejscu. Przed odejściem jeszcze raz obejrzał uważnie całą posiadłość.

Trójka mężczyzn bez słowa skierowała się w stronę najbliższego przystanku tramwajowego. Dopiero po drodze Andrzej wyjął i dokładnie obejrzał kółko z kluczami. Policzył je i później sprawdzał każdy z osobna.

- Używałem - powiedział - wszystkich kluczy prócz tych dwóch.

Pokazał kolegom dwa płaskie kluczyki. - To do „yale”.

- Nie - poprawił Tadeusz. - Raczej do jakichś kłódek.

- Nie pasowały nigdzie. Próbowałem i doskonale to pamiętam.

• Pewnie są do tego pomieszczenia z pieniędzmi - gorzko roześmiał się Majewski. - Ale jak je odnaleźć?

• Wiem jedno - powiedział Zygmunt. - Włamałem się do banku, grozi mi najmarniej piętnaście lat więzienia, a nie zyskałem złamanego grosza. Dziękuję ci za to, Andrzeju.

Zanim Doberski zdążył coś odpowiedzieć, Lipień podbiegł do ruszającego właśnie tramwaju i wskoczył do ostatniego wagonu. Majewski także nie żegnając się skręcił na pobliską wysepkę autobusową. Doberski samotnie doszedł do przystanku i czekał na następny tramwaj. Był wściekły, a jednocześnie przyznawał, że w słowach kolegi jest dużo prawdy. Rzeczywiście, groziła im surowa kara, natomiast owoce popełnionego przestępstwa wymknęły im się z rąk. Czy przez niego? Gdyby bardziej panował nad swoimi odruchami, Kazimierz Strzelczyk żyłby do tej chwili. Z żywego drogą perswazji, prośby, a choćby nawet groźby można było wydusić należną im dołą zrabowanych pieniędzy. Trup leżący nad Wisłą na pewno nie zdradzi tajemnicy, którą zabrał do grobu.

Nadjechał tramwaj. Andrzej wszedł, zajął miejsce przy oknie i udawał, że z zaciekawieniem przygląda się mijanym widokom. Ale jego myśli ciągle wracały do jednego pytania:

- Do jakich zamków pasują te dwa małe klucze?

Doberski nie domyślał się, że to samo pytanie stawiali sobie także jego dwaj wspólnicy. Każdy z nich snuł różne hipotezy, każdy zamierzał na własną rękę szukać pieniędzy. I każdy z nich postanowił, że jeżeli znajdzie skarb, całość zagarnie dla siebie. Z nikim się nie podzieli.

Gang przestępczy jest zawsze solidarny, kiedy jego drogami idzie



powodzenie. Solidarność ta w obliczu klęski pryska jak mydlana bańka.

## ROZDZIAŁ V

### Wątpliwości porucznika Fałęckiego

Nazajutrz po znalezieniu przez milicję ciała człowieka który zginął w. Lasku Bielańskim wskutek osunięcia się skarpy wiślanej, do Komendy Dzielnicowej Warszawa-Północ Zgłosił się pewien mężczyzna i opowiedział dyżurnemu oficerowi banalną historię:

Pracuje w warsztacie samochodowym Józefa Jankowskiego. Właściciel przebywa w tym czasie na urlopie w Bułgarii, natomiast przedsiębiorstwem zarządza Kazimierz Strzelczyk, zresztą przyjaciel Jankowskiego. Otóż ten Strzelczyk już od dwóch dni nie pokazuje się w warsztacie. A przecież w czasie nieobecności właściciela jego zastępca nawet mieszkał na terenie warsztatu w kantorku przy mieszkaniu Jankowskiego. Próby skontaktowania się ze Strzelczykiem w jego własnym mieszkaniu przy ulicy Solec nie dały rezultatu.

- Pewnie się gdzieś zaszwendął albo zrobił sobie polski urlop - zauważył przedstawiciel. MO po wysłuchaniu opowiadania Jana Warciaka. - To dopiero nieco więcej niż dwie doby od momentu, kiedy widzieliście go po raz ostatni. Dorosły człowiek. Na alarm jeszcze za wcześnie. Warsztat zamknięty?

- Nie. Ja mam klucze do warsztatu, więc pracujemy normalnie, ale kierownik miał klucze do magazynu kantorku. To nam sprawia sporo kłopotów. W kantorku są kluczyki i dokumenty naprawianych wozów. Nie możemy klientom oddać ich samochodów, chociaż są gotowe. A każdemu się śpieszy. Pan porucznik sam rozumie. Dlatego przyszedłem tutaj. Wykluczone, żeby wartownik mógł zostawić interes bez żadnej opieki i samemu iść w tango. To mu się nigdy nie zdarzało. A jeszcze pod nieobecność właściciela? Coś się musiało stać. Milicjantowi przyszła do głowy pewna myśl.

- Jak wyglądał ten wasz Strzelczyk?

- Szatyn, oczy niebieskie, nos wydatny. - A wzrost?

- Mniej więcej mojego, mam metr siedemdziesiąt pięć.

- Ubranie?

- Miał kilka garniturów. Kiedy ostatnio wychodził z warsztatu, miał na sobie popielate spodnie i granatową marynarkę. Ciemny płaszcz. To było przed trzema

dniami. Trochę po godzinie trzeciej. Kierownik powiedział, że za dwie godziny wróci. Akurat mieliśmy pracować dłużej, bo trafiła się pilna robota. Wołga z ambasady. Ci obcokrajowcy jeżdżą bardzo nieuważnie. Nie ma miesiąca, żeby jakiegoś wozu z ambasady nie dali nam do naprawy. Stały klient. Płaci w terminie i nie targuje się o parę seciaków.

- Poczekajcie chwilę - oficer przerwał monolog gadatliwego mechanika i wyszedł.

Powrócił w towarzystwie porucznika w cywilnym ubraniu i płaszczu. - Pojedziecie z porucznikiem Fałęckim.

- Dokąd? - Jan Warciak nieco się przestraszył.

- Niedaleko. Potem odwieziemy was prosto do warsztatu. Najpierw pokażemy wam kogoś, w kim może rozpoznacie waszego kierownika.

- Czyżby mu się przydarzyło jakieś nieszczęście?
- Sami - zobaczcie - oficer milicji nie chciał wtajemniczać Warciaka w sprawę człowieka znalezionego w Lasku Bielańskim, aby niczego nie sugerować świadkowi. Wiedział bowiem z praktyki, że ludzie szybko ulegają w takich przypadkach wrażeniom i różnym opiniom. Często rodzina poznaje w okazanych jej zwłokach kogoś bliskiego, kto za jakiś czas zjawia się w domu cały i zdrowy.

W prosektorium na stołach przykrytych białymi prześcieradłami leżało kilkanaście zwłok. Na polecenie porucznika posługacz odsłonił twarz trzech mężczyzn.

- Pan poznaje?

Jan Warciak, nie należy się temu dziwić, był przerażony i zaszokowany miejscem, w którym się znalazł. Jednakże bez wahania wskazał na jeden ze stołów.

- To on. Kazimierz Strzelczyk!
- Jest pan tego pewien?
- No jakże. Przecież pracowałem z nim przez sześć lat. Dzień w dzień. To straszne. Co mu się stało? Zabili go?
- Nie - porucznik nie widział powodu, aby z tego robić tajemnicę. - Znaleźli go dwaj wędkarze w Lasku Bielańskim. Leżał nad samą Wisłą. Spadł ze skarpy. Najprawdopodobniej ziemia się osunęła. Uderzył o kamień i złamał kręgosłup. Trup na miejscu.
- W Lasku Bielańskim? - Warciak nie krył swojego zdumienia. - A co on

tam mógł robić? Nie do wiary.

- Może się z kimś umówił? Z jakąś dziewczyną na przykład.

- Kiedy wychodził z warsztatu, było chłodno, pochmurno i zanosilo się znowu na deszcz. On nie należał do ludzi, którzy musieli się umawiać z dziewczynami gdzieś w lesie nad Wisłą.

.- Może nie z dziewczyną, a z kimś innym? Może mieli jakiś interes do załatwienia?

- W lesie? - Jan Warciak nie był przekonany.

.- Zwrócił pan uwagę, czy Strzelczyk miał wtedy przy sobie jakieś papiery, pieniądze, dokumenty lub zabrał z warsztatu jakąś paczkę?

- Pieniądze miał na pewno. Jako kierownik warsztatu inkasował wszystkie wpływy od klientów. Tego dnia paru z nich wpłaciło kilka tysięcy złotych za naprawę wózków. Strzelczyk miał zwyczaj noszenia pieniędzy w kieszeni i po zamknięciu warsztatu wpłacania części do PKO na rachunek właściciela. Miał też zawsze kilka tysięcy w rezerwie. Warsztat wykładał pieniądze na zakup materiałów i części zamiennych. Musiał mieć przy sobie dowód osobisty i prawo jazdy. Każdego dnia odbywał próbne jazdy na wyremontowanych wozach.

- Nie znaleźliśmy przy nim ani pieniędzy, ani dokumentów.

- To niemożliwe! A klucze? Do warsztatu, kantorku, magazynku, szafek stojących w warsztacie i klucze do własnego mieszkania? Nosił je razem na dużym kółku. Zawsze się dziwiłem, w jaki sposób on je odróżnia i od razu dobiera do każdego zamka odpowiedni.

- Nic przy nim nie było. Nawet pudełka zapalek czy chusteczki do nosa.

- Musieli go jacyś chuligani zwabić do Lasku Bielańskiego, tam zamordowali i ograbili. Taki porządny człowiek i tak zginął.

- Zabójstwo jest wykluczone. To wyraźnie stwierdza sekcja zwłok.

- Zepchnęli go z tej skarpy tak, żeby zginął.

- Wprost nieprawdopodobne. Gdyby nie uderzył o ten kamień którymś tam kręgiem szyi, nic by mu się nie stało. Najwyżej by się trochę potłukł albo złamał rękę lub nogę. Widocznie ktoś przed tymi wędkarzami znalazł trupa i go okradł.

- Ale, panie poruczniku - upierał się Warciak - co on mógł robić nad Wisłą?

Przecież nie poszedł na ryby. Wiedział, że w warsztacie mamy pilną robotę, i zapowiadał, że niedługo wróci.

- To miejsce, gdzie go znaleziono, nie jest tak daleko od waszego warsztatu.

Dwa przystanki tramwajem i paręset metrów przez Lasek Bielański.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ja też - przytaknął porucznik. - Wprawdzie obiecałem zaraz odwiedzić pana do warsztatu, ale wobec ujawnienia nowych okoliczności, najpierw pojedziemy do komendy. Trzeba zrobić oficjalny protokół.

Po załatwieniu formalności, oficer milicji dopytywał.

- Nie wiecie, Kazimierz Strzelczyk miał żonę, dzieci, jakichś krewnych?

• Z żoną się rozwiódł przed paru laty. Dzieci nie mieli. Parokrotnie wspominał o bracie. Jest jakimś dyrektorem, ale nie wiem gdzie. Mieszkał samotnie.

- Jakież kobiety, narzeczone?

• Nigdy nic nie mówił. Świętym pewnie nie był. Parę razy widziałem go w mieście z różnymi babkami, ale żadnej z nich nie znałem. Jak się pracuje u prywaciarza, człowiek może dobrze zarobić, ale za lenistwo mu nie płacą. Nie ma czasu na pogaduszki... A co my teraz mamy robić z warsztatem? Zamknąć, kiedy tam tyle wózków czeka na naprawę? A te kluczyki i dokumenty, które są w kantorku?

Porucznik zastanowił się, a potem zapytał:

- Macie adres właściciela?

- Mamy. Jest list w kantorku. Ale kantorek zamknięty.

- To nic. Wezwiemy specjalistę i otworzymy komisyjnie.

• Po co zrywać? Albo my nie mechanicy? Lepszych fachowców pan nie znajdzie. Jak pan porucznik pozwoli, sami otworzymy te zamki.

• Pojedziemy do warsztatu i przeprowadzimy oględziny. Potem dacie depezę, żeby Jankowski przyjeżdżał jak najprędzej, i będziecie do jego przybycia prowadzić warsztat. Naturalnie na waszą odpowiedzialność. Skoro właściciel dał wam klucze, widocznie miał do was zaufanie.

• No pewnie, że miał! - oburzył się Warciak. - Pracuję u niego przeszło sześć lat. Od początku.

Oględziny kantorka i pomieszczeń, do których klucze powierzono jedynie Strzelcykowi, nie przyniosły niczego rewelacyjnego. Znaleziono adres Jankowskiego i dokumenty wozów znajdujących się w naprawie. Ani kluczy, ani pieniędzy i papierów osobistych zmarłego nigdzie nie było. Milicja na wszelki wypadek wynotowała numery rejestracyjne wszystkich pojazdów - będących w

robocie.

- Czy gotowe wozy można wydawać klientom? - dopytywał się Jan Warciak.

- Mnie one nie obchodzą - odpowiedział porucznik. - A co do rozliczeń pieniężnych z ich właścicielami, martwcie się o - to sami.

Po powrocie do komendy porucznik Adam Fałęcki zdał szefowi sprawozdanie ze swoich czynności.

- A zatem - stwierdził major Ochocki - zidentyfikowaliśmy zwłoki. Pozostaje do rozszyfrowania tajemnica okradzenia zabitego nie tylko z pieniędzy, ale także z dokumentów i kluczy. Natychmiast zabezpieczyć mieszkanie na Solcu, a także skomunikować się z rodziną zmarłego. Wspominaliście coś o jego bracie?

- Tak, ale nikt w warsztacie nie umiał niczego bliższego o nim powiedzieć, prócz tego, że jest jakimś naczelnym dyrektorem. Ale czy to prawda? Ludzie lubią przedstawiać członków swojej rodziny jako bardzo ważne osobistości. Niejeden woźny w ten sposób awansował na prezesa.

- Spróbujcie znaleźć tego faceta w książce telefonicznej - polecił major. - Jeżeli jest rzeczywiście dyrektorem, musi mieć telefon domowy. Gdyby te poszukiwania nie dały rezultatu, trzeba pojechać do Biura Ewidencji Ludności i tam sprawdzić pod nazwiskiem Strzelczyk, kto urodził się z tych samych rodziców co nasz nieboszyk. Po odnalezieniu brata, niech on również zidentyfikuje zwłoki. Ale przede wszystkim zabezpieczcie mieszkanie. Złodziej ma klucze i być może już obrobił lokal zabitego.

- Tak jest, obywatelu majorze - odmeldował się porucznik.

Ekipa milicyjna nie znalazła śladów włamania w mieszkaniu Kazimierza Strzelczyka. Ubrania wisiały w szafie, w biurku były rozmaite dokumenty oraz trochę pieniędzy, parę premiovych książeczek PKO i jedna zwykła z dość poważnym wkładem, bo liczącym przeszło dwadzieścia tysięcy złotych. Wszystko to świadczyło, że zmarły był za życia pedantem, a materialnie powodziło mu się nieźle. Milicja nie przeprowadzała dokładnej rewizji, bo nie miała do tego żadnych powodów. Ograniczono się jedynie do pobieżnej lustracji całego pomieszczenia.

Porucznik Fałęcki miał szczęście. Wprawdzie w warszawskiej książce telefonicznej jest kilkudziesięciu Strzelczyków, jednakże już trzeci z nich na pytanie oficera milicji, czy ma brata Kazimierza, odpowiedział twierdząco.

- Dawno widział pan brata? - dopytywał Fałęcki.

- Chyba ze trzy lata temu - wyjaśnił Wojciech Strzelczyk. - Na ogół nie

utrzymujemy z bratem bliższych stosunków. Nawet nie wiem dokładnie, gdzie teraz mieszka. Podobno na Powiślu. Czy coś się stało?

- Obawiam się, że tak - ostrożnie potwierdził oficer MO. - Musimy pana prosić o pofatygowanie się do komendy.

- Przyjadę najdalej za pół godziny - obiecał Wojciech Strzelczyk.

Brat zabitego okazał się mężczyzną w wieku pięćdziesiątki. Nieco wyższy od zmarłego, był jednak do niego bardzo podobny. Włosy szpakowate, twarz pociągła. Ubrany był elegancko, w dobrze skrojony garnitur. Pod budynek komendy MO podjechał własnym wartburgiem. Uważnie wysłuchał relacji porucznika Fałęckiego, nie okazując jednak żadnych wzruszeń. Był rzeczywiście naczelnym dyrektorem fabryki urządzeń elektrotechnicznych.

- Tak - powiedział. - To przykre, że taki koniec spotkał Kazimierza. Zginął jak pies nad brzegiem Wisły. Ale cóż zrobić, każdy jest kowalem swojego losu. Przyznaję szczerze, że nie dziwiłbym się, gdybym usłyszał o nim coś znacznie gorszego.

- Cóż może być gorszego od śmierci? - porucznika nieco zdziwiło tak chłodne przyjęcie wiadomości o śmierci osoby najbliższej.

- Kazik, mój młodszy brat, był trudnym dzieckiem. Nie chciał się uczyć. Z kłopotami przebrnął przez powszechniak i później zasadniczą szkołę samochodową. To bardzo martwiło naszych rodziców. Do tego dochodziły różne wybryki chuligańskie. Potem pracował w FSO. Tam też zamieszany był w jakąś aferę kradzieży części samochodowych. Od sprawy sądowej zdołał się jednak wykręcić, ale z pracy go wylano. Ożenił się z przyzwoitą dziewczyną. Małżeństwo nie przetrwało nawet trzech lat. Wtedy właśnie straciłem go z oczu. Nasze ostatnie kontakty były raczej przypadkowe. Najczęściej na Powązkach z okazji jakiegoś pogrzebu w rodzime czy Zaduszek. Sądziłem, że w końcu się ustatkował. Podczas naszego ostatniego spotkania, a natknąłem się na niego w kawiarni, chwalił się, że jest kierownikiem stacji naprawy samochodów i dobrze zarabia. Zresztą to było widać. Zadbany, ubrany przyzwoicie. Kto go zabił? Czy orientujecie się, panowie, macie jakieś podejrzenia w tej sprawie?

- Morderstwo jest wykluczone. Lekarze twierdzą, że śmierć nastąpiła wskutek upadku z kilkumetrowej skarpy i uderzenia o kamień. Ślady wskazują na osunięcia się w tym miejscu ziemi podmytej ostatnimi deszczami. Musimy, panie dyrektorze, jeszcze dokonać przykrej formalności, udać się do prosektorium, gdzie

pan zidentyfikuje zwłoki, chociaż podobieństwo rodzinne każe przypuszczać, że o omyłce nie może być mowy. Poza tym pozostaje także sprawa pogrzebu zmarłego.

- Jako jedyny brat zajmę się tym. Żadnej innej bliskiej rodziny nie mamy.

Było nas tylko dwóch. To mój obowiązek, bez względu na stosunki, jakie nas łączyły.

- Jest pan - oficer milicji uśmiechnął się lekko - w takim razie jedynym spadkobiercą zmarłego.

Dyrektor Strzelczyk skrzywił się.

- Nie ma o czym mówić.

• Pan się myli, dyrektorze. Spadek jest dość okazały. Mieszkanie w spółdzielni własnościowej i kilkadziesiąt tysięcy złotych to już coś znaczy. A do tego dochodzą meble, widziałem na ścianie dwa wartościowe obrazy. Szafa w ubrania zasobna. Wszystko razem warte jest okrągłą sumkę. Oczywiście musi być przeprowadzone odpowiednie postępowanie spadkowe.

Wojciech Strzelczyk nie dziwił się słuchając tych słów, a w każdym razie nie okazał swojego zdziwienia. Nadmienił jedynie, że nie ma czasu na te wszystkie formalności i powierzy je adwokatowi. Pojechano do prosektorium, gdzie dyrektor potwierdził” spostrzeżenia Jana Warciaka. Zmarłym, był Kazimierz Strzelczyk.

Prokurator umorzył śledztwo i nie sprzeciwiał się wydaniu ciała rodzinie. Za dwa dni na cmentarzu Bródnowskim odbył się skromny, cichy pogrzeb. Wziął w nim udział także porucznik Fałęcki. Nie z obowiązku, bo sprawa była zakończona, a jedynie z ciekawości i może trochę ze względu na współczucie dla tego człowieka, który zginął wskutek niecodziennego wypadku i o którym nawet brat wyrażał się z nie tajoną niechęcią.

Za trumną szedł dyrektor Wojciech Strzelczyk i jakaś przystojna kobieta, ale nie nosząca żałoby. Prawdopodobnie ta rozwiedziona żona zmarłego. Wspominał o niej w rozmowie z porucznikiem Jan Warciak. On i dwaj pracownicy warsztatu zamykali mały kondukt. Na grobie złożono dwa wieńce: „od rodziny” i „koledzy”.

O śmierci Kazimierza Strzelczyka i jego pogrzebie nie zawiadamiał żaden nekrolog. Nawet „organ nieboszczyków” - „Życie Warszawy” - nie pokwitowało tego zgonu. Oficer milicji, przyglądając się skromnym uroczystościom żałobnym, pomyślał, że dyrektor Wojciech Strzelczyk jest człowiekiem oszczędnym i nie zamierza szastać pieniędzmi, jakie mu przypadły z niespodziewanego spadku.

Porucznikowi Fałęckiemu pozostawało teraz znalezienie nieznanymi sprawców, którzy okradli zwłoki. Oficer MO był pesymistą. Jak można wykryć takich

przestępców, skoro nie pozostawili żadnych śladów i nikt ich nie widział? Rabusie rekrutujący się, tak mniemała milicja, z miejscowych nierobów włóczących się całymi dniami po Lasku Bielańskim, znalezione przy zwłokach pieniądze dawno przepili, zaś dokumenty i inne przedmioty wrzucili do Wisły. W tej sytuacji dochodzenie stawało się zadaniem niewykonalnym. Chyba że któryś z chuliganów wygada się po pijanemu albo zostanie sypnięty przez skłóconego ze sobą towarzysza.

Adam Fałęcki nieco się dziwił opryszkom. Z kieszeni zmarłego wyjęli wszystko, nie pozostawiając najmniejszego drobiazgu. Nie złakomili się jednak na zupełnie nowy płaszcz i bardzo przyzwoite ubranie. Nie ściągnęli z nóg butów. Ale najbardziej intrygujące i niezrozumiałe, że nie zabrali wartościowego zegarka.

Tymi wątpliwościami oficer milicji chciał się podzielić ze swoim zwierzchnikiem, majorem Ochockim. Jednakże w ciągu najbliższych dwóch dni „stary” był nieuchwytny. Jakaś odprawa w Komendzie Stołecznej, później nawał bieżących, ważniejszych spraw. Fałęcki wolał odbyć tę rozmowę w bardziej sprzyjających warunkach, tym bardziej że szczegół ten w niczym nie mógł przyspieszyć lub pomóc w rozwiązaniu zagadki Lasku Bielańskiego.

Tymczasem jednak ujawniono nowe okoliczności. Całkowicie zmieniły one kierunek dochodzenia i ekipę zajmującą się początkowo tą sprawą. Ci, którzy z rąk młodego oficera ją przejęli, nie szukali już drobnych rzezimieszków okradających trupy. Teraz polowali na znacznie większych i bardziej niebezpiecznych przestępców. Oni dobrze wiedzieli, kto powymował z kieszeni zmarłego wszystkie przedmioty, a nie połakomił się na ubranie, buty i zegarek.

## **ROZDZIAŁ VI**

### **Niespodziewany zwrot w dochodzeniu**

Sekretarka, miła i przez wszystkich pracowników Komendy Stołecznej bardzo lubiana panna Krysia, od razu zauważyła, że pułkownik Adam Niemirowicz, naczelnik wydziału „bandyckiego”, wrócił z konferencji w Komendzie Głównej MO podniecony, ale raczej w dobrym humorze. Jeszcze nie zdjął płaszcza, a już polecił:

- Majora Kaczanowskiego do mnie. Ale jak najprędzej.
- Nie wiem, czy jest w budynku. Przecież pułkownik nie dalej jak wczoraj polecił majorowi sprawę tego porzniętego nożami w Parku Kultury i Wypoczynku. Major mówił, że musi jechać obejrzyć miejsce przestępstwa.



- Jak wróci, niech wszystko rzuca i zaraz przyjdzie do mnie.

Wbrew obawom panny Krysi Janusz Kaczanowski był w swoim pokoju i po telefonie wzywającym do szefa zjawił się w gabinecie zwierzchnika.

- Siadaj, Januszkule - pułkownik wskazał jeden z dwóch wygodnych foteli, a sam usadowił się naprzeciwko. - Może papierosa albo kawy lub herbaty?

Major zbyt dobrze znał przyjaciela, aby nie wiedzieć, że taki wstęp nie wróży nic dobrego. Tymczasem Niemiroch mówił:

- Masz taką znudzoną minę, że patrząc na ciebie samemu ma się ochotę ziewać. Działasz lepiej niż phanodorium. Jeszcze trochę, to sobie kimnę.

- W takim razie nie przeszkadzam, - Janusz zrobił ruch, jak gdyby chciał się podnieść. - Powiem Krysi, żeby cię nie budziła przez najbliższe parę godzin.

- Zostań, zostali. Tak źle chyba nie będzie. Jakoś przewyciężę chęć snu. Ale tobie się nie dziwię. Człowiek się nudzi, jeżeli nie ma nic do roboty.

- Bój się Boga, Adam! - zirytował się major. - Nie dalej jak wczoraj powierzyłeś mi dochodzenie w sprawie tego podżganego nożem.

- Co to za dochodzenie? - pułkownik lekceważąco machnął ręką. - Za łatwe dla początkującego kaprala, a cóż dopiero mówić o naszym „asie służby dochodzeniowej”. Chamska sprawa. Paru nożowników, którzy po kilku butelkach „jabcoka” czy piwa porzneli się nożykami. Ale wiedz, że masz przyjaciela. Przygotowałem dla ciebie cacko, a nie sprawę. Prawdziwe delicje, cukierek. Sam ci zazdroszczę.

- Nie lubię słodczy. Sam zjedz ten swój cukiereczek.

- Gdybym to ja mógł? Niestety. Cały wydział na głowie. Co innego ty. Nie masz nic do roboty, żadnych obowiązków.

- Wykrztuś wreszcie, w co chcesz mnie zrobić.

- Będziesz mi wdzięczny do grobowej deski. Znasz sprawę napadu na Ludowy Bank Spółdzielczy w Łowiczu?

Janusz Kaczanowski nawet nie usiłował ukryć zdziwienia. Odpowiedział:

- Wiem tyle, co pisały gazety. Trzech bandytów sterroryzowało personel banku. Zrabowali cztery miliony

złotych i uciekli. Ale to przecież Łowicz. Dochodzenie prowadzi zapewne tamtejsza Komenda Powiatowa MO przy pomocy Wojewódzkiej.

Pułkownik Niemiroch zatarł dłonie.

- Mylisz się, kochany - powiedział słodkim głosem. - My prowadzimy dochodzenie. A właściwie nie my, lecz major Janusz Kaczanowski. Od tej chwili. Cieszysz się?

- Jak cholera.
- Wiedziałem, czym ci dogodzić.
- Przestań wreszcie błaznować - Kaczanowski rozzłościł się na dobre.

Dlaczego my mamy prowadzić dochodzenie, już nie mówiąc o tym, że pakujesz mi zawsze najbardziej paskudne sprawy?

Pułkownik sięgnął po grubą kartonową teczkę leżącą na biurku.

- Jak sobie przypominasz - zaczął - tu zresztą mam dla ciebie cały materiał dochodzenia, w Łowiczu działało co najmniej czterech bandytów. Trzej operowali wewnątrz banku, czwarty w przebraniu funkcjonariusza elektrowni wyłączył światło i telefony.

- Odjechali jasnym fiatem - przerwał Kaczanowski. - Po co mi to opowiadasz? Czytałem w dziennikach.

- Właśnie - przytaknął Niemiroch. - Mozę także znalazłeś w gazetach wzmiankę, że nad Wisłą znaleziono w Lasku Bielańskim ciało jakiegoś mężczyzny?

- Spadł z nasypu i skręcił sobie kark. Miałem o tym raport komendy dzielnicowej.

- Wiesz zatem, że zabitego zidentyfikowano jako Kazimierza Strzelczyka, kierownika prywatnego warsztatu samochodowego przy Marymonckiej. Otóż wczoraj do Komendy Głównej MO zgłosił się inżynier Czesław Paszkowski i opowiedział interesującą historyjkę:

„W sierpniu - pułkownik czytał protokół wyjęty z akt sprawy - oddałem do warsztatu samochodowego Józefa Jankowskiego swój samochód marki fiat koloru jasnego do naprawy po kraksie. Umówiłem się z Jankowskim, którego od dawna znam, że wobec mojego wyjazdu na urlop wóz odbiorę dopiero we wrześniu, po powrocie do Warszawy. Uważałem, że tak będzie lepiej, ponieważ nie mam garażu i samochód stoi przed domem. Przed dwoma dniami samochód odebrałem. Wtedy dowiedziałem się o tragicznej śmierci Kazimierza Strzelczyka, którego również znałem. Czytałem także doniesienia prasowe o napadzie na bank w Łowiczu. Samochód był w dobrym stanie i z remontu jestem zadowolony. Kiedy jednak za kierownicą chciała usiąść moja żona, nie udało się jej przesunąć siedzenia. Zacząłem

jej pomagać. Ruchome siedzenie przesuwają się zwykle bardzo lekko, ale tym razem, mimo podniesienia dźwigni, stawiała opór. Chciałem sprawdzić, dlaczego mechanizm raptem się zaciął, i kiedy sięgnąłem ręką pod fotel, wymacałem tam jakieś zawiniątko. Z trudem udało mi się je stamtąd wyciągnąć. Był to płaszcz granatowy, w tym samym kolorze czapka ze znaczkiem błyskawicy i skórzana torba na pasku, jaką noszą pracownicy elektrowni. W torbie były narzędzia. Nie ruszałem ich. Znalezione w moim samochodzie przedmioty skojarzyłem sobie z podawanym w prasie opisem jednego z bandytów, który w Łowiczu wyłączył światło i telefony. Mój samochód jest także jasnego koloru. Postanowiłem natychmiast zawiadomić milicję, a nie wiedząc, kto prowadzi dochodzenie, zwróciłem się do Komendy Głównej MO”... - Niemiroch odłożył trzymaną w rękę kartkę papieru.

- Bystry facet - pochwalił major. - Ani słowa, spisał się gracko.
- Wracam właśnie z KG MO. W naradzie uczestniczyli przedstawiciele

Komendy Wojewódzkiej i ci z Łowicza. Postanowiono, że dochodzenie przejmujemy, bo nie ulega teraz wątpliwości, iż sprawców należy szukać w Warszawie.

Komenda Główna zdążyła już zbadać narzędzia znajdujące się w torbie. Znaleziono na nich odciski palców Kazimierza Strzelczyka. Mamy pewność, że brał udział w napadzie. Pracownicy warsztatu potwierdzili, że tego dnia rankiem wyjechał fiatem inżyniera Paszkowskiego na próbną jazdę, z której wrócił dopiero po przeszło dwóch godzinach.

- To Komenda Główna nie mogła już do końca poprowadzić dochodzenia?
- Przekonałem ich - pułkownik uśmiechnął się tryumfalnie - że najlepszym

w Polsce człowiekiem do rozwiązania tej zagadki jesteś właśnie ty, Januszk.

- Obawiam się, że nie dożyjesz późnej starości. Każdy sąd mnie uniewinni.
- Masz sprawę - Niemiroch podał przyjacielowi ciężką teczkę. - Przestuduj

ją uważnie i bierz się z zapalem do roboty. Tych nożowników oddaj, komu chcesz.

Mamy zapewnioną pomoc KG MO i naturalnie tych z województwa.

- Jakich ludzi dostanę do pomocy? Nie przypuszczam, żeby ktoś był ci stale potrzebny. Sam sobie doskonale poradzisz. Wiesz przecież, że mamy trudności kadrowe. Gdybyś potrzebował ludzi do jakichś akcji, zawsze coś ci wykombinuję.

Życzę szczęścia.

- Ale mnie urządziłeś!
- Nie udawaj, nie udawaj, Januszk. Znam cię dobrze.

W gruncie rzeczy cieszysz się z tego. Gdybym tak na przykład sprawę oddał Litwinowiczowi, dopiero byś miał mi za złe.

Janusz Kaczanowski wrócił do swojego pokoju, ani jednym słówkiem nie poinformowawszy przedtem ciekawej jak zwykle panny Krysi, dlaczego „stary” narobił takiego alarmu w związku z jego osobą. Zasiadł przy biurku i zaczął systematycznie czytać, kartkę po kartce, wszystkie znajdujące się w teczce dokumenty. Oficer milicji w duchu przyznawał rację przyjacielowi. Wprawdzie narzekał, ale na pewno tego dochodzenia tak łatwo nie oddałby nikomu innemu. Po kilku godzinach znowu znalazł się w gabinecie zwierzchnika.

- No cóż? Przestudiowałeś akta? Jakie wnioski? - zapytał pułkownik Niemiroch.

- I ja nie wątpię, że Kazimierz Strzelczyk był członkiem bandy. Najprawdopodobniej jej przywódcą. Świadczy o tym, że wykonał najważniejsze zadanie: unieruchomił sygnalizację alarmową, a później zorganizował szybką ucieczkę z miejsca przestępstwa. Co do jego śmierci, chociaż medycyna wyklucza morderstwo, sądzę, że między współnikami doszło do bójki, w czasie której obsunęła się skarpa i to spowodowało nieszczęśliwy wypadek. Mamy wprawdzie jednego członka bandy, ale nieżywego i on nam nic nie powie. Musimy szukać trzech pozostałych i pieniędzy.

- Przypuszczasz?

- Tak. Sądzę, że bandyci pokłócili się o podział łupu. W czasie ucieczki przestępca wysiedli po drodze, a pieniądze zabrał ze sobą kierowca fiata. Duża, zniszczona waliza, a przy tym solidnie ciężka, banknoty mają swoją wagę, zbyt by się rzucała w oczy, aby ryzykować niesienie jej w rękę. Nie zapominaj, że tam były cztery miliony złotych. Ogromna pokusa dla Strzelczyka, żeby przywłaszczyć sobie całą sumę, a przynajmniej znaczną jej część.

- A więc jakie wnioski?

- Przede wszystkim szukam pieniędzy. Strzelczyk mu - siał je gdzieś dobrze schować. Nawet jeżeli się mylę i współnicy podzielili się uczciwie, na kierownika warsztatu przypadło przeszło milion złotych. Przynajmniej te sumę ukrył, i to na pewno nie w swoim mieszkaniu. Na to był za sprytny. Chyba że ma tam jakiś przemyślny schowek. Musimy zrobić gruntowną rewizję warsztatu Józefa Jankowskiego i odwiedzić kawalerkę naszego drogiego Kazia. Trzeba przesłuchać

pracowników warsztatu. Może wśród nich kryje się jakiś wspólnik bandyty, chociaż nie wydaje mi się to prawdopodobne.

- Kiedy chcesz przystąpić do akcji?

- Najlepiej byłoby wczoraj. A jeśli chodzi o dzień dzisiejszy, to natychmiast.

Obawiam się, że i tak jest za późno.

- Dlaczego?

- Nie wiem, czy pułkownik tak dokładnie jak ja przestudiował akta sprawy.

Tam są zeznania, że zginęły klucze, jakie Strzelczyk zawsze nosił przy sobie. W ogóle przy zabitym nie znaleziono niczego. To najlepszy dowód, że koledzy przygotowywali się do poszukiwania pieniędzy. Wyprzedzają nas o parę dni. Miejmy nadzieję, że niczego nie znaleźli. Wolę polegać na sprycie przywódcy bandy. -

Protokół otwarcia mieszkania na Solcu stwierdza wyraźnie, że było ono w stanie nie naruszonym - pułkownik także popisał się znajomością dokumentów.

- A kto i w jakich okolicznościach to stwierdził

porucznik i dwóch wywiadowców z dzielnicy, którzy nie znając prawdziwej roli Strzelczyka zadowolili się znalezieniem ubrań zmarłego w szafie i paru książeczek PKO w biurku. Kto szukał milionów, doskonale rozumiał, że należy być ostrożnym i nie wolno łąszczyć się na drobiazgi. Postarał się też, żeby nie zostawić po sobie żadnych śladów.

Tym razem w rewizji mieszkania Kazimierza Strzelczyka brali udział najlepsi fachowcy z Komendy Stołecznej. Żaden szczegół nie uszedł ich uwagi. Technicy daktyloskopii zebrali sporo odcisków. Były to jednak ślady palców zmarłego i sądząc z wielkości odciski palców kobiecych. Mężczyźni nie bywali widocznie w tym lokalu, a jeśli byli ci, których major poszukiwał, operowali w rękawiczkach. Przejrzano starannie wszelkie listy i dokumenty oraz zapiski i notatki zmarłego, znalezione w biurku i w kieszeniach ubrań. Kaczanowski nie znalazł w tych papierach najmniejszej nawet wzmianki, która mogłaby się odnosić do wydarzeń w Łowiczu. Oczywiście nie odnaleziono walizki z pieniędzmi ani żadnych innych kwot prócz tych, które były już znane milicji z pierwszych, dość pobieżnych oględzin kawalerki.

Znaleziono za to trochę kluczy. Zapasowy komplet do mieszkania wisiał na gwoździку w szafie w ścianie malutkiego przedpokoju. Na dnie jednej z szuflad biurka znajdowało się niewielkie metalowe pudełeczko z namalowaną barwnymi farbami znaną marką herbaty. W tym schowku Strzelczyk przechowywał drobne

rupiecie. Stare wieczne pióra, znaczki metalowe jakichś klubów i organizacji sportowych, podniszczone kółka do kluczyków samochodowych, różne śrubki, gwoźdźki i pineski, słowem rozmaite „przydasie”. Z tej kupy drobiazgów wywiadowca przeprowadzający rewizję biurka wyłowił dwa płaskie kluczyki związane kawałkiem drutu.

- Do czego to może być? - zapytał.

Drugi z milicjantów obejrzał znaleziony „skarb”.

- To nie do zamków zapadkowych - zawyrokował. - Do kłódek.
- W mieszkaniu nie znaleźliśmy ani jednej kłódki.
- Na pewno do kłódki w piwnicy. Tam jeszcze nie byliśmy.
- W naszym domu kawalerki nie mają piwnic. Nie starczyło dla wszystkich lokatorów. Kto brał mała mieszkanie, musiał podpisać, że zgadza się mieć lokal bez piwnicy - wyjaśnił dozorca asystujący rewizji w charakterze świadka.
- Zatrzymamy te kluczyki jako dowód rzeczowy - zdecydował major Kaczanowski. - Mogą pasować do jakiegoś schowka w warsztacie samochodowym. Tam na pewno kłódek nie brakuje. Sprawdzimy.

Te dwa małe płaskie kluczyki były jedynymi przedmiotami zakwestionowanymi w czasie rewizji mieszkania w domu przy ulicy Solec.

Z kolei ekipa dochodzeniowa pojechała na ulicę Marymoncką, do warsztatu samochodowego Józefa Jankowskiego. Tutaj zadanie było znacznie trudniejsze. Wielkość tego pomieszczenia, najrozmaitsze schowki, wreszcie i teren za zabudowaniami posesji, to wszystko sprzyjało raczej temu, który usiłowałby tu coś ukryć, niż szukającym.

Kiedy ekipa przeprowadzała rewizję, major Kaczanowski urzędował w kantorku i kolejno zapraszał na rozmów właściciela i pracowników stacji obsługi samochodów.

- Kazimierza Strzelczyka - wyjaśniał Jankowski - znam ze szkoły zasadniczej. Później razem pracowaliśmy w FSO. Ja skończyłem jeszcze technikum samochodowe na studiach zaocznych, Kazik poprzestał na zawodowce. Uczyć się, pamiętam to dobrze, nigdy nie chciał. Ale był doskonałym mechanikiem samochodowym. Miał wrodzony „dryg” do tego. Kiedy silnik obejrzał i obsłuchał, bez rozbierania wiedział, co mu brakuje.

- W FSO była w tym czasie wielka afera z wynoszeniem z fabryki części

zamiennych. Słyszał pan o tym? - zapytał oficer milicji. - Strzelczyk był w to zamieszany?

- Nie tyle zamieszany, co wiedział o tym, bo właśnie na jego oddziale zdarzały się te kradzieże. Majster Kazika dostał wtedy w sądzie coś około dziesięciu lat. Strzelczyka także aresztowano. Koledzy usiłowali zwalić na niego część winy, ale w końcu prokurator, umorzył śledztwo w stosunku do jego osoby. Skończyło się na usunięciu z pracy.

- Później pan także kontaktował się z nim? Co robił?

- Przez parę lat pracował w fabryce pomp. Następnie na stacji - benzynowej, wreszcie w warsztatach samochodowych przy Omulewskiej. Ten okres znam dużo gorzej, bo spotykaliśmy się raczej, przypadkowo. Ja pozostałem w FSO, kończyłem technikum. Wiem, że się ożenił, potem rozwiódł, ale nie znałem jego pani. Kiedy założyłem własne przedsiębiorstwo, a finansowo trochę pomogła mi rodzina, trochę pożyczyłem, odszukałem Kazika i zaproponowałem mu pracę u siebie.

- Jako kierownika warsztatu?

Jankowski roześmiał się.

- Trudno to tak nazwać. Wtedy tutaj był tylko drewniany parkan i mała budka. Pracowaliśmy we dwójkę. Kazik początkowo na dochodzącego, bo nie chciał ryzykować i z miejsca pozbywać się dobrej posady przy. Omulewskiej. Pierwszym pracownikiem, którego przyjąłem na stałe, był Jan Warciak. Robi u mnie do dzisiejszego dnia. Strzelczyk przyszedł do mnie oficjalnie coś w dwa lata później, kiedy warsztat już się nieco rozbudował, w obecnym kształcie istnieje dopiero od roku. Każdą złotówkę pakowałem w rozbudowę. Dzisiaj mam więcej długów niż w momencie startu. No, ale najgorsze mam za sobą.

- Pana kłopoty finansowe obchodzą raczej Wydział Finansowy, a nie mnie - przerwał oficer milicji. - Pro wadzę dochodzenie w sprawie napadu na bank. Strzelczyk był, jak pan wie, jednym z uczestników tego skoku.

- Wprost mi się w głowie nie może pomieścić. To był człowiek drobiazgowo uczciwy. Przecież powierzałem mu cały swój majątek. Zawsze wyliczał się co do grosika, i to z sum, których bym nie mógł skontrolować. Umawiał się z klientami, inkasował od nich pieniądze. Nigdy nie sprawdzałem, ile. Kupował części samochodowe. Zamawiał je w różnych prywatnych warsztatach mechanicznych, w handlu państwowym nie wszystko można dostać. A nieraz, zwłaszcza do samochodów zagranicznych, trzeba samemu dorabiać. Miałem do niego

nieograniczone zaufanie i nigdy na tym nie straciłem.

- Widocznie nie miał pan milionów. A w Łowiczu było ich przeszło cztery.

- Gdybym nie czytał w prasie, nigdy bym nie uwierzył, że to Kazik.
- Ile zarabiał u pana?
- Pięć tysięcy miesięcznie do ręki. Poza tym, z moją wiedzą, nieraz dostał

coś bezpośrednio od klienta, któremu się śpieszyło i chciał mieć wóz gotowy wcześniej niż

W terminie, jaki mogłem mu wyznaczyć. Wtedy pracowali wieczorem, a czasem i po nocach.

- Pan go znał bliżej. Jaki to był człowiek? - zapytał major.

- Nie mogę o nim powiedzieć nic złego. Bardzo dobry fachowiec. Doskonały organizator. Muszę przyznać, że to on ustawił robotę w warsztacie tak, że szybkością napraw bijemy na głowę konkurencję. Był raczej skryty. Nigdy o sobie nie mówił. Nie wiem, czy pan major uwierzy, że chociaż znaliśmy się od tylu lat, ani razu nie byłem u niego w domu, a przecież Kazik bywał prawie codziennym moim gościem.

- Bo pan mieszka przy warsztacie.

• Dopiero od roku, panie majorze, przedtem przy Grochowskiej, a pomimo to nie było tygodnia, żeby Kazik nas nie odwiedził. Muszę jeszcze dodać, że to był człowiek bardzo ambitny. Podejrzywałem nieraz, że mi zazdrości. Wierzył, że na świecie istnieje tylko jedna potęga.

• Pieniądz?

• Zgadł pan, majorze. Jeżeli Strzelczyk rzeczywiście popełnił to przestępstwo, zrobił to nie dlatego, aby później wydawać zrabowane pieniądze, lecz żeby je w ogóle mieć.

• Czy miał samochód?

• Jeszcze kiedy pracował przy Omulewskiej, za parę groszy kupił starego grata po kraksie i sam go wyremontował. Szybko jednak przekonał się, że co innego zdobyć się na samochód, a co innego mieć odpowiednie środki, żeby nim jeździć. Po prostu nie starczało mu na to zarobków, a nie chciał być „niedzielnym kierowcą”, który raz na tydzień przejeżdża dwadzieścia kilometrów.

Toteż szybko sprzedał ten wózek. Pracując u mnie, nie potrzebował własnego samochodu. Za wiedzą właścicieli mógł zawsze korzystać z wozów oddawanych do naprawy. Nasi stali klienci doskonale wiedzieli, że ich auto na tym zyska, bo Kazik



wyłowi najmniejszy defekt. - A ten jasny fiat?

- Stał przeszło miesiąc na podwórzu warsztatu. Inżynier Paszkowski z góry powiedział, że możemy nim jeździć. Ja nie korzystałem z tego przyzwolenia, bo mam swój samochód, zresztą byłem w tym czasie w Bułgarii.

- Wiemy, że pan ma niepodważalne alibi - uśmiechnął się oficer milicji. -  
Dziękujemy za te informacje i niech pan teraz poprosi tutaj Jana Warciaka.

- Co pan wie o sprawie? - zapytał oficer starego majstra.

- Tyle co gazety pisały, że pan Strzelczyk brał udział w napadzie.

- Z inżynierem Paszkowskim rozmawiał pan o tym?

- Nie. Inżynier zabrał swój wóz i więcej go nie widziałem. Dopiero w „Expressie” przeczytałem, co inżynier znalazł pod siedzeniem.

- Wydaliście mu wóz bez sprawdzenia?

- Inżynier rozbił wózek. Zmienialiśmy w nim tylne prawe drzwi i klepaliśmy błotnik. Ale siedzenia nikt nie ruszał, bo i po co? Zresztą samochód był gotowy już w połowie sierpnia. Później stał na podwórzu i zabiera miejsce.

- Jeździł pan tym samochodem?

- Nie, ja nie jeżdżę, cudzymi wozami. Mam własny. Mówię o próbnej jeździe.

- Jaka tam próbna jazda! Wstawiliśmy drzwiczki, wyklepaliśmy błotnik, pomalowaliśmy, sprawdziliśmy, czy się drzwi zamykają, czy kolor dobrze dobrany i to wszystko. Przecież silnik był cały. Pod maskę nawet nie zaglądaliśmy.

- Strzelczyk jeździł tym wozem?

- Może i jeździł. Ja mam swoją robotę...- majster ostrożnie dobierał słowa.

- Panie Warciak - ostrzegł oficer milicji - jeżeli nie chce się pan zaplątać w sprawę napadu na bank, radzę mówić szczerze. Kogo pan chce osłonić, nieboszczyka?

Mechanik zmieszał się, a nawet lekko poczerwieniał.

- Przepraszam, panie majorze. Pan wie, to jednak jakoś głupio tak mówić na kogoś, z kim się przepracowało tyle lat w jednej budzie. Choćby on już nie żył.

- A więc pytałem, czy Strzelczyk jeździł tym wozem?

- Używał go jak swój. Często brał go po skończonej pracy i wracał na drugi dzień rano. Ale bardzo dbał o samochód, nie mogę złego słowa powiedzieć, widziałem, jak pracował przy silniku. To już za darmo, bo klient tego nie zamawiał.

- Raczej jako rekompensata za używanie wozu?
- Może i tak - zgodził się majster.

- Rano też wyjeżdżał?

Warciak zastanowił się.

• Tak - przyznał. - Szczególnie ostatnio, prawie dzień w dzień Strzelczyk brał wóz i jechał do miasta. Mówił, że ma różne, sprawy do załatwienia. Wracał zwykle po trzech godzinach.

- Nie dziwiło to was?
- Dlaczego? Przecież Jankowskiego nie było. Cały warsztat zostawił na głowie Kazimierza. Na pewno miał wiele spraw nie tylko tutaj, ale i na mieście.

• A w tym dniu, kiedy był napad?

• Tego dnia pan Strzelczyk też wyjechał. Jeszcze przed siódmą. Zdziwił się, że wtedy tak wcześnie przyszedłem do roboty, bo my zaczynamy o siódmej, ale mu wytłumaczyłem, o co chodzi. Obiecałem jednemu klientowi, że mu zrobię wózek o dzień wcześniej, niż było umówione. Zamieniliśmy parę słów, bo Kazimierz siedział już w samochodzie. Powiedział, że za dwie godziny wróci.

- Jak był ubrany?
- Nie pamiętam. W każdym razie nie w kombinezonie.
- Kiedy wrócił?

- Po przeszło dwóch godzinach. Zapamiętałem to, bo pewien klient bardzo się denerwował, że tak długo musi czekać.

• A jak Strzelczyk wrócił, nie zauważyliście niczego? - Co miałem zauważyć?- zdziwił się Warciak.

- Może był podniecony, zdenerwowany?

- Nie. Był jak zwykle. Narzekał, że nie może dostać uszczelki do volvo, które wtedy mieliśmy w warsztacie.

- O napadzie nie rozmawialiście?

- Przecież nic o tym jeszcze nie wiedziałem. Jeżeli Kazimierz maczał w tym palce, mógł wiedzieć, ale silnie chwalił.

- Racja. Ale na drugi dzień o napadzie pisała cała prasa. Mówiono w radio i w telewizji. Wtedy też nie była mowy?

- Nazajutrz to co innego, pewnie, że wszyscy tylko o tym gadali. Nie co dzień się zdarza taki skok. Przeszła cztery miliony. Ja tam, za przeproszeniem pana majora

twierdziłem, że milicja ich nie złapie. Tak jak tamtych z Narodowego Banku Polskiego na Jasnej. Pamięta pan?

Major skrzywił się, jak gdyby ugryzł cytrynę. Nie wykryty napad na bank przy Jasnej jest dotychczas ciężką zadrą na honorze milicji.

- Kazimierz twierdził, że te napady bandyckie zdarzają się tylko dlatego, że sądy są za łagodne. Żeby tak za bandytyzm od razu, w krótkich abcugach, wieszali, a nie bawili się z łobuzami, tego by nie było. Chciał się nawet założyć, że nie upłynie i tydzień, jak bandziory będą pod kluczem. Przypuszczał, że to zrobili miejscowi chuligani albo i sami urzędnicy banku.

- Ciekawe!
- Ciągle nie mogę uwierzyć, że Strzelczyk był zamieszany w tę sprawę.
- To, niestety, prawda. Przeprowadzone analizy stwierdziły - Janusz

Kaczanowski zawsze uważał, że wymagając szczerości od przesłuchiwanego, nie można robić tajemnicy z bezspornych faktów - że narzędziami znalezionymi w samochodzie inżyniera Paszkowskiego wyłączono światło w Łowiczu. A na tych narzędziach są ślady palców Strzelczyka. Poza tym także jasny fiat zgadza się z tym, co ustalili świadkowie napadu.

- Jeśli on to zrobił, to nie dla pieniędzy. Na co mu one? Zarabiał nieźle, wydawał mniej. Był bardzo oszczędny, powiedziałbym nawet skąpy. Lubił rządzić, to prawda. Może myślał, że im będzie miał więcej forsy, tym większą osiągnie władzę? Doczekał się jej. Na piasku nad Wisłą.

Major doskonale rozumiał, że ze starego rzemieślnika nic więcej już nie wyciśnie. Zadał mu przeto ostatnie pytanie:

- Czy po napadzie nie mieliście w warsztacie jakichś nieproszonych gości? W nocy?

Warciaś spojrzał na oficera milicji jak na jasnowidza. - Skąd pan major wie?

- Czasami milicja coś może wiedzieć. Opowiedzcie, jak to było.

- Nikomu nie gadałem, boby się ze mnie starego śmieli. Później, kiedy dowiedziałem się o śmierci Kazimierza, zrozumiałem, że to on po śmierci przyszedł do warsztatu i dał mi znak.

- Na jakiej podstawie tak sądzicie?
- Robiłem wtedy przy tej wołdze z ambasady. Do późnego wieczora. Kiedy zabierałem się do domu, ściągnąłem z siebie kombinezon i rzuciłem go na maskę

wozu. Mógłbym na to przysiąc. A jak następnego dnia miałem się brać do roboty, kombinezon był porządnie powieszony w szafce. Szafki nie zamknąłem wieczorem, a rano drzwiczki były zatrzaśnięte.

- Nic nie zginęło?

- Nie! Najmniejsza śrubeczka. To on tu był. Kiedy dowiedziałem się o wszystkim, postanowiłem dać na mszę za jego duszę. Pewnie o to nieboszczykowi chodziło.

Janusz Kaczanowski, chociaż w wędrówki zmarłych na tym ziemskim padole nie wierzył, nie wyprowadzał pocziwego majstra z błędu. Ale zeznania Warciaka były dla dochodzenia bardzo ważne. Upewniały oficera milicji, że nie tylko on poszukuje milionów. Są konkurenci. Przypuszczenia majora okazały się słuszne.

Czy tamci znaleźli pieniądze? Czy poszukują walizy z czterema milionami złotych, czy po prostu żal im tego jednego, który w podziale przypadł Strzelczykowi? Gdzie przywódca bandy mógł schować swoją zdobycz?

Na żadne z tych pytań Kaczanowski nie umiał odpowiedzieć. Nie wątpił jednak, że najbliższa przyszłość pozwoli mu uchylić rąbka tajemnicy. Miał też niemal pewność, że Strzelczyk tak sprytnie schował pieniądze, iż nikt ich do tej pory nie odnalazł. Dochodzenie, którego pierwotnym zadaniem było zdemaskowanie bandy, teraz zamieniało się w grę, kto pierwszy: milicja czy przestępcy - rozszyfruje sekret ukrytych milionów.

Major przypomniał sobie o dwóch małych kluczykach znalezionych w mieszkaniu na Solcu. Zawołał wywiadowcę, któremu wręczył te klucze.

- No, jak tam? - zapytał. - Dopasowaliście już moje klucze do odpowiednich kłódek?

- Nie. Jest tu tych kłódek od groma, ale kluczyki do żadnej nie pasują. Sprawdziłem dokładnie.

Rewizja trwała kilka godzin. Nie ograniczyła się do warsztatu. Na żądanie Józefa Jankowskiego wywiadowcy przejrzeni także jego mieszkanie, chociaż nakaz prokuratorski zezwalał jedynie na przeszukanie stacji obsługi samochodów. Właściciel warsztatu jednak oświadczył oficerowi milicji, że jego zastępca miał także dostęp i do pomieszczeń prywatnych Jankowskiego. Wolał od razu uwolnić się od ewentualnych podejrzeń i ponownej wizyty przedstawicieli władz.

I tutaj nie znaleziono ani pieniędzy, ani najmniejszych śladów mogących przydać się milicji w jej dalszej akcji.

Majorowi Januszowi Kaczanowskiemu pozostały jedynie dwa małe kluczyki. Może jeden z nich otwierał kłódkę, za którą znajdowała się ogromna suma pieniędzy? Ale jak znaleźć tę kłódkę i na jakich drzwiach ona wisi?

Po powrocie do Pałacu Mostowskich, a było późno i dawno po godzinach urzędowania, oficer milicji dowie-

dział się, że jakiś mężczyzna czeka na niego od przeszło trzech godzin. Pcosi o rozmowę, bez względu na porę.

- Jego nazwisko i w jakiej sprawie?
- W sprawie tego napadu na bank, co obywatel major prowadzi

dochodzenie. Ten czekający właśnie pytał o oficera zajmującego się tą sprawą. Jego nazwisko: Wojciech Strzelczyk.

- Dobrze - zdecydował Kaczanowski. - Niech przyjdzie na górę.
- Bardzo pana majora przepraszam - zaczął naczelny dyrektor - że

ośmieliłem się tak późno zająć mu czas, ale jestem bratem Kazimierza.

- Wiem. Pan był przesłuchiwany przez milicję w dzielnicy.
- Jestem wstrząśnięty wiadomościami, które znalazłem we wczorajszej

prasie. Taki wstyd, taka hańba! Całe życie byłem uczciwym człowiekiem, z bratem prawie się nie komunikowałem, a dzisiaj wytykają mnie palcami jak jakiego zbrodniarza. Natychmiast złożyłem rezygnację ze swojego stanowiska. Moje władze zwierzchnie wprawdzie nie przyjęły tej dymisji, ale i tak będę miał ciężką sytuację. Kiedy zjawiam się na terenie fabryki, zaraz słyszę za swoimi plecami szepty i śmiechy.

- Rozumiem pana położenie, niestety, milicja tutaj nic nie może pomóc.

Miejmy nadzieję, że ludzie pogadają i przestaną. Jak to ludzie...

- Wiem, że nikt mi nie może ulżyć w moim nieszczęściu i wstydzie. Kiedy się dowiedziałem o śmierci brata i o tym, że pozostawił pewien, skromny zresztą, majątek, o czym milicja mnie poinformowała, powierzyłem adwokatowi prowadzenie postępowania spadkowego. Teraz nie chcę grosza z tych pieniędzy. Niech to zabiera skarb państwa jako drobną chociażby częśćkę odszkodowania za rabunek tych pieniędzy w Łowiczu. O mojej decyzji zawiadomiłem już mecenasa.

- To bardzo ładny gest z pana strony - Kaczanowski zmęczony całodzienną harówką marzył o tym, żeby jego gość jak najszybciej wyniósł się z gmachu komendy milicji. - Ale sądzę, że o tym zdecyduje prokurator i sąd.

- Niemniej nie dotknę nawet grosza z tego. Ewentualnie przekażę na jakiś cel dobroczynny. Na odbudowę Zamku Królewskiego.

- Napije się pan kawy? - major stracił nadzieję na szybkie pozbycie się natręta i chciał się chociaż wzmocnić filiżanką czarnego płynu.

- Dziękuję. Moje serce mi nie pozwala. Zresztą nigdy nie byłem kawiarzem. Ale pan major niech się mną nie krępuje. Rozumiem, pan jest zmęczony. Tyle pracy przez tych łajdaków.

- Jeżeli nie ci, to inni. Jak to zawsze w milicji.

- Kiedy się dowiedziałem o udziale Kazika w napadzie, od razu pomyślałem, że ten łotr, Boże odpuść, że muszę tak mówić o rodzonym bracie, na pewno dobrze schował swoją zdobycz. Wprawdzie panowie twierdzicie, że umarł wskutek wypadku, ale dam sobie głowę uciąć, że jego koleżkowie byli przy tym. Czy nie mam racji?

- Dopiero zaczynamy dochodzenie. Nic jeszcze nie wiem. Szukamy też pieniędzy.

- Rozumiem. Tajemnica służbowa, Ale mnie się wydaje, że wiem, gdzie są te pieniądze.

- Gdzie? - całe zmęczenie Kaczanowskiego nagle zniknęło.

- W mojej piwnicy - spokojnie odpowiedział. Wojciech Strzelczyk.

- Gdzie? - powtórzył major z niedowierzaniem.

- Mieszkam w jednorodzinny domku na Ochocie. Dorobek wielu lat pracy i oszczędzania całej mojej rodziny. Mam tam garaż pod tarasem i pod budynkiem pomieszczenia na centralne ogrzewanie, opał oraz obszerną piwnicę. Przed pięcioma laty podłączono nas do elektrociepłowni. Wtedy jeszcze z Kazimierzem utrzymywałem bliższe kontakty, chociaż o jakiejś większej serdeczności nigdy nie było mowy. Brat zaproponował mi kupca na kocioł centralnego ogrzewania, już wówczas niepotrzebny. Amatorem był ktoś spod Warszawy. Doszliśmy do porozumienia co do ceny, lecz kocioł trzeba było zdemontować i przewieźć bodaj do Otwocka. Wtedy Kazik ofiarował się z pomocą. On się tym zajmie, ale w zamian oddam do jego dyspozycji pomieszczenie po centralnym, bo rozwodzi się z żoną i musi gdzieś wstawić swoje graty. Tak się też stało.

- Czy ostatnio, już po napadzie, Kazimierz Strzelczyk był u pana?

- U mnie nie był od lat. Jak już zeznałem, ostatnio widziałem go przed

dwoma czy trzema laty. Zresztą spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo. Ale on miał klucze zarówno do dawnego pomieszczenia na centralne, jak i do całej sutereny. Do tej piwnicy można wejść omijając mieszkanie. Drzwi są koło garażu. Wiem, że Kazik nieraz korzystał z takiej możliwości. Kiedy dowiedziałem się o przestępstwie, zszedłem do piwnicy i obejrzałem je dokładnie. Na kłódce nie ma pyłku kurzu. Musiała być niedawno otwierana.

- Jak wygląda ta kłódka?

- Zwyczajna, z dziurką do klucza na dole.
- Czy otwierana takimi kluczykami? - Kaczanowski pokazał klucze

znalezione w mieszkaniu przy Solcu.

- Takimi samymi. Swojego czasu ja kupiłem tę kłódkę, a później oddałem obydwu kluczyki Kazimierzowi. Może to nawet te same?

- Pojedziemy do pana - powiedział major.

- Właśnie o to chciałem pana prosić. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł w ten sposób chociaż w części rehabilitować się za brata bandytę.

Ekipa milicyjna wyruszyła na następną akcję. Żaden z kluczyków nie pasował do kłódki w suterenie Wojciecha Strzelczyka. Specjalista od zamków otworzył ją jednak bez większych trudności. W środku, pokryte grubą warstwą kurzu, znajdowały się jakieś paki. Milicja zbadała ich zawartość. Były to jednak tylko książki. Sporo książek zgromadzonych i zapakowanych bez żadnego ładu i składu. Znajdowały się tu jeszcze stare podręczniki ze szkoły zasadniczej, jakieś powieści, literatura fachowa, a także parę roczników różnych ilustrowanych czasopism. Wszystkie pochodziły sprzed co najmniej sześciu lat. Stał tu ponadto kanister na benzynę i leżały trzy zdarte opony. Milicja zbadała, czy nie zakopano czegoś w ziemi. Niczego nie znaleziono.

Janusz Kaczanowski poniósł kolejną porażkę.

## **ROZDZIAŁ VII**

### **Drugi wysiada z gry**

Zygmuntowi Lipieniowi dni płynęły jak w koszmarnym śnie. Od chwili kiedy prasa doniosła o zdemaskowaniu roli, jaką odgrywał spokojny kierownik warsztatu samochodowego, Kazimierz Strzelczyk, w napadzie na bank w Łowiczu, jego bojaźliwy wspólnik nie przespał spokojnie ani jednej nocy. Na odgłos windy zatrzymującej się na tym samym piętrze zamierał z przerażenia.

Kiedy na ulicy spotykał idącego naprzeciwko siebie milicjanta, nogi mu się ugiwały w kolanach i tylko siłą woli zmuszał się, aby nie skreślić do najbliższej bramy albo po prostu nie rzucić się do panicznej ucieczki. Jeszcze gorszy był przejeżdżający wolno jezdnią, tuż przy chodniku, radiowóz MO.

Ale najstraszniejsze godziny przeżywał Lipień podczas pracy. Zuchwały napad i tragiczna śmierć jednego z jego uczestników były nieustającymi tematami rozmów kolegów. Tych rozmów nieszczęsny uczestnik napadu nie mógł uniknąć. Wokoło siebie słyszał prawdziwe lub wymyślone szczegóły akcji i domysły, gdzie ukryło się trzech pozostałych bandytów. Zygmuntowi wydawało się, że towarzysze pracy specjalnie wszczynają te rozważania przy nim i bacznie obserwują jego reakcje na wypowiedziane przez siebie słowa. Doszło do tego, że temu jeszcze młodemu człowiekowi zaczęły drżeć ręce. W ciągu jednego tygodnia schudł kilka kilogramów, policzki zapadły się.

- Co się z tobą dzieje, Zygmunt? - zatroszczyła się koleżanka siedząca przy sąsiednim biurku. - Jak ty wyglądasz? Chory jesteś?

- Nie. Przemęczony.

- No wiesz! Przecież dopiero dwa tygodnie, jak wróciłeś z urlopu.

- Właśnie te wczasy źle mi zrobiły. Zmiana klimatu... Zresztą czy ja wiem? Stale bolała mnie głowa - Lipień kłamał jak najęty. - Miewałem zawroty głowy. Raz omal nie zemdląłem.

- Idź do lekarza. Koniecznie. Zdrowia nie można lekceważyć - radziła poczciwa kobieta i zmieniając temat zapytała: - Przeglądałeś dzisiejszą prasę? Jest tam coś o tych bandytach z Łowicza? Złapali może następnych?

To było naprawdę nie do wytrzymania. Lipień chwycił jakieś papiery leżące na biurku i wychodził z nimi na korytarz pod pozorem, że musi coś załatwić w sąsiednim pokoju. Ale i to nie na wiele się zdało. Tam też zawsze znalazł się ktoś, kto mu natychmiast zadawał pytanie:

- Panie Zygmuncie, pan jest zwykle tak dobrze poinformowany, jest coś nowego?

Nie pomagała odpowiedź:

- Nie dalej jak wczoraj spotkałem kolegę z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Gotów jest się zakładać, że Europejska Konferencja Bezpieczeństwa dojdzie do skutku najpóźniej jesienią przyszłego roku. Nie bez kozery prezydent Nixon tak długo i tak serdecznie rozmawiał w Waszyngtonie z ministrem Gromyką.



Anglia także właściwie już wyraziła swoją zgodę na tę konferencję Obecni wybuchnęli śmiechem, a ktoś dodał:

- Filut z kolegi. Udaje, że nie rozumie, o co nam chodzi. Dopadli już tych bandziorów z Łowicza?

Ile to trzeba nerwów, aby spokojnie odpowiedzieć:

- Jeszcze nie, ale podobno są na ich tropie. Będą ich mieli lada dzień.

A potem trzeba spokojnie wysłuchać:

- Ja bym takich dla przykładu publicznie powiesił na rynku w Łowiczu.

Ale dni mijały, ludzie coraz mniej mówili o zuchwałym skoku na bank. Prasa przestała o tym pisać nawet na ostatnich stronach dzienników. Nowe wydarzenia zajęły umysły ludzkie. Zygmunt powoli odzyskiwał utraconą równowagę. Strach wolno, wolno, krok za krokiem cofał się. Wrócił spokojny sen.

Jednocześnie jednak wracało pytanie: gdzie są cztery miliony złotych? Lipień nie wątpił, że to samo pytanie stawiają sobie dwaj pozostali członkowie napadu. Może nadal prowadzą poszukiwania pieniędzy? A jeżeli je znajdą, czy zechcą się nimi podzielić z Zygmuntem?

Wprawdzie wszyscy się zobowiązali, już po śmierci Strzelczyka, że odnaleziony skarb zostanie podzielony na trzy równe części, ale to było jeszcze wtedy, kiedy cała trójka miała nadzieję na szybkie wykrycie schowka z cenną walizką. Później rozeszli się w gniewie i z pretensjami do Andrzeja Doberskiego. Jeżeli tamta dwójka doszła do ukrytych milionów, Lipień był pewien, że nic mu nigdy o nich nie powiedzą. Przecież do sądu nie pójdzie ani na milicji skargi przeciwko nim nie złoży.

Zresztą w głębi duszy Zygmunt wcale nie był przekonany, że jeśli to on rozszyfruje sekret zmarłego, czy także będzie tak wspaniałomyślny, aby do stołu biesiadnego zaprosić pozostałych uczestników napadu i każdemu z nich wręczyć elegancko zapakowaną paczuszkę z milionem i prawie czterystu tysiącami złotych.

- Jak się tak poważnie zastanowić - rozumował Lipień - cóż to jest cztery miliony. Wcale nie taka wielka suma. Willa w Zakopanem kosztowałaby co najmniej półtora miliona złotych. Naturalnie wygodna willa, a nie jakiś tam budynek na kurzych łapkach. Do tego ładny samochód. Nie żeby zaraz mercedes. Wystarczy volvo czy taunus. Meble do mieszkania. To razem przeszło dwa miliony. Pozostałą sumę trzeba by podzielić na dwie części. Jedną wpłacić do PKO, może też kupić trochę złota i dolarów, a resztę zainwestować w jakiś interes. Najlepiej w pralnię chemiczną. To się nie rzuca w oczy, przynosi stały, pewny dochód i nawet gdyby

sąsiedzi zaglądali do garnków, pozwala wydawać więcej, niż się oficjalnie zarabia. Tak, najlepsza będzie pralnia, specjalność: czyszczenie trocinami białych kozuchów. Jeszcze długo będą modne.

Ale żeby zrealizować te marzenia, trzeba przede wszystkim zdobyć walizę z łupem z Łowicza. Działać ostrożnie, ale szybko. Na pewno poszukują jej i Doberski, i Majewski, a także, Lipień nie lekceważył bynajmniej milicji, przedstawiciele MO. Trzeba więc zwyciężać w tym wyścigu i jednocześnie nie dać się złapać.

- Gdzie ja bym schował walizkę? - Zygmunt Lipień postanowił wczuć się w postać i sposób rozumowania Kazimierza Strzelczyka. - Wracam samochodem do Warszawy. Waliza jest w bagażniku. Nie mam zbyt wiele czasu, bo muszę wrócić do warsztatu. Jadę zatem prosto do miejsca pracy. Swojego skarbu nie ruszam. Niech spokojnie spoczywa w tyle fiata.

Zygmunt był przekonany, że przywódca bandy tak właśnie postąpił.

Ale co dalej? W warsztacie pracują do późnego wieczora. Trzeba poczekać, aż wszyscy pójdą do domu. Wreszcie zostaje sam. Milicja już wie o jasnym fiacie. Wprawdzie takich wozów jest w Warszawie dużo, ale lotne patrole MO mogą jeździć po mieście, zatrzymywać auta tego koloru, legitymować kierowców i zaglądać do bagażnika. W tej sytuacji użycie fiata do wywiezienia walizy poza teren warsztatu samochodowego jest niebezpieczne. Trzeba do tego celu użyć innego samochodu. Zygmunt pamiętał, że kiedy tamtej nocy przeprowadzali rewizję warsztatu, na podwórzu stało siedem lub osiem samochodów. Jedne z widocznymi skutkami różnych kraks, inne pozornie całe. Może wśród nich był i jakiś wóz na chodzie? Albo choćby ta wołga z tabliczką. CD? Pokancerowana, ale jeździć nią można było. A milicja bez ważnego powodu nie zatrzyma takiego wozu. Tym bardziej, że dla niej najbardziej podejrzane są jasne fiaty. Tak, na pewno wziąłbym czarną wołgę.

Dokąd pojechać, aby ukryć swój skarb?

- Pojechałbym do z góry upatrzonego miejsca - Zygmunt nadal starał się wczuć w sposób rozumowania i postępowania Kazimierza Strzelczyka - Przygotowując akcję, zaplanowałbym w najmniejszych szczegółach także i moje późniejsze kroki. A więc schowek na walizkę musiał być przygotowany wcześniej. Oczywiście nie we własnym mieszkaniu. Jednakże ten Andrzej, jeżeli naprawdę myślał, że znajdzie miliony na Solcu, jest ciężkim frajerem i nigdy nie rozwikła sekretu. Także nie schowałbym pieniędzy gdzieś na odludziu, bo wbrew pozorom tam człowiek najbardziej rzuca się w oczy. Zwłaszcza człowiek wysiadający z nieco

rozbitej wołgi i dźwigający ciężką walizę. O jej wadze Zygmunt najlepiej wiedział, bo właśnie to on doniósł ją w Łowiczu do samochodu...

A więc Lipieniowi nasuwa się jedynie słuszna konkluzja. Skarb został ukryty gdzieś w śródmieściu. I to w niezbyt małym domu. Tam lokatorzy wszystko o sobie wiedzą. Później, kiedy już prasa podała szczegóły napadu na bank, mogliby mieć jakieś skojarzenia.

Takiej walizy również nie można zostawić znajomym czy przyjaciółom. Od razu by się domyślili, co w niej jest. A rzadko która przyjaźń wytrzyma ciężar czterech milionów złotych, przy jednoczesnej perspektywie pokaźnego wyroku za pomoc w przestępstwie. Najlepiej byłoby ukryć walizę u kogoś, kto nawet się nie domyśla, jaki skarb znajduje się w zasięgu jego ręki, i nawet przypadkiem nie może go odkryć.

Idealną kryjówką dla walizy byłoby, na przykład, mieszkanie Jankowskiego. Jest za granicą, a klucze zostawił przyjacielowi. O tym prócz niego nikt nie wie. Waliza może tam stać spokojnie i wszystkie policje świata nigdy jej nie znajdą. Ale z mieszkania Jankowskiego Kazimierz nie mógł skorzystać. Było ono za blisko miejsca pracy przywódcy bandy. Wiadomo, że w razie jakiegóż wyspy milicja będzie szukać cennego pakunku najpierw w trzech miejscach: w mieszkaniu przy ulicy Solec, w warsztacie i w mieszkaniu nieobecnego właściciela warsztatu, który tak bardzo ufał swojemu kierownikowi. Zresztą Strzelczyk w czasie nieobecności Jankowskiego nawet nocował w jednym z pokoiów tego mieszkania.

Kantorek był przecież jego nierozłączną częścią. I ten lokal odpadał.

Lipień w miarę tego filozofowania dochodził do wniosku, że w ogóle cała nocna akcja trójki pozostałych uczestników napadu była błędna, a przede wszystkim całkowicie zbyteczna. W ten sposób nie można było wykryć schowka z pieniędzmi. Naturalnie Lipień nie znał poczyznań milicji ale był przekonany, że ona także poszła błędnym tropem. A więc i ona nie odnalazła ukrytego skarbu. Można go zdobyć pracując głową. Wszelkie poczynania robione bez większego zastanowienia są z góry skazane na niepowodzenie.

Znowu upłynęło kilka dni. O napadzie już nikt nie wspominał. Tylko Zygmunt ciągle pracował nad rozwiązaniem zagadki. Opracował najrozmaitsze hipotezy, by je w końcu odrzucić. Nawet nie sprawdzał tego w terenie. Uważał, że siedząc przy stole potrafi rozszyfrować tajemnicę zmarłego, a potem wystarczy mały, najwyżej godzinny wypad i wróci do tego samego pokoju jako szczęśliwy posiadacz fortuny.

To, że fortuna ta została zdobyta w kolizji z kodeksem karnym, nie zakłócało spokoju jego sumienia. Była jedynie obawa przed złapaniem.

Nagle podczas tych najrozmaitszych spekulacji Zygmunt przypomniał sobie pewien fakt sprzed kilku lat. Wszystko teraz stało się jasne. Wszystko pasowało do tych założeń, którymi musiał się kierować przywódca akcji. Kryjówka doskonała, dostęp łatwy i prosty. Nie budzący specjalnych podejrzeń. Ta waliza pełna banknotów nie może się gdzie indziej znajdować jak tylko tam. Trzeba po prostu iść i wziąć ją. Wprawdzie, żeby uniknąć całkowicie jakiegokolwiek ryzyka, trzeba będzie w sprawę wtajemniczyć jeszcze jedną osobę i odpowiednio jej zapłacić, ale ostatecznie jest się czym dzielić. Ale nie pół na pół. To byłaby przesada.

Lipień wyczekał do wieczora, nieco się podcharakteryzował i ukrył oczy za ciemnymi okularami. Planując napad na bank, Kazimierz Strzelczyk początkowo zakładał, że uczestnicy akcji będą odpowiednio ucharakteryzowani. W tym celu wspólnicy przeprowadzili różne ćwiczenia i zdobyli teatralne kosmetyki. Później zaniechano tego pomysłu, ponieważ ustalono, iż akcję przeprowadzi się w czasie deszczu. Dlatego zapuszczono wąsy i brody. One w przeciwieństwie do szminek nie bały się wody. Teraz ta nauka przydała się Zygmuntowi. Obejrzał się w lustrze. Był zadowolony. Nawet jeżeli nie dojdzie do porozumienia, nie musi się obawiać późniejszego rozpoznania.

Obejrzał dokładnie dom przy ulicy Wilczej. Sprawdził na liście lokatorów i stwierdził, że w oknie tego mieszkania pali się światło.

Zadzwoił. Otworzyła mu młoda, dość przystojna kobieta. Była zdziwiona niespodziewaną wizytą. Zygmunt zerknął przez uchylone drzwi do pokoju oświetlonego lampą. Nikogo tam nie było. Kobieta widocznie znajdowała się sama w mieszkaniu. Świadczyły o tym ciemności w drugim pomieszczeniu tego dwupokojowego lokalu.

- Pan do mnie? - zapytała pani domu.
- Tak. Jestem kolegą i przyjacielem Strzelczyka, byłego męża pani. Ale chyba pozwoli mi pani wejść dalej?

- Proszę.

Lipień zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku.. Oboje znaleźli się w pokoju. Kobieta wskazała fotel, a sama zajęła drugi.

- Pan jest z milicji?

- Nie. Jak powiedziałem, byłem przyjacielem Kazika.

- Myśmy się rozwiedli. Nie utrzymywałam kontaktu z moim byłym mężem.
- A jednak była pani na jego pogrzebie.
- To raczej dobre wychowanie niż dawny sentyment - młoda kobieta

uśmiechnęła się lekko.

- Czytała pani prasę i na pewno wie pani, że Kazik...
- Tak. Brał udział w napadzie na bank w Łowiczu. Przyznaję, że nawet mnie

to nie zdziwiło. Przy jego żądzy władzy i pieniędzy mogło dojść do tego. Ale nadal nie rozumiem celu pańskiej wizyty?

- Kazik przed śmiercią ukrył gdzieś wszystkie pieniądze zdobyte w

Łowiczu.

- Cóż to mnie obchodzi?

- Tam jest przeszło cztery miliony złotych. Kto znajdzie tę sumę, będzie bogaty do końca życia. Pani sobie wyobraża? Żadnych kłopotów, ciekawe podróże, piękne suknie. Futra, które dzisiaj ogląda się przez szybę w komisie...

Kobieta roześmiała się.

- Po co pan mi to mówi?

- Chciałbym, żebyśmy razem poszukali tych pieniędzy.

- Ja z panem? Dlaczego?

• Bo tylko my we dwoje możemy wejść w posiadanie tego skarbu. Ja wiem, gdzie on jest ukryty, pani może mieć do niego dostęp.

Kobieta zastanawiała się chwilę.

- Pan też brał udział w tym napadzie - powiedziała.

- Mniejsza o to. To nieważne. Ważne są cztery miliony złotych.

- A jeżeli zawiadomię milicję?

Z kolei Zygmunt Lipień roześmiał się tak serdecznie, jak gdyby ktoś opowiedział mu zabawną anegdotkę.

• Nie robi pani tego głupstwa. Jednym gestem odtrącić taki majątek? A poza tym, pani sama rozumie, idąc tutaj odpowiednio się zabezpieczyłem. Przecież w napadzie, czytała to pani, uczestniczyły cztery osoby. Jedna, niestety, zmarła, ale pozostało trzech... Przyszedłem sam, ale...

- Pan mi grozi?

• Skądże znowu" miła pani. Tak sobie rozmawiamy dla zabicia czasu. Wcale nie straciłem nadziei, że dojdziemy do porozumienia.

- A więc?

- A więc z banku zabrano cztery miliony złotych. Po jednym dla każdego uczestnika akcji. Kazik zginął przypadkowo. Kawał skarpy wiślanej podmyty deszczami nagle się osunął. To nieprawda, co sugerował jakiś pismak, że padł ofiarą bójki przy podziale łupów. Mogę przysiąc, że nikt go nie dotknął. Głupi, ale tragiczny wypadek. Pani należy się udział po Kaziku. Milion złotych. Tysiąc banknotów po tysiąc złotych. Malutka paczuszka, a jakie ogromne możliwości otwiera przed człowiekiem.

- Nie byłam już żoną Kazika. A pieniądze pochodzące z rabunku nie mogą być spadkiem.

- Pani Jadwigo, my nie jesteśmy drobiazgowi i nie kierujemy się głupimi przepisami kodeksu cywilnego. Uważamy, że ma pani pełne prawa do tego miliona. Choćby jako rekompensatę. Dobrze znałem Kazika i wiem, że niełatwo było być jego żoną. Pani i tak bardzo długo wytrzymała.

- To prawda - przyznała pani Jadwiga.

- A to znaczy? - Lipień znowu zapytał.

- Pan naprawdę chce mi dać ten milion za nic? Jako dołączyć do Kazika?

Ton głosu mówiącej prawie niedostrzegalnie się zmienił. Zniknęła z niego wrogość, która dominowała w poprzednich zdaniach. Zygmunt wiedział, że wygrał.

- Właściwie to za nic. Uważamy, że pani należą się te pieniądze. W zamian prosimy o pomoc. Jeżeli pani odmówi, obejdziemy się bez niej. Ale wtedy moi koledzy na pewno nie zgodzą się, aby uwzględnić panią przy podziale. Mogę panią zapewnić, że w tym, co proponuję, nie ma najmniejszego ryzyka. Sam jestem aż do przesady ostrożny i nigdy bym nie narażał się na niebezpieczeństwo.

- Napije się pan kawy? - pani domu wyraźnie chciała zyskać na czasie.

- Z prawdziwą przyjemnością - odpowiedział Lipień. - Chętnie pani pomogę.

- O, dziękuję. Sama dam sobie radę.

Jadwiga wstała i wyszła do kuchni. Zygmunt dopiero w tej chwili ocenił, ile zalet mają te, budowane jeszcze do niedawna przez „genialnych” architektów, kuchnie bez okien. Nie było obawy, aby kobieta mogła wszczać alarm. Wygodniej rozsiadł się w fotelu i spokojnie zapalił papierosa.

Wkrótce pani Jadwiga przyniosła z kuchni taczkę z dwiema filiżankami kawy i

dwoma kieliszkami.

- Mam trochę koniaku. Napije się pan?
- Z panią zawsze.

Kobieta podeszła do małego kredensiku i wydobyła butelkę w połowie wypełnioną. Napelniła kieliszki..

- Za ten szczęśliwy milion - Zygmunt podniósł kieliszek.

Stuknęli się szkłem. Wypili.

- Doprawdy sama nie wiem... - Jadwiga wróciła do przerwanej rozmowy.

• Ależ proszę pani! - Lipień bez oporu ze strony pani domu ucałował jej rękę. - Nie ma się co wahać. Przecież to niczyje pieniądze. Bank na tym nie stracił, bo jest ubezpieczony. Zresztą - roześmiał się - jak się dorobimy następnych milionów, to odeślemy mu ten pierwszy.

• Podobno o ten pierwszy jest najtrudniej. Tak twierdzą amerykańscy milionerzy.

• A pani będzie go miała najdalej za pół godziny. - Za pół godziny?

• Może jeszcze prędzej. Za dziesięć minut.

• Sądzę, że w ogóle pan sobie ze mnie żarty stroi. Cała ta rozmowa to zapewne jakiś niemądry dowcip albo głupi zakład. Dowiedział się pan jakimś cudem, że byłam żoną Strzelczyka, i przyszedł pan zabawić się moim kosztem.

• Nic podobnego. Przysięgam, że mówię prawdę. Jako dowód powiem pani, że wieczorem, w dniu, w którym dokonano napadu, Kazik był tutaj. Przyjechał czarną wołgą z tabliczką CD. Na chwilę pod jakimś pozorem wstąpił do pani. Czy tak nie było?

• Spotkałam go, kiedy wchodziłam do domu. To się zgadza, miał jakiś czarny samochód. Zapraszałam go na górę, ale powiedział, że - już nie ma czasu. Mówił, że potrzebny mu jest wyrok sądu w naszej sprawie rozwodowej, bo swój egzemplarz zgubił. Zapytałam, czy się drugi raz żeni. Zaprzeczył. Miał wpaść za parę dni. Odszukałam i przygotowałam mu ten papierek.

- Widzi więc pani, że nie kłamię.

- Sama nie wiem, co robić...

- A zatem zgoda? - Lipień wyciągnął rękę, a kobieta podała mu swoją.

Teraz mężczyzna napelnił kieliszki.

- Wypijemy za naszą szczęśliwą współpracę.

Jadwiga nie odmówiła.

- Kiedy już doszliśmy do porozumienia, będę z panią zupełnie szczery. Od dawna znałem Kazika. Dużo wiedziałem o waszym małżeństwie i o jego zakończeniu. Kiedy Kazik wyprowadzał się stąd, pomagałem mu. Pani wówczas nie było w mieszkaniu.

- Wolałam nie być obecna. Znowu mogłoby dojść do jakichś nieporozumień. Ostatecznie nie zależało mi tak bardzo na tych paru gratach. On je zresztą zabrał tylko przez złość.

- To są dawne dzieje. Nie wracajmy do nich. Dzieląc rzeczy i zostawiając pani mieszkanie, Kazik zastrzegł sobie, że piwnica pozostanie do jego dyspozycji. Tam przecież złożyliśmy te meble, które zabrał stąd rzeczywiście przez złość, na czym to mieszkanie bardzo zyskało.

- Z mieszkaniem mój były mąż łaski mi nie zrobił. Było moje, po rodzicach. A ponadto musiałam mu jeszcze wypłacić pewną sumę. Dość dużą. Za uprzejme opuszczenie mojego lokalu.

- To już nieważne - Zygmunt machnął ręką. - Co to znaczy - wobec miliona, który za chwilę będzie leżał na tym stole.

- Za chwilę? - Jadwiga przyjęła z niedowierzaniem słowa dziwnego gościa.

- Tak, za chwilę. Kazimierz zażądał tej piwnicy prawdopodobnie także na złość pani. Później jednak zaczął jej używać do przechowywania rzeczy, o których wolał, żeby nikt, zwłaszcza jego sąsiedzi z domu przy ulicy Solec nie wiedzieli. Dlatego wtedy stosunki między wami nieco się poprawiły. Kazik panią odwiedzał, bo zależało mu na tym, aby ludzie przyzwyczaili się do jego widoku i mieli go za mieszkańca tego domu. To mu pozwalało spokojnie wchodzić do piwnicy bez konieczności tłumaczenia się z tego innym lokatorom.

- Pan myśli? - kobieta zaczynała pojmować sens tych słów.

- Naturalnie - potwierdził Lipień. - Pani piwnica to świetne schowanko dla tych milionów. Nikt tu ich nie będzie szukał. Nikt w ogóle, poza nami dwojgiem, nie wie, że Kazik miał piwnicę w tym domu.

- To prawda.

- A dlaczego Strzelczyk zjawił się tutaj w dniu napadu? Akurat właśnie w tym dniu potrzebny był mu wyrok rozwodowy? Sześć lat go nie potrzebował. To był pretekst na wypadek spotkania pani. Podjechał samochodem, wyjął walizkę z



bagażnika, zszedł do piwnicy, otworzył swój boks, wcisnął walizę pod do tej pory leżące tam graty i uwolniony od balastu wrócił do warsztatu. Mądrze to obmyślił.

- Kiedyś zupełnie przypadkowo zeszłam na dół i ze zdumieniem zauważyłam przez drzwi, a tam są duże szpary między deskami, że te wszystkie meble, o które się tak pieklił, nadal leżą. Już w rozpaczliwym stanie. Rzeczywiście, jak pan powiedział, kupa gratów. Pan ma dar przekonywania. Zaczynam wierzyć, że ta walizka z pieniędzmi jest tam na dole.

- Zaraz zejdziemy na dół i ta wiara zamieni się w pewność.

- A co ja mam robić w piwnicy?

- Nic. Po prostu wystarczy pani obecność. Nikogo nie zdziwi, nawet jeżeli kogoś tam spotkamy, że właścicielka mieszkania chce się dostać do swojej piwnicy. Natomiast ja jestem tu obcy. Moja obecność w suterenie mogłaby się wydać podejrzana. A kto? A po co? Ktoś bardziej przezorny mógłby zamknąć drzwi klatki schodowej i wezwać milicję. Ze zrozumiałych względów wolałbym tego uniknąć.

- Ja myślę - Jadwiga uśmiechnęła się. - Ale nie mam kluczy do tej piwnicy.

- To też nieważne. Jestem na to przygotowany. Klucze miał Kazik, ale nie wiem, co z nimi zrobił. Na pewno, leżą w jego mieszkaniu przy Solcu, lecz tam nie pójdziemy. Ukręcę kłódkę albo ją przepiłuję. Pani mogła przecież zgubić klucz do swojej piwnicy i wezwać na pomoc ślusarza, aby otworzył drzwi. Przygotowałem drugą kłódkę, na którą zamkniemy później nasz boks, już po wydobyciu z niego cennej walizeczki.

- W pana słowach to wszystko jest takie proste.

- Bo tak jest naprawdę. Całkowita pewność, żadnego ryzyka, to moja zasada.

- W banku jednak ryzykowaliście.

- Absolutnie nie. Wszystko przemyślałem w najmniejszych szczegółach.

Każdy nasz krok był obliczony ze stoperem w ręku.

- Chyba jednak baliście się? Musi pan przyznać.

- Ale skądże znowu! Byliśmy spokojni i zimni jak lód. Jedyne Kazik, który zresztą spełniał pomocniczą rolę, denerwował się czekając na nas w samochodzie. Gdyby nie ja, nie ruszylibyśmy z miejsca, bo zapomniał zwolnić ręczny hamulec. Na szczęście siedziałem obok niego i w porę to spostrzegłem. Dalej wszystko potoczyło się zgodnie z planem.

- A śmierć mojego byłego męża?
- Umówiliśmy się w Lasku Bielańskim, aby spokojnie obgadać dalsze postępowanie. Mając taką gotówkę w ręku, nie można przez pewien czas wydać z niej ani grosza. Nagłe wzbogacenie się mogłoby wywołać niepotrzebne zainteresowanie i wzbudzić podejrzenia sąsiadów. Postanowiliśmy więc, że na razie przez kilka miesięcy pieniądze zostaną u Kazika. Mieliśmy i mamy do siebie bezgraniczne zaufanie. Dobierałem do tej akcji takich ludzi, których byłem pewien jak siebie samego. Kiedy już mieliśmy się rozstać, Kazik chciał spojrzeć z brzegu karpki na Wisłę, czy woda bardzo przybrała. Zrobił dwa kroki, ziemia się osunęła i to był koniec. Natychmiast zbiegłem na dół, chciałem go ratować, ale tak pechowo uderzył o leżący nad wodą kamień, że zginął momentalnie. Byliśmy tym wstrząśnięci. Ale najgorsze dla nas było to, że musieliśmy” przyjaciela zostawić martwego nad brzegiem Wisły. Przecież nie mogliśmy wezwać milicji, a pogotowie, niestety, nie było już potrzebne. Z bólem serca wydałem moim chłopcom polecenie, aby się spokojnie rozeszli. Miałem u nich posłuch, lecz wtedy długo musiałem im tłumaczyć, że nie mamy innego wyjścia z tej trudnej sytuacji.

- To straszne.

Zygmunt znowu sięgnął po butelkę i rozlał resztę jej zawartości.

- Miła pani Jago, wypijmy strzemiennego i do dzieła.

- Boję się.

- Ależ dziecinko, nie ma czego. Nie narażałbym pani na jakieś niebezpieczeństwo - to mówiąc Zygmunt znowu ucałował rączki pięknej pani.

- Pan jest taki męski, taki odważny, a ja jestem słabą kobietą...

- Idziemy! - Lipień podniósł się z fotela. - Za pięć minut będziemy z powrotem. Ze mną nie ma się pani czego obawiać. Niech pani narzuci coś ciepłego na siebie. W piwnicy może być chłodno - to mówiąc mężczyzna sięgnął po swój ciemny płaszcz.

- Chyba sweterek wystarczy - oceniła pani Jadwiga.

Zjechali windą na parter. Następnie schodami zeszli do suterenu. Drzwi do piwnicy były otwarte, Tuż przy drzwiach znajdował się kontakt elektryczny Po jego naciśnięciu na korytarzu zapaliła się jedna słaba żarówka.

- Ciemno nam będzie - stwierdziła Jadwiga.

- Nic nie szkodzi. Mam latarkę elektryczną. Przygotowałem się na różne

ewentualności. Gdzie są drzwi do tego boksu? Bo już zapomniałem.

- W głębi. Trzecie od końca, po lewej stronie - wyjaśniła kobieta.

Podeszli do drzwi zamkniętych na kłódkę. Zygmunt obejrzał ją dokładnie. Otworzyć ją mógł płaski klucz. Na pewno jeden z tych dwóch, które niezidentyfikowane pozostały na kółku, wyjętym przez Doberskiego z kieszeni zmarłego.

- Zaraz sobie z nią poradzimy - Lipień uspokajał panią Jadwigę, nie kryjącą teraz swojego niepokoju.

Wyjął z kieszeni latarkę elektryczną i puścił snop światła wewnątrz boks. Tam, pomiędzy czterema nogami stołu, postawionego blatem na podłodze, leżał jakiś mężczyzna. Był odwrócony plecami do drzwi. Ręce rozrzucił szeroko. Głowa zwisała mu ze stołu opierając się czołem o ziemię. Twarzy nie było widać, ale Zygmunt lipień nie musiał jej oglądać. Doskonale wiedział, kim jest ten człowiek. Strużka zakrzepłej, czarnej krwi ściekała po plecach płaszcza i niknęła gdzieś w szufladach stołu.

- O Boże! - krzyknęła towarzysza Lipienia.
- Ciszej! - syknął mężczyzna zatykając usta Jadwigi - - Ciszej. Uciekajmy!

Nie czekał na Jadwigę. Zgasił latarkę i biegiem rzucił się do wyjścia. Kiedy przerażona i na wpół żywa ze strachu kobieta znalazła się na parterze, po jej niedawnym gościu nie pozostało śladu.

Wybiegła za nim na ulicę, ale ujrzała jedynie sylwetkę w ciemnym płaszczu znikającą za - rogiem. Pościg nie miał żadnego sensu. Wróciła do domu. Pojechała windą na górę. Całą noc jak zbawienia oczekiwała świtu. Przewracając się z boku na bok, nie zmrużyła oka.

Przed szóstą wstała i ubrała się. Spojrzała na zegarek. Było jeszcze za wcześnie. Spróbowała coś zjeść. Nie mogła przełknąć ani kęsa. Żeby zabić czas, sprzątała ze stołu, gdzie ciągle stały dwie filiżanki po kawie, dwa kieliszki i pusta butelka po koniaku. Umyła naczynia, butelkę wyrzuciła do zsypu..

Minuty wlokły się jak wieczność. Wreszcie wskazówki zegarka ustawiły się na wpół do ósmej. Ubrała się, wyszła z domu i pojechała na ulicę Nowotki. Przed Pałacem Mostowskich znowu zerknęła na zegarek. Brakowało dziesięciu minut do ósmej. Te dziesięć minut przespacerowała po ulicy, nadal nie mogąc opanować zdenerwowania, chociaż dzień rozproszył nocne widziadła.

Punktualnie o ósmej weszła do gmachu.

- Chciałabym rozmawiać z oficerem, który prowadzi śledztwo w sprawie

napadu na bank w Łowiczu. Chcę złożyć bardzo ważne zeznanie.

Dyżurny podoficer nie stawiał zbędnych pytań. Widok bladej, trzęsącej się kobiety wystarczył mu za wszelkie informacje. Podniósł słuchawkę telefoniczną i wykręcił numer wewnętrzny.

## ROZDZIAŁ VIII

### Zeznania niedoszłej milionerki

- Obywatelu majorze - meldował podoficer - zgłosiła się pewna obywatelka i mówi, że ma ważne wiadomości w sprawie napadu na bank.

- Nazwisko tej kobiety? - Janusz Kaczanowski jeszcze nie zdążył zdjąć płaszcza, kiedy w jego pokoju rozdzwonił się telefon.

- Jadwiga Rodzińska - informował dyżurny i dodał całkiem niesłużbowo: - Jest bardzo zdenerwowana, myślałem, że mi tu zemdleje.

- Dobrze. Ale żeby nie zemdląca po drodze, niech ją ktoś do mnie, przyprowadzi - polecił major.

Za chwilę kapral MO wprowadził do pokoju Kaczanowskiego bladą kobietę. Rzeczywiście, ledwie się trzymała na nogach. Major wskazał jej krzesło naprzeciwko siebie i poprosił milicjanta, aby ten „zorganizował” dwie szklanki kawy.

- Pani Jadwiga Rodzińska, tak? - zagał oficer milicji. - Co panią do nas sprowadza?

- Trup. Zabity człowiek leży w mojej piwnicy. To straszne. Całą noc nie spałam. Nie wiedziałam, co robić. Wreszcie przyszedł do pana.

- Bardzo dobrze pani zrobiła - powiedział major, chociaż na razie niczego nie rozumiał. - Ja prowadzę dochodzenie w sprawie napadu na bank. Pani na dole oświadczyła, że przychodzi w tej właśnie sprawie. Czy to ma coś wspólnego z tym trupem?

- To jeden z nich. Jeden z tych bandytów.

Przyniesiono kawę. Major postawił jedną szklankę przed swoim gościem. Podsunął cukier.

- Proszę, niech pani pije. To panią trochę uspokoi.

Później opowie mi pani całą historię. Od początku.

Kobieta usłuchała tej rady. Pomimo że kawa była gorąca, piła ją łapczywymi

łykami. Wreszcie odsunęła szklanę. Wyjęła chusteczkę z torebki i wytarła usta. Nawet zerknęła do lusterka w torebce. Najlepszy dowód, że wracała do równowagi.

- A teraz proszę mi spokojnie wszystko opowiedzieć.
- Nazywam się Jadwiga Rodzińska, ale to moje panięskie nazwisko.

Wróciłam do niego po rozwodzie. Byłam trzy lata żoną, Kazimierza Strzelczyka. Przed sześciu laty rozeszliśmy się.

- Rozumiem - przytaknął Kaczanowski. - To dlatego nie mogłem początkowo zorientować się, jaki związek może pani mieć z napadem. Proszę mówić dalej.

- Jak to często bywa, rozstawiliśmy się w gniewie i pełni wzajemnych żalów. Mieszkanie, które mieliśmy, dostałam po rodzicach. Oni przeprowadzili się na wieś, gdzie mają domek z ogrodem, a mnie zostawili dwupokojowy lokal z pełnym umeblowaniem. Pomimo to mój były mąż wyprowadzając się zażądał połowy mebli i wypłacenia sobie okazałej sumy pięćdziesięciu tysięcy złotych. Tyłd bowiem miał rzekomo wnieść wkład do spółdzielni; mieszkaniowej, gdzie Kazik otrzymał kawalerkę. Rodzice mi pomogli, resztę pożyczyłam i jakoś pozbyłam się Strzelczyka z domu. Ale nie całkowicie. Zażądał też, abym mu oddała piwnicę, bo na razie nie ma gdzie płożyć tych mebli, którymi musiałam się z nim podzielić. Dotychczas piwnicy mi nie zwrócił, a mebli w ogóle stamtąd nie zabrał. Kiedy je przenoszono do piwnicy, po prostu rzucono i upychano na siłę. Teraz to są tylko połamane graty bez żadnej wartości. Nie zależało mu na nich, chciał mi jedynie zrobić na złość.

Oficer milicji słuchał uważnie. Cała rozmowa była nagrywana na magnetofon umieszczony w szufladzie biurka i niedostrzegalnie dla Rodzińskiej uruchomiony zaraz po tym, jak przedstawiła się jako była żona Strzelczyka.

- Z czasem złość minęła i spotykaliśmy się u naszych - wspólnych znajomych jak para dawnych przyjaciół. Wiem, że Kazik korzystał z mojej piwnicy i nieraz coś tam przywoził i wywoził. Początkowo nawet dość często, ostatnio prawie wcale. Utało się, że wtedy wpadał do mnie na górę.

- Może usiłował wskrzesić wasze małżeństwo?
- Nie. Doskonale rozumiał, że to jest niemożliwe. Zresztą doszedł chyba do przekonania, że żadna kobieta dłużej z nim nie wytrzyma.

- Dlaczego?

- Zna pan powiedzenie „zagłaskać kota na śmierć”? Otóż takim głaskaczem

był mój mąż. Niby bardzo dbał o mnie. Ale zawsze musiałam robić to, co jemu się podobało, a nie, na co miałam ochotę. Nawet herbatę mogłam pić wtedy, kiedy mi ją zrobił lub pozwolił, abym ją sobie sama naparzyła. Na dłuższą metę taki styl życia był niemożliwy, musiało skończyć się rozwodem lub moim wyjazdem do szpitala dla nerwowo chorych. Wybrałam rozwód.

- Kiedy pobieraliście się, Strzelczyk pracował w FSO?
- Nie. Już na stacji benzynowej. Później w warsztatach przy Omulewskiej.
- Nie wie pani, jakie rzeczy przechowywał w piwnicy?
- Raz przypadkowo widziałam, że wnosił tam część silnika samochodowego.

Nie znam się na tym i nie wiem, co to było, ale dwóch ludzi mu pomagało, więc zapewne dużo ważyło. Kiedyś przywieźli jakieś paki ciężarówką..

- Później to się skończyło?
- Powiedziałabym raczej, że rzadziej się zdarzało.
- Kiedy ostatnio widziała pani Strzelczyka?
- W dniu napadu. Byłam wtedy w kinie. Tuż obok mojego domu, w

„Polonii”. Seans skończył się chyba piętnaście po dziewiątej. Wracałam do domu, przed bramą stało duże czarne auto. Teraz wiem, że to była wołga. Z bramy właśnie wychodził Kazik.

- Rozmawialiście ze sobą?
- Naturalnie. Mówił, że wpadł do mnie, bo potrzebny mu odpis wyroku

rozwodowego. Swój egzemplarz gdzieś zgubił i chciał pożyczyć ode mnie, żeby zrobić notarialną kopię. Zapytałam, czy się żeni. Zaprzeczył. Proponowałam, żeby wstąpił na górę, a ja odszukam mu ten papierek. Odmówił, tłumacząc się brakiem czasu, i szukanie mogłoby długo potrwać. Miał wpaść po to za parę dni.

- Skąd pani wie, że to była wołga?
- Powiedział mi o tym przywódca bandytów.
- Kto?
- Przywódca bandytów. Przecież - Rodzińska zdenerwowała się nieco -

opowiadałam od początku, tak jak pan mi kazał, ale pan major ciągle mi przerywa.

- Przepraszam, już milczę.
- O śmierci Kazika dowiedziałam się z prasy. Zatelefonowałam do jego

brata. Powiedział mi, kiedy pogrzeb. Byłam na tym pogrzebie. Później przeczytałam w jednym z „czerwoniaków”, że Strzelczyk brał udział w napadzie na bank. Nawet

mnie to nie zdziwiło. To było w jego stylu. Zawsze marzył o tym, aby mieć władzę. Twierdził, że wyłącznie wielkie pieniądze dają dzisiaj tę władzę... Czy można zapalić? - kobieta przerwała swoją opowieść.

- Ależ oczywiście. Proszę - Kaczanowski podsunął swojej rozmówczyni paczkę papierosów i zapaloną zapałkę.

Rodzińska zaciągnęła się głęboko i wróciła do przerwanej wątku.

- Wczoraj wieczorem, kiedy byłam sama w mieszkaniu, rozległ się dzwonek. Otworzyłam. W progu stał jakiś mężczyzna. Elegancko ubrany, średniego wzrostu, w ciemnych okularach. Twarz mocno opalona, jak gdyby dopiero wrócił z Bułgarii lub Jugosławii. Poprosił o chwilę rozmowy. Weszliśmy do pokoju. Człowiek ten wyjawiał mi, że jest przywódcą bandy, która dokonała napadu na bank. Kazik w tym napadzie spełniał podrzędną rolę, wywiózł z Łowicza pieniądze. Ten pan powiedział także, że wie, gdzie te pieniądze są schowane. Można je odzyskać przy mojej pomocy. Zaproponował mi milion złotych za tę pomoc. To znaczy część, jaką miał dostać Kazik. Zagroziłam, że zawiadomię milicję. Wtedy roześmiał się i wyjaśnił, że jego dwaj koledzy stoją na klatce schodowej przed moimi drzwiami. W razie czego poradzą sobie ze mną, a pieniądze i tak zdobędą.

- Ciekawe... - mruknął oficer milicji.

- Chcąc zyskać na czasie, poczęstowałam tego pana kawą i koniakiem.

Doszłam do wniosku, że jeżeli **chcę** zostać przy życiu, muszę się zgodzić na propozycję bandytów. Toteż pozornie” się zgodziłam i postanowiłam, że na drugi dzień, gdy już odzyskam swobodę ruchów, zawiadomię milicję i oddam jej zrabowane tysiące.

Janusz Kaczanowski uśmiechnął się. Opowiadanie tej babki było ciekawe i wносиło do sprawy nowe, istotnej szczegóły. Ale jej twierdzenie, że jedynie pod presją zgodziła się przyjąć milion złotych i nazajutrz miała go zwrócić milicji, było zwykłą bajeczką. Major nie wierzył ani jednemu słowu tych zapewnień.

- Przysięgam panu, majorze, że tak bym zrobiła - kobieta spostrzegła ironiczny uśmiech oficera MO i poczuła się urażona.

- Ależ najzupełniej pani wierzę! Proszę mówić dalej.

- Ciągłe grożąc śmiercią lub obiecując pieniądze, ten pan kazał mi się ubrać i zejść z nim razem do piwnicy, gdzie Kazik miał rzekomo schować walizkę z czterema milionami złotych. Na klatce schodowej i na parterze nie spotkaliśmy

nikogo. To już było po dziewiątej wieczorem. Trzymał prawą rękę w kieszeni i mówił, że ma przy sobie rewolwer.

- Tych pozostałych dwóch pani też widziała?
- Nie rozglądałam się. Byłam prawie sparaliżowana ze strachu. Niech się pan wczuje w moje położenie. Szłam sterroryzowana przez tego łotra. Czy w takiej sytuacji mogłam coś widzieć? Przecież broń mogłaby wystrzelić nawet przypadkiem.
- Proszę, niech pani opowiada.
- Bandyta ściągnął windę na górę, otworzył ją i kazał nam wejść do środka.

Zjechaliśmy na dół. Wsiadł pierwszy, widocznie rozglądał się, czy nie ma niebezpieczeństwa, bo dopiero po chwili dał znak, abym opuściła kabinę. Musiałam iść przed nim. Zeszliśmy do suterenu. Tam musiałam wskazać mu piwnicę należącą do mojego mieszkania.

- Nie wspominał, skąd wiedział o tym, że Strzelczyk ma tę piwnicę do swojej dyspozycji? Kiedy obiecywał milion złotych za pomoc w znalezieniu walizki, to wtedy nie groził pani rewolwerem, a raczej mówił coś interesującego, prawda?

- Jak wypił trzy koniaki, zrobił się bardziej rozmowny. Wspominał, że pomagał Kazikowi przenosić meble do piwnicy. Chwalił się, jak doskonale zorganizował cały napad i jak bardzo spokojny był w czasie akcji. Gdyby nie on, nie zdążyliby uciec, bo Kazik ze zdenerwowania nie mógł ruszyć samochodu z miejsca.

- O śmierci Strzelczyka także opowiadał?

- Mówił, że to był nieszczęśliwy wypadek. Kazik podszedł do brzegu skarpy, aby zobaczyć, czy woda w Wiśle przybiera. Wtedy ziemia się osunęła. Ten bandyta skoczył mu na ratunek, ale Kazik zginął na miejscu.

- A co robili w Lasku Bielańskim?

- Naradzali się. Postanowili, że wszystkie pieniądze przechowa Kazik, bo na razie bali się ich ruszyć. A mieli do niego zaufanie, że ich nie oszuka.

- Co się stało w suterenu?

- Kiedy stanęliśmy przed drzwiami mojej piwnicy, bandyta wyjął z kieszeni jakieś żelazo. Ze strachu nie zauważyłam, co to było. Na pewno coś do otwarcia kłódki, bo przechwalał się, że ją w minutę otworzy. Miał także latarkę elektryczną i nią oświetlił wnętrze piwnicy.

W drzwiach są szerokie szpary dla wentylacji i doskonale było widać... - kobieta przerwała swoją opowieść i znowu zbladła.



- Proszę, niech się pani nie denerwuje - uspokajał oficer milicji.;- Teraz już nie ma powodu.

- Ale to było straszne! Tego widoku nie zapomnę do końca życia. Na stole leżał mężczyzna z potworną raną w plecach.

- Jak to na stole? Tam stoi jakiś stół?

- Tam są te meble, które musiałam oddać mojemu byłemu mężowi..

Wrzucili stół do piwnicy, blatem do ziemi. Bardzo ładny mahoniowy stół. Z wygiętymi nóżkami i paroma szufladkami. Prawdziwy antyk. Teraz nie przedstawia żadnej wartości, po tylu latach gnicia w piwnicy...

- A ten mężczyzna? - major bardziej interesował się zamordowanym niżeli żałami Rodzińskiej po stracie mebli.

- Leży z szeroko rozrzuconymi rękoma. Głowa mu zwisa ze stołu. Okropny widok. Sama sobie się dziwię, że od razu nie umarłam ze strachu.

- Coście dalej zrobili?

- Byłam przerażona. Chciałam coś krzyknąć, ale bandyta podskoczył do mnie i ręką zamknął mi usta. Następnie wyjął rewolwer i rozkazał: „Wracaj na górę i jeżeli ci życie miłe, ani słowa nikomu, co tu widziałaś i słyszałaś. Rozumiesz?” Stałam jak sparaliżowana. Ocuciły mnie dopiero następne jego słowa: „Idź już.” Rzuciłam się do ucieczki. Tak byłam przerażona, że nie pojechałam windą na górę, lecz wbiegłam na szóste piętro po schodach. Ciągle mi się zdawało, że mnie gonią.

- A co zrobił bandyta?

- Nie wiem. Zostawiłam go w piwnicy. W mieszkaniu zamknęłam się na wszystkie zamki i jakoś dotrwałam do rana. Ledwie doczekałam ósmej. Zjawiłam się w komendzie i poprosiłam, żeby mnie skomunikowano z kimś, kto prowadzi śledztwo w sprawie napadu na bank.

- Dochodzenie milicyjne - poprawił major. - Śledztwo prowadzi prokurator. Dziękuję pani za te zeznania. Zaraz pojedziemy na Wilczą. Pokaże nam pani swoją piwnicę.

- Za nic w świecie nie zejść na dół. Przecież tam jest ten człowiek.

- Zapewniam panią, że umarli nie są niebezpieczni. Żywi są znacznie gorsi - oficer sięgnął po słuchawkę i wydał polecenie, żeby ekipa dochodzeniowa przygotowała się do natychmiastowego wyjazdu na ulicę Wilczą, a druga warszawa była również gotowa do drogi.

- Idziemy - major zwrócił się do Jadwigi Rodzińskiej.

Po pewnych oporach i dłuższych perswazjach oficera, milicji właścicielka piwnicy zgodziła się zejść do sutereny. Doszła korytarzem do pewnego miejsca i stanęła.

- Dalej nie pójde - oświadczyła. - Te najbliższe drzwi na lewo prowadzą do mojego boksu.

Jeden z milicjantów skierował strumień światła swojej latarki w głąb pomieszczenia.

- Leży facet - wyjaśnił.

- Nie dotykać drzwi i kłódek. Może są na nich jakieś odciski?

Technik daktyloskopijny sprawdził.

- Nic nie ma - oświadczył. - Kłódeczka wytarta na glans. Tu był dobry cwaniak.

Major wyjął z kieszeni dwa kluczyki związane kawałkiem drutu. Podał je wywiadowcy.

- Spróbujcie, czy pasują.

Pierwszy kluczyk otworzył kłódkę. Piwnica rzeczywiście była w dyspozycji Kazimierza Strzelczyka. Ta część opowiadania Rodzińskiej okazała się prawdziwa.

Ekipa dochodzeniowa przystąpiła do normalnych czynności. Dokonywano zdjęć, lekarz obejrzał zabitego. Otrzymał on kulę w plecy tuż pod lewą łopatką. Pocisk prawdopodobnie sięgnął serca. Zgon nastąpił natychmiast. Zdarzyło się to co najmniej przed trzydziestu sześciu godzinami.

- Tu coś ciężkiego ciągnięto po ziemi. Wyciągano spod tej kupy desek - jeden z milicjantów pokazał majorowi wyraźny ślad na ziemi.

Zrewidowano kieszenie zmarłego. W jednej z nich znaleziono portfel. Wewnątrz były trzy banknoty po sto złotych, dwie dwudziestozłotówki, parę biletów tramwajowych i autobusowych oraz dowód osobisty na nazwisko: Andrzej Doberski. Poza tym w kieszeniach zmarłego znajdowały się różne drobiazgi: chusteczka do nosa, zapalki, dwie paczki papierosów itd. Wszystko to złożono do dużej brązowej koperty.

Lekarz odwrócił nieboszczyka na wznak. Major podszedł do opartej o ścianę kobiety.

• Niestety - zwrócił się do Rodzińskiej. - Musi pani obejrzeć zabitego. Czy pani go zna? Jeden rzut oka..

- Nie, nie! - protestowała.

Oficer milicji delikatnie, lecz stanowczo ujął kobietę pod rękę. Zrobił kilka kroków. Milicjant oświetlił latarką twarz zmarłego. Rodzińska chwilę wpatrywała się w zabitego.

- Nie - powiedziała zdecydowanie. - Nie znam go. Nigdy go nie widziałam.
- Kalisiak - major zwrócił się do podwładnego - odprowadźcie panią na górę do jej mieszkania i posiedźcie z nią. Ja tam niedługo przyjdę.

Wyniesiono ciało. Milicja przystąpiła do szczegółowej rewizji piwnicy. Poza starymi meblami znaleziono tu jedynie dwie świece do samochodu warszawa i jakieś porzewiałe urządzenie elektrotechniczne. Do czego mogło służyć? Ani major, ani żaden z milicjantów nie wiedział. W każdym razie nie była to żadna część samochodowa. Przedmiot ten leżał długo w piwnicy. Rzucono na niego coś ciężkiego. Pozostała tylko płatanina drutów i pogiętych blach. Można było jeszcze odróżnić coś w rodzaju cyferblatu i część złamanej wskazówki.

- Może zegar elektryczny? - wyraził przypuszczenie któryś z wywiadowców.
- To nie zegar - zaprzeczył drugi. - To był jakiś aparat pomiarowy.
- Zabierzemy to żelastwo - zdecydował Kaczanowski. - Niech się fachowcy z Zakładu Kryminalistyki nad tym trochę pogłowią. Reszta może zostać.

Sprawdzaliście, czy w szufladach tego stołu nic nie ma?

- Sprawdzalem. Są puste.

Piwnicę zamknięto na tę samą kłódkę i opieczetowano.

- Ciekawe - zastanawiał się major. - Przy Doberskim, podobnie jak i przedtem przy Strzelczyku, nie znaleziono żadnych kluczy. Nawet tego kluczyka, który musiał mieć wchodząc do piwnicy. Zabójca zrewidował swoją ofiarę. Na pieniądzech i dowodzie osobistym mu nie zależało, ale klucze miały dla niego dużą wartość. W przeciwnym razie by ich nie zabierał. Mógł z powodzeniem zamknąć piwnicę kluczem znalezionym przy zabitym, a później wrzucić do wnętrza pomieszczenia. Albo w ogóle piwnicy nie zamykać. Fakt, że zostawił zastrzelonemu jego dowód osobisty, świadczy, że mordercy nie zależało na utrzymywaniu tej zbrodni w tajemnicy i na utrudnieniu milicji identyfikacji nieboszczyka.

Ekipa milicyjna wróciła do Pałacu Mostowskich, zaś Janusz Kaczanowski wjechał na szóste piętro i zadzwonił do drzwi opatrzonej tabliczką „Jadwiga Rodzińska”. Kiedy pani domu mu otworzyła, spostrzegł na stole w pokoju dwie

filiżanki po kawie. Przy stole siedział milicjant Kaliski. Zerwał się natychmiast i służbowo zameldował, że „w pilnowanym przez niego lokalu wszystko jest w porządku”.

- To świetnie - uśmiechnął się oficer milicji. - Dopijcie kawy i jesteście wolni. Ja jeszcze porozmawiam z obywatelką Rodzińską. Niech samochód na mnie nie czeka. Wrócę tramwajem.

Pani Jadwiga u siebie w mieszkaniu czuła się dużo pewniej. Usiłowała nawet kokietować oficera milicji. Pokazała mu całe mieszkanie, szczegółowo wyjaśniając, na którym fotelu siedział bandyta, a na którym ona, na jakim wieszaku umieścił swój płaszcz. Natomiast co do „wyglądu tego człowieka, wiedziała tyle, że był mocno opalony, miał ciemne włosy i małe wąsiki.

- A oczy?

- Oczy miał piwne. Nosił ciemne okulary, ale na chwilę je zdjął. Wtedy zauważyłam.

Poza uwagę o średnim wzroście była to jedyna cenna wskazówka. Oczu nie można przemalować ani, jak wąsiki, dokleić. A co do mocno opalonej twarzy, major nie miał wątpliwości, że była to zwykła szminka teatralna.

- Ma pani te szklanki czy filiżanki, z których wczoraj piliście kawę?
- To te same - Rodzińska wskazała zastawę na stole.
- Ale pani je przedtem wymyła?
- Oczywiście - oburzyła się Rodzińska. - Przecież nie podałabym kawy w brudnym naczyniu. Co to, to nie.

- A kieliszki też pani myła?
- Naturalnie. Zawsze od razu zmywam naczynia.
- Butelkę po koniaku pani ma?
- Już była pusta, więc wyrzuciłam do zsypu.

Tak się rozwiały nadzieje Kaczanowskiego na zdobycie odcisków palców przestępcy.

- Co jeszcze mówił pani wczorajszy gość? Niech pani sobie dokładnie przypomni.

- Opowiadał, że są świetnie zorganizowani. Że wszyscy członkowie ich grupy słuchają go i mają do niego ogromne zaufanie. On był organizatorem całej akcji. W ogóle bardzo się chwalił.

- Może wspominał, że pracował razem ze Strzelczykiem?
- Nie. O - tym nie mówił. Tylko swojego czasu pomagał mu przy

Przeprowadzce. Ale mnie przy tym nie było. Nigdy przedtem go nie widziałam. Jestem tego najzupełniej pewna.

Orientując się, że dalsza rozmowa z Rodzińską nie wnosi do sprawy niczego nowego, major powstał z fotela zabierając się do wyjścia. Kobieta wydawała się bliska płaczu.

- Nie zostawiajcie mnie samej! Tak się boję! Przecież ten bandyta groził mi śmiercią, jeżeli komukolwiek coś powiem. Gotów tu wrócić. Umrę z samego strachu.

Zwłaszcza w nocy. Bardzo proszę - młoda kobieta złożyła ręce jak do modlitwy.

- Niech się pani nie obawia - uspokajał ją Kaczanowski udając, że nie rozumie propozycji. Był przeświadczony, że Jadwiga nie boi się spełnienia groźby, w której istnienie wątpił, ale po prostu obawia się zaarrestowania. Stąd te czułe minki, rzekomy strach i prośba o opiekę w nocy.

Rodzińska nie była brzydka, oficer milicji nie z kamienia. Może i Janusz Kaczanowski skorzystałby z okazji, która sama pchała się w ręce, gdyby nie to, że ta kobieta była podejrzana o współpracę z bandytami. Nie wiadomo, ile w jej opowiadaniu prawdy, a ile kłamstwa. Kłamstwa na pewno bardzo dużo. Może więcej niż prawdy? Ale jak to teraz sprawdzić?

- Tak się strasznie boję - kobieta spróbowała ponownie wzbudzić litość oficera milicji.

- Rozumiem, że po takich ciężkich przeżyciach ma pani nadszarpnięte nerwy. Może byłoby lepiej, gdyby pani choć na parę dni przeniosła się do rodziny czy też do przyjaciół?

- Nie mam tutaj nikogo. Rodzice są na wsi. W innym województwie.
- Niech pani zaprosi na noc przyjaciółkę.
- Nie wiem, czy po tym, co zaszło w naszej kamienicy, którakolwiek się

zgodzi. One też będą się bały nie mniej ode mnie.

- Chyba pani znajdzie jedną odważną?
- Wątpię.
- Chciałbym pani dopomóc. Jeżeli naprawdę nie znajdzie pani nikogo

chętnego, proszę wieczorem zatelefonować pod ten numer - major zapisał na

karteczce wyrwanej z notesu kilka cyfr i położył ją na stole. - Tam będą uprzedzeni i zaraz przyjedzie tutaj jedna z naszych pracowniczek. Na tej dziewczynie może pani polegać i spać spokojnie. Zresztą będzie miała broń.

- Serdecznie panu dziękuję - ton, jakim Rodzińska wypowiedziała te słowa, kontrastował z ich treścią. - Na pewno skorzystam z pańskiej uprzejmości.

Major zamierzał jeszcze pojechać do mieszkania Andrzeja Doberskiego i przeprowadzić tam rewizję. Jednakże pułkownik Adam Niemiroch postanowił inaczej: rewizję zrobi porucznik Madej, a Kaczanowski złoży zwierzchnikowi sprawozdanie z przebiegu dzisiejszych zdarzeń.

- Ta rewizja nie jest taka ważna - stwierdził Niemiroch, kiedy Kaczanowski zameldował się w jego gabinecie. - Pieniądzy tam na pewno nie ma. Gdyby Doberski je miał, nie szukałby guza w cudzej piwnicy. Zresztą Madej jest dobrym fachowcem. Da sobie radę i bez, ciebie, Januszku.

Major złożył szczegółowy raport z wizyty na Wilczej, nie zapominając o niedwuznacznej propozycji, jaką otrzymał od byłej żony Strzelczyka.

- Zawsze miałeś szczęście do babek - roześmiał się pułkownik. - A co ona ci naopowiadała o sobie, o swoim byłym mężu i o tym gościu, który ją odwiedził?

Zamiast odpowiedzi, Kaczanowski uruchomił przyniesiony ze sobą magnetofon. Niemiroch z uwagą wysłuchał opowiadania młodej kobiety.

- Najchętniej bym ją zamknął - zauważył major. - Podejrzewam, że łągała jak najęta.

- Trochę prawdy jest w tych słowach. Zresztą nieboszczyk w jej piwnicy pośrednio to potwierdził.

- Na pewno bez większego wahania zgodziła się zejść do piwnicy i już się uważała za milionerkę. Gdyby nie ten trup, nigdy byśmy jej nie zobaczyli w Pałacu Mostowskich. Idę o największy zakład. I właśnie dlatego nie wiem, czy nie należało jej zatrzymać.

- A jednak dobrze, że tego nie zrobiłeś. Prokurator nie dałby sankcji. Właściwie nie ma żadnego dowodu, że ta babka kłamie. Bo przecież nie jest dowodem, że chciała się z tobą przespać.

- Mój czar osobisty to sprawił.

- Nie łudź się, Januszku. Ona też wiedziała, że masz ochotę ją przymknąć.

- Ciekawe, czy zatelefonuje z prośbą o przysłanie wywiadowczyń?

- Może się założymy? - pułkownik uwielbiał zakłady. - O paczkę carmen?

- Już wolę ci ją kupić bez zakładu. I tak byś wygrał.

- Jedno jest pewne - Niemiroch wrócił do poważnej narady. - Banda nie wie, gdzie są schowane pieniądze, i walczy o nie, nie przebierając w środkach. Na początku było ich czterech, dwóch mamy.

- Nie my, lecz grabarz - sprostował Kaczanowski.

- Pozostało jeszcze dwóch. Doberski zginął z ręki jednego z nich. Tu już nie ma mowy o wypadku, jakiemu rzekomo uległ Strzelczyk. Bo ja osobiście nie wierzę w bajeczkę, że tamten zachwycał się panoramą Wisły i dlatego spadł z urwiska.

- Ja także nie. Trudno dać wiarę opowiadaniu, że pozostali trzej wspólnicy prosili go o przechowanie pieniędzy.

- Pozostało jeszcze dwóch - powtórzył pułkownik i snuł przypuszczenia. - Teraz oni skoczą sobie do oczu.

Tym bardziej, że najprawdopodobniej jeden z nich ma pieniądze, a drugi o tym wie. Położenie tego z pieniędzmi nie jest dobre. Do przestępstwa napadu na bank dorzucił morderstwo. To już dwadzieścia pięć lat albo i czapą.

- Ten drugi może go tym szantażować i zmusić do podzielenia się forszą. Przyjmuję, że drugim jest ten gość, który był wczoraj u Rodzińskiej.

- Szantaż nie jest taki łatwy. Drugiemu też grozi najmarniej dziesięć latek.

Właściwie, pułkownikowi - Kaczanowski omawiając sprawy służbowe zawsze zwracał się do przyjaciela z zachowaniem dystansu, jaki dzieli podwładnego od szefa - wcale nie mamy dowodu, że człowiek znaleziony w piwnicy jest członkiem bandy. To mógł być ktoś trochę zorientowany w sytuacji, kto wszczął poszukiwania na własny rachunek. Rodzińska zeznała, że Strzelczyk często składał w piwnicy jakieś części samochodowe. Może kradzione z Omulewskiej? Może po prostu handlował, takimi częściami, których brakuje na rynku? W każdym razie

.nie sam przyjeżdżał na Wilczą. Więc po jego śmierci ktoś znający - tę piwnicę mógł tam szukać skarbów, nie wiedząc o drogocennej walizce.

- Ten, kto zabił Doberskiego, przyszedł nie po części samochodowe.

- Niemniej - Kaczanowski zdawał sobie sprawę, jak trudne zadanie mu powierzono - nasze dochodzenie ciągle nie ma jeszcze punktu zaczepienia, który pozwoliłby nam dotrzeć do pozostałych członków bandy i do pieniędzy.

- Obawiam się - zauważył pułkownik - że następnego z bandytów otrzymamy w takim samym stanie, jak dwóch poprzednich.

- Wolałbym obu żywych.
- Wierzę ci, Januszk. Jaki masz plan działania?
- Jutro od rana moi ludzie będą zbierali informacje w miejscu pracy

Doberskiego oraz w domu, a także porozmawiają z lokatorami kamienicy przy ulicy Wilczej. Liczę na to, że ktoś coś zauważył.

- Gdzie Doberski pracował?
- W spółdzielni pracy sprzętu medycznego na Grochowie. Magister ekonomii. Był tam głównym księgowym.

• A więc dwaj ludzie: Strzelczyk i Doberski pochodzili z różnych środowisk i pozornie nic ich nie łączyło. Obawiam się, że dwóch pozostałych współników wciągnięto do bandy na tej samej zasadzie. Wywiad środowiskowy niewiele nam da.

- Może pułkownik ma rację, ja jednak nie mogę niczego zaniedbać.
- Rozumiem cię doskonale, Januszk. Sam bym tak postępował. Muszę

przyznać, że jesteś bardzo operatywny. Szybko zebrałeś dane o Doberskim.

- Cóż z tego? Wolałbym mieć dane o tych dwóch żywych.
- Dojdiesz i do tego.
- Mam nadzieję, że dojdę.

Zameldował się porucznik Madej. Rewizja przyniosła rezultaty. W przemyślnie sporządzonym schowku w mieszkaniu zabitego znaleziono pistolet. Stary, jeszcze przedwojenny „FN”. W magazynku brakowało dwóch pocisków.

- Proszę natychmiast przesłać broń do Zakładu Kryminalistyki - polecił major.

- Niech porównają z pociskami i łuskami z banku w Łowiczu.

- To formalność - uśmiechnął się Niemiroch. - Idę o zakład, że będą identyczne. Doberski to ten strzelec z Łowicza. Stoi zakład o torebkę kawy?

- Ty, Adasiu, chciałbyś zbyt szybko dojść do majątku. Jak ci z Łowicza.

Uważaj.

- Na dzisiaj dosyć - zdecydował pułkownik zamykając dyskusję. -

Zobaczymy, co nam jutro przyniesie.

Major Kaczanowski prosto z pracy wrócił do domu. Pragnąc się oderwać od trapiącej go sprawy, sięgnął po ostatnio wydany „kryminał”. Bardzo lubił ten rodzaj powieści. Bawiło go, że ich autorzy zmyślają tak nieprawdopodobnie skomplikowane historie. Teraz też bez reszty poświęcił się tej lekturze. Kiedy doszedł do najciekawszego miejsca w książce, zadzwonił telefon.



- Majorze - informował dyżurny oficer z Komendy Stołecznej MO - przed chwilą otrzymaliśmy meldunek, że Jadwiga Rodzińska została zamordowana na klatce schodowej koło drzwi własnego mieszkania. O dziewiątej wieczorem.

## ROZDZIAŁ IX

### Piąty członek bandy?

Kiedy major Janusz Kaczanowski o zwykłej porze zameldował się w gabinecie pułkownika, Niemirocha, zwierzchnik powitał go słowami:

- Źle wyglądasz, Januszu. Chory jesteś?
- Nie. Po prostu długo w nocy pracowałem. A później nie mogłem zasnąć.

Trochę boli mnie głowa. Bardzo zdenerwowałem się tą historią.

- Jak to było z Jadwigą Rodzińską?
- Sprawdziłem zaraz po otrzymaniu wiadomości o morderstwie. Nie

zadzwoiła do komendy i nie prosiła o ochronę. Wieczorem sąsiedzi usłyszeli jakiś hałas na schodach. Kiedy otworzyli drzwi, na klatce schodowej było ciemno, a koło windy leżała jakaś postać. Była to Rodzińska. Zabito ją uderzeniem czymś ciężkim w tył głowy. Świadkowie twierdzą, że winda była w ruchu. Przypuszczam, że przestępca wykręcił żarówkę na schodach i przy windzie czekał na swoją ofiarę. Kiedy kobieta otworzyła drzwi i wyszła z windy, zaczajony zbrodniarz napadł ją z tyłu, a sam wsiadł do jeszcze otwartego dźwigu. Spokojnie zjechał na dół i przez nikogo nie zatrzymany wyszedł na ulicę. Do późnej nocy przesłuchiwaaliśmy kolejno wszystkich lokatorów domu. Nikt nic nie zauważył. Jedyne pewien chłopiec przypomniał sobie, że kiedy dwa dni temu wracał do domu od kolegi, było to już po ósmej wieczorem, spotkał przy wejściu do domu jakiegoś mężczyznę dźwigającego ciężką walizkę. Jak się chłopcu zdawało, ten człowiek wyszedł z suterenu. Nasz młody świadek nie przyglądał się mężczyźnie z walizką i dlatego nie umiał określić ani jego wyglądu, ani jak był ubrany. Przy Rodzińskiej znaleziono w jej torebce zużyty bilet kinowy. Widocznie wracała z kina.

- Dziwnie zgadzają się w czasie obydwie śmierci, Rodzińskiej i Andrzeja Doberskiego. Człowieka z walizką widziano, jak mówisz, o tej samej porze, o której, zdaniem lekarza, zamordowano Doberskiego.

- Tak, ale to zupełnie nie tłumaczy powodów śmierci Rodzińskiej. Łyso mi - stwierdził major. - Gdybym poważnie potraktował obawy tej kobiety, może by nie

zginęła. Trzeba było jednak iść do niej. Albo nawet bez jej zgody posłać tam Janeczkę. Czuję się trochę winny tej śmierci.

- Mylisz się. Gdyby Rodzińska zginęła we własnym mieszkaniu, twoje obiekcje miałyby pewne uzasadnienie. Ale zabito ją na schodach. Gdybyś wtedy był w jej mieszkaniu, nie mógłbyś zapobiec zbrodni i ucieczce przestępcy. To morderstwo utwierdza mnie w przekonaniu, że zeznania tej kobiety były fałszywe. Człowiek, który do niej przyszedł i rzekomo groził jej śmiercią, jeżeli zawiadomi milicję, zachowywał się inaczej, niż to przedstawiła była żona Strzelczyka. Wspólnie z nim szukała skarbu. Ktoś ich uprzedził.

- Zabójca Doberskiego?

- Moim zdaniem, tak. Poza tym twierdzę, że Rodzińska wcale się nie obawiała zabójcy Doberskiego. Pieniądze zabrał, na tym skarbie musiała położyć krzyżyk. Dla-

tego przybiegła do nas. Wołała sama nas zawiadomić o nieboszczyku w piwnicy, niż czekać, aż uprzedzi ją któryś z sąsiadów. Wtedy mogła się spodziewać większych nieprzyjemności.

- Może pułkownik ma rację? - zastanawiał się Kaczanowski.

- Na pewno się nie mylę. Nie przeczę, że Rodzińska bardzo się przestraszyła trupa w swojej piwnicy. To zupełnie zrozumiałe. Ale później, kiedy już rozmawiała z tobą na Wilczej, w swoim mieszkaniu, grała komedijkę. Obawiała się przede wszystkim aresztowania jej. Za cenę swojej wolności gotowa była przespać się z pewnym oficerem milicji.

- Proszę cię, Adaś...

- Dobrze, dobrze! A jak dalej zachowała się ta rzekomo śmiertelnie przerażona kobieta? Inna na jej miejscu uciekłaby, gdzie pieprz rośnie. Ostatecznie jej rodzice nie mieszkają na księżycu, ale w odległości dwóch: godzin jazdy pociągiem. Nie wierzę też, że w takiej sytuacji nie mogła znaleźć schronienia u znajomych lub przyjaciół. W ostateczności zabarykadowałyby się w domu i nie wychodziła z mieszkania ani nie otwierała nikomu. A ona najspokojniej poszła do kina i stamtąd, bez żadnej obawy i zachowania ostrożności, wracała do domu. Uważała się za całkowicie bezpieczną. Nie skorzystała też z numeru telefonu, który jej zostawiłeś.

- Wszystko, co pułkownik mówi, jest bardzo logiczne. Jednakże przeczy temu jeden fakt. Obala on to całe rozumowanie.

- Jaki fakt?
- Właśnie to, że Rodzińską zamordowano. Teraz już nigdy się nie dowiemy,

czy naprawdę się bała, czy udawała. Faktem jest i to, że mówiła o swoich strachach, prosiła o opiekę, nie dostała jej i zginęła w kilka godzin później. Tego już nie można zmienić.

- Rodzińska zginęła nie dlatego, że się obawiała.

- A dlaczego?

- Dlatego, że ten, który zastrzelił Doberskiego, obawiał się tej kobiety.

- Z jakiego powodu?

- Nie wiem. Przypuszczam, że składając w twoim pokoju zeznania Rodzińska świadomie lub bezwiednie ukryła jakieś znane jej fakty. Zabójca Doberskiego nie bał się, że jego zbrodnia zostanie wykryta. Przeciwnie, pozostawienie w kieszeni zmarłego dowodu osobistego było jak gdyby ukłonem w naszą stronę. Jednakże później przestępca doszedł do wniosku, że była żona Strzelczyka może być niebezpieczeństwem dla niego. Dlatego natychmiast ją usunął z grona żyjących. To, że poszedł na tak wielkie ryzyko i zabił kobietę na schodach, nie czekając na jakąś lepszą okazję lub nie próbując jej stworzyć, świadczy, że morderca bardzo się bał tej kobiety. Przypuszczam, że Rodzińska знаła go dobrze i mogła się domyślać, kto wziął pieniądze pozostawiając jej w piwnicy tak kłopotliwy prezent.

- Zabójcą jest czwarty członek bandy. To jasne. Dwóch zginęło. Jeden chciał zdobyć pieniądze z pomocą Rodzińskiej, a więc nie on zastrzelił Doberskiego. Również nie przypuszczam, żeby zamordował Rodzińską, gdyż cna go nie znała i nie mogła go zdradzić. Pozostaje ten czwarty.

- Albo piąty - spokojnie powiedział pułkownik.

- Jak to piąty? Przecież było ich czterech!

- O czterech wiemy, że brali udział w akcji w Łowiczu. A może istniał jeszcze piąty? Ten, który był „mózgiem” całego przedsięwzięcia. Rodzińska na pewno wiedziała dużo więcej o swoim byłym mężu, niż to majorowi powiedziała. Mogła domyślać się, kto jest „mózgiem”, a także znać tego człowieka. On również o tym wiedział i zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może go zdemaskować. Postanowił pozbyć się jej jak najszybciej, nie bacząc na ogromne ryzyko.

Janusza Kaczanowskiego zaskoczyło rozumowanie zwierzchnika. Chwilę się zastanawiał, by wreszcie odpowiedzieć:

- Teoria pułkownika z „mózgiem” jest bardzo ciekawa. Nie można jej wykluczyć, ale wiele faktów, której dochodzenie już ustaliło, przeczy tej hipotezie.
- Jakich faktów? - Niemiroch niezbyt lubił, jeśli ktoś mu się przeciwstawiał?
- Przede wszystkim członkowie bandy nic nie wiedzieli o istnieniu tego „mózgu”..

- Mogli go znać, ale nie powinni. To naczelna zasada konspiracji.

- Zgoda. Nie znali go osobiście. Ale musieliby wiedzieć o jego istnieniu.

Tymczasem tajemniczy gość odwiedzający Rodzińską nie tylko przedstawiał się za przywódcę bandy, można przyjąć, że kłamał, ale wyraźnie mówił, że zdobyte łupy miały być podzielone na cztery części. Po milionie dla każdego. Gdyby „mózg” naprawdę istniał, zdobycz dzielono by na pięć części, już nie mówiąc o tym, że „mózg” zastrzegłby sobie większy udział niż inni.

- Przywiązujesz zbyt dużą wagę do zeznań Rodzińskiej.

- Ten szczegół, że jej ofiarowywano milion złotych, część Strzelczyka, jest na pewno prawdziwy - upierał się

Kaczanowski. - Nie wysłałaby sobie tego z palca. Mogłaby przecież w ogóle to przemilczeć i upierać się, że nic jej nie obiecywano, a jedynie sterroryzowano i zmuszono do zejścia do piwnicy. Gdyby „mózg” istniał, członkowie bandy baliby się tego człowieka. A tymczasem po śmierci Strzelczyka każdy zaczyna działać na własną rękę. Przywódca, bez względu na wypadek nad Wisłą, zachowałby nadal swoje stanowisko.

- Może Strzelczyk był jedynym łącznikiem pomiędzy nim a resztą uczestników akcji?

- To i tak „mózg” znałby personalia członków bandy i umiałby wymusić sobie bezwzględny posłuch.

- W jaki sposób?

- Po prostu grożąc przestępcom denuncjacją. Oni w zamian nie mogliby go sypnąć, bo nic o nim nie wiedzą.

- No tak - pułkownik sam zrozumiał, że jego piękna teoria rozsypuje się jak domek z kart, ale ciągle żał mu było zrezygnować z niej. - W tym, co mówisz, jest trochę racji. Cholernie skomplikowana sprawa.

- Powiem więcej, „mózg”, gdybyś naprawdę istniał, zorganizowałby napad w taki sposób, żeby pieniądze znalazły się w jego posiadaniu, a nie w skrytce

Strzelczyka.

- Może Strzelczyk zagrał *va banque* i postanowił przywłaszczyć sobie całą sumę, pragnąc wykiwać zarówno pozostałą trójkę uczestników akcji, jak też i „mózg”.

- To mało prawdopodobne. Wtedy jego życie nie warto byłoby nawet łupiny od banana.

- Toteż i nie żyje.
- Ale, jak twierdzą biegli, rye został zamordowany. Wypadek.
- Bardzo dziwny wypadek.
- Nie przeczę. Na pewno były tam jakieś kłótnie pomiędzy współnikami, ale do rękoczynów nie doszło.

- A ja - stwierdził pułkownik - im dłużej nad tym myślę, tym mniej wierzę, że Doberskiego zastrzelił jeden z dwóch pozostałych przy życiu uczestników akcji na bank. Od napadu, nawet z bronią w ręku, do morderstwa jest jeszcze dość długa droga. A cóż dopiero do zamordowania przyjaciela. Przecież tych bandytów musiały jednak wiązać jakieś bliższe stosunki. Nie byli to ludzie zebrani na ulicy. Gotów jestem wyobrazić sobie taką scenę: każdy z bandytów na własną rękę poszukuje pieniędzy. Jeżeli je znajdzie, nie podzieli się nimi z kolegami. Ale oto jeden z nich wyciąga w piwnicy Rodzińskiej spod stosu desek cenną walizę. W tym samym celu przyszedł do piwnicy drugi z bandytów. Czy musi od razu strzelać? Mógł na miejscu, tam w suterenie, zażądać połowy łupu. Dwa miliony to też bardzo dużo.

- Ale cztery to dwa razy więcej.

- To racja, ale popełniając morderstwo trafia się do innej, znacznie groźniejszej przegródki kodeksu karnego. A i tak trzeba podzielić się tymi pieniędzmi. Wprawdzie nie z nieboszczykiem z piwnicy, lecz z trzecim uczestnikiem napadu. Teraz on ma zabójcę w ręku i wie, że pieniądze zostały odnalezione.

- Przecież nie pójdzie do milicji i nie doniesie na siebie samego.
- Jeżeli nie dostanie swojej doli, gotów to zrobić. Przyznaję, że byłby to czyn rozpaczny, ale w takim przypadku on sam ryzykuje tylko parę lat odsiadki. Sąd musiałby wziąć pod uwagę dobrowolne zgłoszenie się, zdemaskowanie mordercy i pomoc w odzyskaniu pieniędzy. Prokurator zadowolony z takiego obrotu sprawy niezbyt stanowczo nastawałby na wymierzenie wysokiej kary.

A w ten sposób nasz bohater posłałby nieuczciwego współnika albo na

szubienicę, albo do więzienia na dwadzieścia pięć lat. Mimo wszystko lepiej dla bandytów podzielić się pieniędzmi. Oni na pewno umieją kalkulować własne szanse, jak i obliczać stopień ryzyka.

- A zatem pułkownik upiera się przy istnieniu „mózgu”?
- Niezupełnie. Przyznaję, Januszk, że w tej teorii zrobiłeś wielkie szczyrby

i teraz nie trzyma się już ona kupy. Ale może być ktoś piąty... Ktoś, kto w ogóle nie uczestniczył w napadzie, natomiast w nie znany nam sposób zebrał dużo informacji o bandzie i o tym, że Strzelczyk ukrył pieniądze w sobie tylko wiadomym miejscu, nie wskazując go pozostałym uczestnikom skoku. Ten „piąty”, tak go na razie będę nazywał, postanowił włączyć się do akcji poszukiwania skarbu. Robi to na własną rękę i na własny rachunek. Nie jest związany z uczestnikami bandy żadnymi sprawami. Może nawet w ogóle ich nie zna? Idzie jednak na całego. Wiedział, że Strzelczyk zachował dla siebie piwnicę w domu przy Wilczej i postanowił tam poszukać drogocennej walizki. Przychodzi i zastaje jakiegoś mężczyznę, który właśnie wyciąga spod kupy desek pakunek z czterema milionami złotych. Cóż łatwiejszego, jak wyjąć pistolet z kieszeni i strzelić w plecy człowiekowi odwróconemu tyłem do drzwi?

- Trzeba mieć pistolet w pogotowiu - Kaczanowski sceptycznie przyjmował nową teorię pułkownika Niemirocha.

- Mój „piąty”, rozpoczynając swoją akcję, doskonale wiedział, że będzie miał przeciwko sobie trzech ludzi zdecydowanych na wszystko i uzbrojonych. W Łowiczu dowiedli, że idą na całego i że mają broń.

- Ale skąd „piąty” by ją miał?

- Jeżeli wszyscy trzej bandyci operujący wewnątrz banku w Łowiczu mieli pistolety, to i mój „piąty” może mieć jakąś pukawkę. Nie zapominaj, że po przejściu frontu i po powstaniu o broń było łatwo. Karabiny leżały w lesie i w rowach przydrożnych. Zaopatrzenie się w pistolet także nie przedstawiało trudu. Na wezwanie władz broń oddali tylko uczciwi. Wszelkiego rodzaju oprychy i męty społeczne chowały „na wszelki wypadek”.

- Ale od tego czasu minęło dwadzieścia siedem lat. Oprychy pułkownika już się zestarzelili i przeszli na emeryturę.

- A broń zmieniła właściciela. Krąży nadal w podziemiu. Stale się z nią spotykamy. Zresztą masz najlepszy dowód: rewizja u Andrzeja Doberskiego wykryła właśnie taki stary, jeszcze przedwojenny pistolet. A pomimo to działał wybornie.

Dziura w suficie w Spółdzielczym Banku Ludowym dała temu świadectwo.

- Pułkownik ma niewątpliwie dużo racji...
- Przemysł moją koncepcję. Ona tłumaczy wiele, łącznie ze śmiercią

Rodzińskiej.

- No, niezupełnie...
- Rodzińska wiedziała o tym, że jej były mąż nie tylko zwałił do piwnicy

meble, ale także używa tego pomieszczenia dla jakichś niezbyt czystych celów.

Przywożenie i wywożenie z piwnicy różnych części samochodowych pozwala przypuszczać, że była to kryjówka paserska. Bo dla jakich innych powodów pracownik państwowego warsztatu samochodowego gromadził wyposażenie samochodów w piwnicy? Przecież oficjalnie nie handlował tymi częściami, a jeżeli potrzebował w pracy, brał je z magazynu „za odpowiednim zapotrzebowaniem”. Jak major sam widział, „prywaciarz” Jankowski także ma dużo różnych akcesorii motoryzacyjnych w swoich magazynach. Strzelczyk działał zatem we własnym imieniu. Trudno udowodnić, że były to części pochodzące z kradzieży, ale na pewno z nielegalnego handlu.

- Z tym się zgadzam.
- Do handlu potrzeba co najmniej dwóch: sprzedawcy i kupującego.

Czasami jeszcze jest cały łańcuszek dostawców i pośredników. Mój „piąty” mógł być właśnie takim kupującym lub pośrednikiem. Stykał się często ze Strzelczykiem, znał jego skrytkę w domu przy ulicy Wilczej i znał żonę Strzelczyka. Mógł się spodziewać, że domyśli się, kto orientuje się w kombinacjach z piwnicą. Oficjalnie należy ona do Właścicielki mieszkania, lecz praktycznie pomieszczeniem tym dysponuje były mąż Rodzińskiej. Bał się, że prowadzący dochodzenie zacznie o te sprawy wypytywać Jadwigę, i dlatego musiał ją zlikwidować, zanim swoimi zeznaniami naprowadzi milicję na trop mordercy.

- Tak być mogło. Może pułkownik ma rację? Trudno mi jednak zgodzić się z istnieniem człowieka tak zdeterminowanego i tak bezwzględnego. Idącego po trupach do celu.

- Są ludzie, którzy wszystko przeliczają na pieniądze. Mój „piąty” należy do tej kategorii. Najwidoczniej uznaje, że powyżej czterech milionów złotych nie ma już żadnej moralności, sumienia ani uczuć ludzkich. Są wyłącznie pieniądze, które trzeba zdobyć, nie licząc się z niczym i z nikim.

- To straszne.
- A jednak ty sam, Januszk, nieraz spotykałeś się z takimi ludźmi.
- Spotykałem. Ale nigdy nie mogłem zrozumieć ich mentalności i motywów postępowania.

• W 1929 roku w Stanach Zjednoczonych zdarzył się wielki krach giełdowy; W ciągu kilku dni akcje mające przedtem wartość milionów dolarów stały się bezwartościowymi papierami. W ciągu tych dni ponad dwustu finansistów i graczy giełdowych popełniło samobójstwo, chociaż nie mieli na sumieniu żadnej zbrodni. Nie stracili zdrowia. Po prostu bardziej kochali pieniądze niż życie. Mój „piąty” należy do tej samej kategorii. Z tym zastrzeżeniem, że on bardziej kocha pieniądze niż cudze życie.

• Teoria pułkownika zaczyna mnie coraz bardziej pasjonować. Wprawdzie nie zachwyca się nią z punktu widzenia człowieka prowadzącego dochodzenie, bo poszukiwałem dwóch bandytów, a teraz przybył mi jeszcze jeden.

- Nie wiadomo, czy nie będą ci ubywać w taki sposób jak Doberski...

- Pułkownik sądzi, że...
- Tam się toczy wielka gra. Sto sześćdziesiąt razy większa niż w telewizji.

W telewizji wygrywa się dwadzieścia pięć tysięcy złotych. Tych trzech gra o cztery miliony.. Jeśli mój „piąty” sprzątnął dwóm pozostałym przy życiu bandytom tę sumę, teraz oni będą go szukali.

- Nie przypuszczam, aby go znaleźli.

- Mają jednak więcej atutów do odnalezienia go niż my.
- Nie jestem tego taki pewny.
- Znali Strzelczyka i jego różne powiązania. W tych kołach będą szukali „piątego”.

- Ale czy go znajdą?
- Mam nadzieję - uśmiechnął się pułkownik - że uprzedzi ich Janusz Kaczanowski. Tego jemu i sobie życzę. Co o tym myślisz?

• Spróbuję poszukać w kręgu znajomych i przyjaciół Jadwigi Rodzińskiej. Nawet widzę potencjalnego kandydata na tego „piątego”.

- Kogo?
- Babka młoda, dość przystojna, z własną chatą. Przed sześciu laty rozwiodła się z mężem. Nie żyła chyba przez ten czas w celibacie?



- Jeżeli miała jakiegoś „narzeczonego”, nie musiał jej mordować. Poszedłby z nią razem do piwnicy po skarb Strzelczyka. Gdyby to on zastrzelił Dokerskiego, we dwójkę jakoś pozbyliby się trupa. Choćby zakopując ciało w tej samej piwnicy. Rodzińska nigdy by się nie zgłosiła do milicji.

- To prawda, ale nie myślałem o jej aktualnym kochanku, lecz raczej o mężczyźnie, który już nie gra roli w jej życiu, a w przeszłości dzięki niej poznał tajemnice Strzelczyka. Taki facet mógłby żywić obawy, że Rodzińska domyśli się, kto zabił Doberskiego i zabrał pieniądze.

- To może być dobry trop. Albo ktoś z handlowych znajomości byłego męża Rodzińskiej. Trzeba szukać wszędzie. Badać wszelkie możliwości.

- Dochodzenie nie rusza z miejsca, a roboty coraz więcej - zauważył niewesoło major. - Tylko trupów nam przybywa. Strzelczyk, Doberski, Rodzińska. Już mamy trójkę. Obawiam się, że na tym nie koniec.

- I ja się obawiam, że to dopiero początek. Obym był złym prorokiem.

## **ROZDZIAŁ X**

### **„Musimy znaleźć tego faceta”**

Zygmunt Lipień omal nie stracił zmysłów z przerażenia. Kiedy zaś w dwa dni później przeczytał w dzienniku o tajemniczym zabójstwie Jadwigi Rodzińskiej, aż się rozchorował i przez trzy dni nie pokazywał w biurze. Czwartego dnia, kiedy odważył się wyjść na ulicę i przyjść do pracy, koledzy zgodnie stwierdzili, że bardzo źle wygląda i powinien przedłużyć zwolnienie lekarskie.

Ale Lipień również bał się iść do lekarza.

Wychodząc z biura spostrzegł nagle stojącego tuż przy wejściu Tadeusza Majewskiego. Wzdrygnął się, jak gdyby dojrzał upióra. Ale już było za późno, aby się cofnąć. Tadeusz podszedł do niego.

- Trzeci dzień czekam na ciebie - powiedział nie podając ręki przyjacielowi.

- Chorowałem. Tak się strasznie przestraszyłem zabójstwa Doberskiego i byłej żony Strzelczyka, że musiałem położyć się do łóżka. Myślałem, że dostanę zawału.

- Ten strach nie przeszkadzał ci jednak ich zabić. Przyznaję, to były dobre robótki. Zwłaszcza ta z Rodzińską. Co prawda nie bardzo rozumiem” dlaczego ją

sprzątnął. Z Andrzejem postąpiłeś słusznie. Okazał się taką samą Świną jak Strzelczyk. Może jeszcze większą, bo nawet tymi paroma tysiącami złotych, które wyjął

Kazikowi z kieszeni, tam w Lasku Bielańskim, nie uważał za słuszne podzielić się z kolegami. W jaki sposób go nakryłeś w tej piwnicy na Wilczej? Mam nadzieję, że przygotowałeś dla mnie pieniądze. Teraz pozostało nas dwóch i należy mi się dwa miliony siedemdziesiąt tysięcy, złotych. Chyba z walizki nic przez ten czas nie ubyło?

Lipień zbladł jak ściana, a później zaczął się głośno śmiać, co zwracało uwagę ludzi wychodzących z biurowca.

- Nie rób z siebie błazna - syknął Majewski.

Zygmunt opanował się. Szli ulicą w stronę Alej Jerozolimskich.

- To jakieś nieporozumienie. To ty ich zabiłeś.
- Zawsze byłeś hipokrytą, ale przez myśl mi nie przeszło, że jesteś aż takim łobuzem. Nie dość, że zamordował dwoje ludzi i zabrał pieniądze, jeszcze chce mi wmówić tę zbrodnię.

- Ja tego nie zrobiłem. Przysięgam!

- Nie krzycz tak. Ludzie patrzą.

- A niech sobie patrzą. Mam wszystkiego dosyć. Ja się zabiję.

- Ciszej! - rozkazał Majewski. - Chodź do parku za Muzeum Wojska. Tam możemy spokojnie porozmawiać.

- Żebym zginął jak Strzelczyk? Albo jak Doberski?

- Idiota! Tam nie ma skarpy. Ani piwnicy, w której tak dzielnie się spisalesz.

W milczeniu przeszli kawałek Alei Trzeciego Maja i zeszli schodami na dół.

Usiedli na ławce w jednej z alejek. W pobliżu nie było nikogo.

- Mów! - kazał Majewski.

- Co ci mam mówić? Ty ich zabiłeś, a teraz odwracasz kota ogonem.

- Gdybym zabił, nie przyszedłbym pod twoje biuro. Trzy dni tutaj waruję.

- Ja też nie zabiłem.

- Słuchaj - powiedział Majewski - nie baw się ze mną w ciuciubabkę i nie doprowadzaj mnie do ostateczności. Doberskiego mógł zastrzelić tylko jeden z nas.

Ponieważ ja go nie ruszyłem, pozostajesz ty. To chyba jasne.

- Ponieważ ja nie zabiłem ani Andrzeja, ani Rodzińskiej, mordercą jest

Majewski.

- Chłopie! - Tadeusz zerwał się z ławki.

Zygmunt powstał także. Przez dłuższą chwilę mierzyli się oczyma. Wreszcie Majewski opanował się.

- Siadajmy - powiedział - i porozmawiajmy spokojnie. Mów wszystko, co wiesz. Potem ja powiem o sobie.

- Dobrze - zgodził się Zygmunt. - Ale całkowitą szczerą między nami.

- Spróbuj zełgać!

- Albo ty!

- Znowu się kłócimy. A niech to cholera weźmie! Więc ja zacznę -

postanowił Majewski. - Inaczej nic z tego nie będzie. Kiedy rozstaliśmy się wtenczas rano na Bielanach, po nocy spędzonej w warsztacie Jankowskiego, początkowo myślałem, że wszystko stracone. Później jednak postanowiłem nie dawać za wygraną. Zacząłem się zastanawiać, gdzie ten skubaniec mógł schować walizę? Przypomniał mi się brat Strzelczyka. Może u niego? Zatelefonowałem do Andrzeja, umówiliśmy się i wtedy opowiedziałem mu o swojej koncepcji. Obiecał rozejrzeć się w sytuacji i być ze mną w kontakcie. Wspomniałem Andrzejowi, że trzeba zawiadomić i ciebie. Doberski uznał to za zbędne w tym pierwszym stadium nowych poszukiwań.

Twierdził, że na razie woli sam przeprowadzić rozpoznanie. Jego zdaniem ty do takiej akcji byłeś zbyt nerwowy, ja zaś jestem za wysoki i to od razu rzuca się w oczy.

Naturalnie zastrzegłem stanowczo, że bez względu na to, jaki byłby dalszy przebieg wydarzeń, pieniądze muszą być zgodnie z umową podzielone na trzy równe części.

- No, oczywiście - mruknął Zygmunt nie przekonany tym zapewnieniem.

- Z Andrzejem widziałem się jeszcze raz. Mówił, że obejrzał willę, w której mieszka brat Strzelczyka, i zebrał informacje o jego osobie. Uważał, że wykluczone, aby Kazik mógł schować pieniądze u Wojciecha. Przede wszystkim milicja natychmiast przeszukała cały lokal. Andrzej pociągnął za język jakiegoś chłopca mieszkającego w sąsiedztwie. Młody człowiek wiedział, że Strzelczyk jest rodzonym bratem „bandyty”, bo tak nas nazywają. Pewnego dnia przed domek Strzelczyków podjechały aż dwie milicyjne warszawy. Wysiedli z niej faceci w cywilu, z walizczkami. Towarzyszył im właściciel willi. Kierowcy obu samochodów byli w mundurach.

- Ekipa dla przeprowadzenia rewizji domu - domyślił się Zygmunt Lipień.

- To jasne. Ta wizyta była szeroko komentowana w sąsiedztwie. Doberski dodał, że rozmawiał także z kioskarką sprzedającą gazety na rogu ulicy. Ona również wiedziała o rewizji w domu Wojciecha Strzelczyka.

- Czy coś znaleźli?
- Chyba nic, bo Strzelczyk chodzi na wolności. Andrzej sprawdzał.

Wojciech jest dyrektorem dużej fabryki na Pradze. Cieszy się bardzo dobrą opinią zarówno w swoim przedsiębiorstwie, jak też u władz przełożonych. Trzeba przyznać, że Andrzej dobrze się wziął; do rzeczy. W ciągu paru dni przeprowadził wywiad i rozpracował gościa nie gorzej, niżby to zrobiła milicja.

- Andrzej nie wspominał o jakichś innych koncepcjach poszukiwania naszej forsy?

- Nie. Mówił, że jest zupełnie załamany i że jego zdaniem należy na całej sprawie położyć krzyżyk, bo jeśli zaczniemy szukać na oślep, na pewno porobimy jakieś błędy i skończy się to tak, że milicja nas zgarnie; jak ryby do saka.

- Już wtenczas coś knuł - wyrwało się Zygmunтови.

- Nie ulega wątpliwości. Wspominałem mu, że należą się nam także pieniądze, które samowolnie zabrał Kazikowi. Tam nad Wisłą, kiedy patroszył jego kieszenie. Andrzej przekonywał mnie, że było tego zaledwie dwieście złotych z jakimiś groszami, i dodał, że nie będziemy się dzielić po siedemdziesiąt złotych. Najwyżej przy okazji za tę forszę wstąpimy do knajpy, aby wypić zdrowie fundatora.

- Dzisiaj możemy wypić zdrowie już... dwóch nieboszczyków! Andrzej łągał. Strzelczyk zawsze miał przy sobie najmarniej trzy tysiące złotych, a wtedy musiał; mieć grubo więcej. Pamiętam, jak mu Andrzej wyciągał portfel z kieszeni. W środku luzem była cała harmonia banknotów. Setek i pięćsetek. Tak na oko, grubo ponad pięć tysięcy. Nic dziwnego. To było po południu. Kazimierz wtedy kierował całym warsztatem. Inkasował od klientów pieniądze za naprawy. Sam kiedyś wspominał, że codziennie kilkanaście tysięcy wpłaca do PKO na rachunek właściciela.

- Oszukał nas wtedy i teraz też chciał wykiwać - stwierdził Majewski. - Co on robił na Wilczej? Zachodzę w głowę, jak się tam znalazł i po co?.

- To proste. Szukał walizki.
- W mieszkaniu Rodzińskiej?
- W jej piwnicy.

- Przecież Kazik rozwiódł się dawno i chyba nie utrzymywał z byłą żoną bliższej znajomości? Parę razy, pamiętam, wyrażał się o niej niezbyt pochlebnie.
- To cała historia. Teraz ci powiem, jak było ze mną.
- Tylko, Zygmunt, nie kręć. Nie doprowadzaj mnie do ostateczności.
- Skądże znowu. Powiem prawdę, tak jak i ty. Szczerość za szczerość. Nic więcej.

- Mów wreszcie.

- Ja też długo zastanawiałem się, gdzie Kazik mógł schować naszą walizę. Przypomniałem sobie pewien szczegół. Znałem Strzelczyka znacznie dłużej niż ty.

- Na pewno nie. Znamy się od szczeniaków.
- W każdym razie znałem go znacznie dłużej niż ciebie i Andrzeja.

Wprawdzie nie bywałem w jego domu, ale dużo słyszałem o Jadwidze jako o niezdolnej żonie. Domem się nie zajmowała. Ile by jej dać pieniędzy, zaraz wszystko wydawała na byle łachy i nie była od tego, aby szukać przygód z innymi chłopami, Kiedyś Strzelczyk oświadczył mi, że jego cierpliwość się wyczerpała i podał sprawę do sądu o rozwód. Chciał podać mnie na świadka. Przekonałem go, że nie będę mógł powiedzieć nic innego, jak tylko powtórzyć jego narzekania. Dla sądu to żaden dowód. Sprawa trwała jakoś krótko, bo właśnie Jadwiga bardzo była zajęta kimś innym i liczyła na szybkie drugie małżeństwo. Kazik wtedy wspomniał, że zawarł z żoną taki układ: pięćdziesiąt tysięcy na stół i połowa mebli, a on da jej wolność. Wyprowadzi się z mieszkania.

- On zawsze miał łeb do pieniędzy. Nawet na własnym rozwodzie zrobił dobry interes.
- Tak się też skończyło, ale Strzelczyk nie miał mieszkania i nie wiedział, gdzie te graty złożyć. Od swojej byłej żony wytargował na dodatek piwnica W domu przy Wilczej. Prosił mnie o pomoc w przeprowadzce. Zgodziłem się.

- Przenosiliście we dwóch te rzeczy do piwnicy?
- Nie we dwóch. Było nas czterech. Kazik zwołał jakichś kolegów z pracy.

Wykombinował także ciężarówkę. Pamiętam, że meble znieśliśmy do piwnicy, natomiast książki zapakowało się w skrzynie. Miały być przewiezione do jego brata. Tam bowiem Kazik mieszkał do czasu wynajęcia sobie pokoju na Bielanych. Wtedy zmieniał, miejsce pracy i zaczynał kombinować z Jankowskim. Później dostał kawalerkę na Solcu.

- Co ma piernik do wiatraka?
- Ma, i to dużo. Po paru latach coś się z Kazikiem zgadało o jego żonie.

Zapytałem, czy wyszła drugi raz za męża. Odpowiedział, że nie, bo i kto by chciał wziąć taką żonę. Wspomniałem, jak znosiliśmy meble do piwnicy. Tam był ładny stolik. Bardzo mi się podobał. Mówiłem, że miałem wtedy na ten stoliczek wielką chrapkę. Kazik roześmiał się i wyjaśnił, że te rzeczy do tej pory leżą w suterenie. On przecież, do nowego mieszkania nie będzie zabierał takich gratów. A co do stolika, dodał, jest już połamany, bez nóg i szuflad. Nie nadaje się do reperacji. Więcej już o tym mowy nie było.

- Ciągle nie rozumiem.
- Po śmierci Kazika przypomniałem sobie o tej rozmowie. Przyszło mi na

myśl, że Strzelczyk schował walizę właśnie do tej piwnicy. To idealna kryjówka. Oficjalnie boks należy do jego żony. Rozwiedzionej od sześciu lat i używającej panieńskiego nazwiska Rodzińska. Nikt nie wie, że Kazik ma klucz do tej piwnicy. Dostęp do niej łatwy, bo dom duży i drzwi do podziemia zawsze otwarte.

Postanowiłem to sprawdzić.

- Sam? - ironicznie zapytał Majewski.
- Naturalnie, że nie. Kiedy już koniecznie trzeba ryzykować, wiesz dobrze, jaki jestem odważny. Ale tam, gdzie to nie jest potrzebne, nie widzę powodu, aby nadstawiać karku.

Majewski uśmiechnął się z politowaniem. Znał dobrze kolegę i jego rzekomą brawurę.

- Poza tym - Zygmunt nie zrażał się ironią przyjaciela - elementarne poczucie uczciwości nie pozwalało mi działać samemu. Odwiedziłem więc panią Rodzińską i wszystko jej szczerze opowiedziałem.

- A baba na pewno natychmiast poleciała na milicję. Ty masz pomysły! Żeby cię szlag trafił... W ogóle dziwię się, że ciebie jeszcze nie przyskrzynili. A może łążą za tobą, żeby dojsć i do mnie?

Lipień obejrzał się nerwowo, ale w parku w pobliżu nie było nikogo. Jedyne w pewnym oddaleniu na ławkach siedziały mamy i doglądały swoich bawiących się pociech.

- Rzeczywiście później poszła do komendy milicji - przyznał Zygmunt. - Ale ja jej sam to doradziłem i pouczyłem, co ma mówić. Ale to było później. Na razie

doszliśmy z panią Rodzińską do całkowitego porozumienia. Ona ułatwi mi dostęp do piwnicy, nawet nie pamiętałem, który to był boks, a w zamian za to otrzyma część Kazika. Jako jego żonie słusznie się jej to należało.

- Hojny jesteś. Lubisz dawać prezenty. Zwłaszcza z cudzej kieszeni. Jakim prawem rozporządzałeś naszymi pieniędzmi? Przecież ustaliliśmy, że po śmierci Strzelczyka całą dolę dzielimy na trzy części.

- Lepiej mieć coś do podziału na cztery części niż nic na trzy. To chyba jasne?

- Dobrze, dobrze. Mów dalej.

- Obiecałem jej milion. Końcówką podzieliłibyśmy się we trójkę.

Odczekaliśmy jakiś czas, aż ruch na klatce schodowej się zmniejszył, i zjechaliśmy do suterenu. Boks był zamknięty na kłódkę, jestem pewien, że jeden z tych dwóch kluczyków, o których wspominał Andrzej, pasowałby do tego zamka. Byłem przygotowany do otwarcia kłódki. Wziąłem ze sobą piłkę do cięcia metalu, a także duży klucz francuski. Chciałem albo ukreć kłódkę, albo ją przepiłować.

- Rzeczywiście tak o wszystkim pomyślałeś? - w głosie Majewskiego po raz pierwszy zabrzmiała nutka uznania.

- Znasz mnie przecież. Ładnych kilka dni rozwiązywałem tę łamigłóvkę, aby później działać bez pudła. Niestety i tak to na wiele się nie przydało.

- Mów! Co było dalej?

- Zanim jeszcze zabrałem się do tej kłódki, postanowiłem sprawdzić, co jest w środku piwnicy. Drzwi do niej, jak wszędzie w tego rodzaju pomieszczeniach, są zbite z lat, pomiędzy którymi istnieją duże szpary. Przez taką szparę oświetliłem piwnicę latarką elektryczną. Mówię ci, potworny widok. Na tym stoliku mahoniowym, który mi się tak podobał, a który teraz był rzucony do góry nogami, leżał Andrzej Doberski. Głowa na podłodze, w plecach rana postrzałowa. Rodzińska mało nie zemdląca, gotowa też była narobić wrzasku na całą kamienicę. Całe szczęście, że ja byłem obok i nie straciłem zimnej krwi. Ostrożnie wytarłem chustką do nosa kłódkę, bo już ją przedtem wziąłem w rękę, potem wyprowadziłem babeczkę z piwnicy i odwiozłem na górę. Dostała filiżankę kawy i dwa koniaki. To jej dobrze zrobiło, jakoś się uspokoiła. Przyznaję, że i ja sobie łyknąłem. Mnie też porządnie łąpnęło. Wprawdzie nie widziałem twarzy Doberskiego, ale nie miałem wątpliwości, że to on. Poznałem po płaszczu. Kupił go dopiero po śmierci Kazika.

- Za pieniądze wyjęte z jego kieszeni i skradzione nam dwóm - mruknął Tadeusz.

- Kiedy już uspokoiłem Rodzińską, musiałem zdecydować, co robić z tamtym zabitym na dole. Nie można go było tak zostawić. Namówiłem więc właścicielkę piwnicy, aby na drugi dzień z samego rana poszła do Komendy Stołecznej MO i opowiedziała bajeczkę” że jakiś mężczyzna ją sterroryzował i kazał zejść na dół do sutereny, aby mu pokazała boks zajmowany przez Kazika. Pouczyłem Rodzińską, jak ma zeznawać. Że ten mężczyzna na widok zabitego uciekł i ją samą zostawił w korytarzu. Miała także twierdzić, że ze strachu nie zauważyła, jak ten mężczyzna wyglądał. W ten sposób mnie nic nie groziło, a ja ją wybawiłem z poważnych kłopotów. Postanowiliśmy z panią Jadwigą, że zobaczymy się za parę dni. Miała do mnie zatelefonować z automatu po upewnieniu się, czy nie jest śledzona. Chciałem wiedzieć, co powiedziała i o co ją pytano.

- Diabli wiedzą, czy bujasz, czy mówisz prawdę - przerwał Majewski. - Kiedy się ciebie słucha, niby wszystko trzyma się kupy i jest logiczne. Ale jak sobie przypomnę śmierć Andrzeja, wydaje mi się, że cała sprawa miała inny przebieg.

- Jaki?

- Po prostu każdy z was postanowił znaleźć forszę i ani myślał się nią dzielić z kolegami. Obaj wpadliście na pomysł z tą piwnicą i przypadkowo w niej się spotkaliście. Andrzej był pierwszy, znalazł walizę, a ty nadszedłeś i wywaliłeś do jego pleców. Potem capnąłeś dzieńgi i teraz łzesz w żywe oczy.

- Jak możesz nawet przypuszczać coś podobnego? Ja miałbym oszukać przyjaciół, z którymi mnie łączą całe lata doli i niedoli? Czy nie wspólnie nadstawialiśmy głowy tam w Łowiczu? I ja miałbym zabić jednego z nas strzałem w plecy?

- Właśnie ten strzał trochę zbija mnie z pantałyku. Na to chyba jesteś zbyt dużym tchórzem. Nie zdobyłbyś: się na tyle odwagi. Bo co do forsy, to nie mam żadnej wątpliwości. Gdybyś ją znalazł sam, nie powąchalibyśmy ani grosika.

- No wiesz, Tadeusz! Jak możesz mnie o to podejrzewać?

- Mówię ci, Zygmunt, zapamiętaj to sobie. Jeżeli mnie oszukałeś i masz te pieniądze, do końca życia nie wydasz z nich ani złotówki. Ja do milicji naturalnie nie pójde, sprawy do sądu nie wniosę, ale jeżeli stwierdzę, że raptem zwykły, skromny urzędnik ministerstwa zamienił się w milionera, w żadne „totolotki” nie uwierzę. Ani



w spadek z Ameryki. Będiesz miał taką samą dziurę w plecach jak Doberski.

Przysięgam ci, że to zrobię! Choćby mnie później mieli huścić na sznurku.

- Ja mogę podobnie rozumować. Doberski zginął, bo

spotkaliście się w piwnicy. Właśnie on i ty. Zabrałeś pieniądze i aby się nimi nie dzielić, teraz mydlisz mi oczy. Nazwałeś mnie tchórzem. Może w twoich oczach jestem nim. Ale nie takim, aby ci wybaczyć przywłaszczenie sobie zdobytych przez nas wspólnie pieniędzy. Tego bym ci nigdy nie puścił płazem. Nie zapominaj, że ja też mam broń i będę umiał z niej zrobić użytek, jeżeli zdobędę pewność, że mnie oszukałeś.

- Dobrze - zgodził się Majewski. - Układ stoi. Ten, kto z nas dwóch jest oszustem, zginie.

- Tak, zginie! Jeżeli nie będę mógł ciebie zastrzelić, własnymi rękoma uduszę jak psa.

- A ja ciebie. Przyjmując jednak, że obaj mówimy prawdę, to kto zabił Doberskiego?

- Żebym ja wiedział! Myślałem, że to ty, i nie zastanawiałem się nad inną ewentualnością.

- Więc pomyśl teraz.

- Może ktoś z milicji?

- Nieprawdopodobne.

- Dlaczego? Śledził Doberskiego. Podejrzewał go o udział w napadzie.

Nakrył w momencie, kiedy Andrzej wyciągał walizę z piwnicy. Tam były cztery miliony. Przy takiej sumie i milicjantowi mogło się zakręcić w głowie.

- Głupi jesteś.

- A ty myślisz, że w milicji sami święci pracują?

- Tam są też tylko ludzie. Ale to wykluczone. Przede wszystkim takiej sprawy nie prowadzi zwykły milicjant. Nie prowadzi jej też i pojedynczy oficer. Pracuje cały zespół. Gdyby Doberskiego podejrzewali i był śledzony, oni od razu wiedzieliby, kto go śledzi, i dobrali się do faceta. Poza tym broń, którą ma milicja, jest przestrzelana. Kula wyjęta z pieców Doberskiego już dawno powędrowała do Zakładu Kryminalistyki. Gdyby wyszła z pistoletu któregośkolwiek milicjanta w Polsce, już by o tym władze wiedziały. Trochę znam się na tym, bo mnie te sprawy interesowały. W wojsku byłem pomocnikiem rusznikarza. Ciekawe rzeczy nam

opowiadał.

- Więc kto?
- Może jest ktoś, kto wie, że Kazik schował walizkę i postanowił nas

uprzedzić w poszukiwaniach?

- Skąd by się o tym dowiedział? Nawet milicja o tym nie wie.
- Przypuszczam, że milicja wie. Na pewno szukaj i nas, i forsy. Poza tym ten

facet może nie wiedzieć całej prawdy, że Kazik schował aż cztery miliony, a szuka jednego. Doli Kazika. Strzelczyk umarł, pieniędzy przy nim ani w jego domu nie znaleziono. Wiemy o tym bo szukaliśmy ich, zanim przyszła tam milicja, ten milion musi być gdzieś dobrze schowany. Do takiego wniosku może dojść każdy. Ktoś postanowił znaleźć ten milion.

- A szukając natknął się na Doberskiego?
- To nie ulega wątpliwości. Jak też i to” że zabił Andrzeja i zabrał walizkę.
- A dlaczego zginęła Rodzińska?
- Może była jego współniczką?
- To wykluczone. Nic nie wiedziała o trupie w piwnicy. Była przerażona

tym odkryciem. Nie mogłaby tak udawać.

Majewski namyślał się.

- Słuchaj, kto to byli ci dwaj?
- Jacy?

No ci, którzy pomagali Kazikowi w przeprowadzce razem z tobą?

- Koledzy z pracy Strzelczyka. Jeden z nich przyjechał ciężarówką.
- Z Omulewskiej?
- Nie. Z FSO na Żeraniu. Pamiętam, że ciężarówka miała napis „Fabryka

Samochodów Osobowych”.

- Znałeś ich?
- Trochę. Pętali się przy Kaziku. Robili z nim jakieś interesy. Parę razy słyszałem, że rozmawiali o częściach samochodowych. Często wspólnie popijali.
- Pamiętasz ich nazwiska?
- Jeden nazywał się Dobrawoda. Bardzo śmiesznie, dlatego zapamiętałem.

Drugi chyba Edmund Kowalski. Kazik zwracał się do niego „Eda”.

- Spotykałeś ich później?

- Ani razu. W ogóle później moje kontakty z Kazikiem rozluźniły się. Zacząłem pracować w ministerstwie, on rzucił Omulewską i przeniósł się na Bielany. Dopiero po kilku latach odnowiliśmy tę przyjaźń. Kiedyś Strzelczyk coś wspominał, że ten Kowalski poszedł siedzieć. Zdaje się, że cztery lata zarobił. Albo i więcej.

- To teraz już byłby na wolności.

- Chyba tak.

- Jesteśmy w domu. Kowalski wiedział o tej piwnicy. Może jej razem z Kazikiem używali przy różnych swoich kombinacjach. Teraz sobie o tym przypomniał i przyszedł zbadać, czy nie ma forsy.

- Tak od razu ze spluwą?

- W więzieniu porobił różne, odpowiednie znajomości. Taki facet nie ma problemu ze zdobyciem kawałka gnata. Wiedział, że nie idzie na spotkanie towarzyskie i że ktoś inny może poszukiwać tych pieniędzy. Doberski miał pecha, że przyszedł do piwnicy pierwszy. Gdyby nie to, na pewno ten drugi by tam leżał. Z taką samą dziurą w plecach.

- No dobrze, ale to wszystko mi nie pasuje do Rodzińskiej.

- Jak się tak dobrze zastanowić, to trzeba dojść do wniosku, że Rodzińska była w jakiś sposób związana z tym facetem. Może z nim przedtem kombinowała, a może on z nią rozmawiał na temat poszukiwania tych pieniędzy?

- Nie rozmawiała i nie wchodziła w żadne układy. Przecież by mi o tym powiedziała. Początkowo zdziwiła ją moja koncepcja, że Kazik schował walizkę w jej piwnicy. Musiałem ją długo przekonywać, zanim zgodziła się na współpracę.

- Jestem przekonany, że dobrze znała tego Kowalskiego czy Dobrowodę. Bez powodu jej nie sprzątnięto. Mniejsza zresztą o nią. Musimy znaleźć tego faceta i wyrwać mu nasze pieniądze.

- Dobrowolnie ich nie odda. A pokazał, że idzie na całego.

- Jeżeli trzeba będzie, my też pójdziemy na całego. Nie mam zamiaru nikomu robić prezentu z dwóch milionów.

- Ani ja - buńczucznie zapewnił Zygmunt Lipień.

- Mam trochę znajomości na Żeraniu - dodał Tadeusz. - Postaram się dowiedzieć co nieco o tych dwóch. Dobrowoda, takie nazwisko powinni pamiętać. A tego drugiego, jeśli zaiwanął kilka lat więzienia, tym bardziej. W ten sposób trafię do tych gości. A dalej zobaczymy, cci i jak się da zrobić.

- Bądź ostrożny. Pamiętaj o losie Doberskiego.

- On się niczego nie spodziewał, dlatego dał się zaskoczyć. My jesteśmy w lepszej sytuacji. Nas nie zaskoczy. Rozchodzimy się. Który z nas dowie się czegoś nowego, powiadomi drugiego. W pojedynkę nie wolno działać. Przekonał się o tym Andrzej.

Wstali z ławki. Jeden poszedł w stronę ulicy Książęcej, drugi zawrócił do mostu. Oddalając się od siebie, każdy z nich zastanawiał się:

- Czy ten drań mnie nabrał, czy mówił prawdę?

Żaden z nich nie był tego pewien.

## ROZDZIAŁ XI

### Granatowa czy brązowa

Major Janusz Kaczanowski, chociaż nie mógł się pochwalić wielkimi rezultatami dochodzenia w sprawie napadu na Spółdzielczy Bank Ludowy w Łowiczu, to jednak nawet ludzie nieżyczliwi (a gdzież ich nie ma?) nie mogli mu zarzucić braku energii. Teraz, kiedy dochodzenie skoncentrowało się koło tragicznych wydarzeń przy ul. Wilczej, milicja - przesłuchiwała setki osób. Zarówno mieszkańców kamienicy, jak i sąsiednich domów oraz bliższych i dalszych znajomych Andrzeja Doberskiego i Jadwigi Rodzińskiej.

Jeżeli chodzi o mężczyznę znalezionego w piwnicy z kulą w plecach, to pozornie nic nie wskazywało, że ofiara miała coś wspólnego z napadem na bank. Solidny główny księgowy, lubiany przez kolegów i szanowany przez dyrekcję spółdzielni, w której pracował. W księgach stwierdzono idealny porządek. Człowiek towarzyski, nieskąpy, ale i nierozrzutny. Żonaty, dwoje dzieci. Żona lekarka. Badając krąg znajomości tego mężczyzny, major nigdy nie natknął się na jego powiązania ze Strzelczykiem. Ani żona, ani przyjaciele Doberskiego nie znali pracownika warsztatu samochodowego i nigdy o nim nie słyszeli, dopóki to nazwisko nie pojawiło się w prasie.

Tylko pistolet był bezspornym ogniwem łączącym „człowieka z piwnicy” z szajką, która obrabowała bank. Pułkownik Adam Niemiroch miał rację. Ekspertyza potwierdziła, że z tej broni padły dwa strzały, których pociski utkwily w suficie banku w Łowiczu. Te negatywne wyniki dochodzenia świadczyły, że banda zorganizowana była według wszelkich zasad konspiracji. Wsypa czy śmierć jednego

z członków przestępczej grupy nie ujawniała pozostałych.

Co do Rodzińskiej, to dochodzenie dało jeszcze skromniejsze wyniki. Kobieta pracowała w centrali Społem jako maszynistka. Jej życie składało się z punktualnego zjawiania się w biurze i ośmiogodzinnego dnia pracy. Potem dom, często kino, czasem teatr lub odwiedziny w domach określonego grona kolegów lub koleżanek ze Społem. Raz na rok dwa tygodnie wczasów. Pozostałe dwa tygodnie urlopu spędzane u rodziców. Czasem na wczasach przygoda kontynuowana lub zrywana po powrocie do Warszawy. Jakaś przypadkowa znajomość zawarta w kinie, w biurze czy na ulicy. Związki te jednak nie trwały dłużej niż kilka tygodni, niekiedy przedłużały się do kilku miesięcy. Rodzińska nigdy nie próbowała tych przelotnych znajomości zamienić na coś trwalszego, już nie mówiąc o powtórnym małżeństwie. Słuchając zwierzeń koleżanek o ich kłopotach małżeńskich zawsze podkreślała, że zmadrzała i nauczona doświadczeniem pierwszego związku, nie wyrzeknie się swojej wolności.

Przelotni, jak to się teraz nazywa „narzeczeni”, reprezentowali najrozmaitsze środowiska. Dyskretne, chociaż skrupulatne badania życiorysów tych mężczyzn nie potwierdziły ich znajomości z byłym mężem Jadwigi ani utrzymywania z nim kontaktów handlowych, polegających na odwiedzinach piwnicy przy Wilczej i składania tam lub wywożenia stamtąd różnych towarów.

Nawet zawsze niecierpliwy pułkownik Niemiroch, przynaglany zresztą przez swoje władze zwierzchnie, nie powiedział Januszowi Kaczanowskiemu ani słowa wyrzutu. Nie popędział i nie przypominał o przyśpieszeniu dochodzenia. Wiedział przecież, że oficer MO dwoi się i troi przy robocie, lecz materiał dowodowy był ciągle zbyt szczupły, aby dochodzenie mogło naprawdę ruszyć z miejsca. Człowiek, który zginął w Lasku Bielańskim, a przedtem zaplanował i w ten sposób wykonał skok na bank, był swojego rodzaju geniuszem. Przewidział wszystko proca tego, że padający przez trzy dni deszcz podmyje wysoki brzeg rzeki. Jak to często w życiu bywa, głupi przypadek pokrzyżował idealnie skonstruowane plany.

Janusz Kaczanowski po raz nie wiadomo który prze biadając sterty rozmaitych dokumentów dochodzenia natknął się na krótką notatkę jednego z wywiadowców. Milicjant rozmawiał z mieszkańcem domu przy ulicy Wilczej, Janem Paprockim, uczniem dziesiątej klasy - pobliskiego liceum. W dniu dziewiętnastego września o godzinie dziewiątej wieczorem chłopak wracał do domu i na tknął się na wychodzącego z kamienicy człowieka z duża walizką. Nie umiał jednak nic powiedzieć na temat tego mężczyzny. Nie pamiętał, jak był ubrany. Wprawdzie

wywiadowca „maglował” młodocianego świadka, ale nic z niego nie wycisnął. Ponieważ to spotkanie mniej więcej zgadzało się z godziną określoną przez biegłego lekarza jako czas zgonu Andrzeja Doberskiego, zeznanie Paprockiego mogłoby mieć pewne znaczenie dla dochodzenia, gdyby nie były pozbawione tak istotnych treści. Chłopca przesłuchano powtórnie, ale również bez większego pożytku dla sprawy. Nie umiał również określić, czy spotkany przez niego mężczyzna wyszedł z podwórza, czy też z frontowej klatki schodowej, skąd prowadziło zejście do sutereny.

Teraz major postanowił sam porozmawiać z uczniem liceum. Od tamtych wydarzeń upłynął przeszło tydzień. Młoda pamięć ma tę zaletę, że czasem rekonstruuje zatarte przedtem szczegóły. Żeby nie wzbudzać zbytej sensacji zarówno w szkole, jak w domu, wywiadowca zaczął chłopca na ulicy, wytłumaczył, o co chodzi, i zaprosił do Komendy Stołecznej MO, do pokoju Kaczanowskiego. Samochód bez znaków milicyjnych czekał za skrzyżowaniem.

- Ja naprawdę niewiele wiem - mówił Janek. - Stałem przed domem i żegnałem się z Jolą, kiedy” z bramy wyszedł mężczyzna z walizką. Minął nas, a ja wszedłem do domu.

- Jola to koleżanka? - domyślił się oficer milicji.

- Tak, z tej samej klasy.

- Byliście w kinie czy na spacerze?

- Nie, u Ewy Wideckiej. Też z naszej klasy, wspólnie przygotowaliśmy się do klasówki, z trygonometrii.

- Dobrze poszło?

- Dla mnie matematyka to mięta. Jestem jeden z lepszych w klasie. To ja je podciągałem. One za to pomagają mi w polskim i w historii.

- Bardzo pożyteczna taka wzajemna pomoc - pochwalił Kaczanowski. - Kiedy studiowałem socjologię na Uniwersytecie Warszawskim, to także założyliśmy koleżeńską samopomoc. Zdarzało się, że notatki z wykładów prowadziliśmy na zmianę. A dlaczego pan - major postanowił traktować chłopca jak dorosłego - nie odprowadził koleżanki do domu, przecież była już dość późna pora. Po dziewiątej wieczorem.

- Nie - sprostował Paprocki. - Jeszcze nie było dziewiątej. To wiem na pewno. Kiedy wróciłem do domu, usłyszałem w radio sygnał czasu. A Joli nie odprowadziłem, bo mieszka w sąsiedniej kamienicy. Ewa również przy Wilczej, lecz

parę domów dalej.

- W tym domu o trzech piętrach?
- Nie, w następnym. Ale to i tak nie więcej niż czterdzieści metrów. Mój

dom był bliżej, dlatego staliśmy chwilę przed bramą i żegnaliśmy się. Właśnie wtedy wy szedł ten pan niosący walizkę.

- W którą stronę skręcił? W tę, z której przyszliście?

- Nie. W przeciwną.

• To znaczy, że panna Jola idąc do swojej kamienicy musiała iść w tym samym kierunku. Albo przed tym człowiekiem, albo za nim.

• Chyba za nim - zgodził się chłopiec. - Tak, nawet na pewno za nim, bo przypominam sobie, że usunęliśmy się mu z przejścia.

- Rozmawialiście z panną Jolą później o człowieku z walizką?

- Nie.

• Nie powracaliście do tego tematu po przesłuchaniu pana przez wywiadowcę? - zdziwił się Kaczanowski.

• Nie rozmawiałem. Nie uważałem za potrzebne. Dziewczyny zaraz by narobiły plotek na całą szkołę. I tak było dużo gadania na temat tych zabitych w naszym domu. Już profesorowie wypytywali mnie, jak to było.

- Chciałbym porozmawiać z panną Jolą. Jak jej nazwisko?

- Jolanta Chramiec.

- Chciałbym ją tutaj zaprosić na jutro.

- Dobrze, powiem jej, żeby przyszła do pana majora.

- Albo... Lepiej nie - oficer milicji zmienił zamiar. - Chodźcie do tej nowej szkoły przy Sadowej?

- Tak.

- O której kończycie lekcje? - Jutro o pierwszej.

- Dobrze. Jutro o pierwszej będę na was czekał na rogu Sadowej i

Marszałkowskiej. Wstąpimy do kawiarni na coca-colę i pogadamy. Bardzo proszę, żeby pan wyszedł ze szkoły razem z panną Jolą. Ale proszę jej nie uprzedzać o naszej randce i nie zdradzać treści dzisiejszej rozmowy. Nie chciałbym, aby czymkolwiek się sugerowała.

- Rozumiem. Naturalnie będę milczał - zapewnił Janek Paprocki.

Ten sam samochód odwiózł chłopca do domu.

Nazajutrz już dziesięć minut przed umówionym terminem Janusz Kaczanowski spacerował po ulicy Sadowej. Dobrze, że przyszedł trochę wcześniej, bo młodzież właśnie wychodziła ze szkoły. Niebawem oficer milicji spostrzegł Paprockiego, idącego w towarzystwie wysokiej, przystojnej dziewczyny.

- Dzień dobry, panie Janku - Kaczanowski podszedł do idącej pary.

Zatrzymali się. Paprocki przywitał się z oficerem MO.

- Pani pozwoli, że się przedstawię - oficer ukłonił się dziewczynie. - Major Kaczanowski z Komendy Stołecznej MO.

Nieco zdziwiona dziewczyna podała mu rękę.

- Chciałbym porozmawiać z panią, a także i z panem Paprockim. Czy macie pół godziny czasu? Może byśmy wstąpili do kawiarni?

Paprocki nie czekając na zgodę koleżanki odpowiedział:

- Doskonale. Tu na rogu Marszałkowskiej.

Widać było, że dziewczynę intryguje to spotkanie. Nie umiała ukryć zainteresowania. Kiedy zajęli miejsce przy stoliku, od razu zapytała:

- Pan chciał ze mną rozmawiać? O czym?

- Zastrzegam - roześmiał się oficer - że to nie żadne oficjalne przesłuchanie.

Po prostu chciałem, **aby** pani sobie przypomniała pewne drobne zdarzenie.

Dziewiętnastego września, to był wtorek, uczyliście się aż do wieczora matematyki u pewnej koleżanki.

- U Ewy Wideckiej - podpowiedział Paprocki.

- Potem - ciągnął major - wyszliście razem z panem Jankiem na ulicę.

Wracaliście do domów. Przed bramą, gdzie mieszka pan Paprocki, zatrzymaliście się na chwilę. Było parę minut przed dziewiątą wieczorem. Przypomina to pani sobie?

- Tak. Pamiętam. Na drugi dzień mieliśmy klasówkę.

- Właśnie do tej klasówki przygotowawaliście się. Ale mnie nie chodzi o matematykę, lecz o ten moment, kiedy staliście przed bramą domu Janka. Co się wtedy stało, pamięta pani?

Dziewczyna zastanawiała się chwilę.

- Nic. Pożegnaliśmy się. Janek wszedł do bramy. Ja poszłam do siebie.

- Spróbuję pani podpowiedzieć - major chciał pomóc pamięci dziewczyny. -

Czy wtedy nikt nie wyszedł z kamienicy?

Jola uśmiechnęła się.



- Wiem! Wtedy wyszedł z tego domu jakiś pan z bardzo ciężką walizką.

Ledwie ją dźwigał. Usunęłam mu się z drogi.

- Jak ten człowiek wyglądał?

• To był starszy pan. Co najmniej w wieku mojego tatusia. Ojciec ma pięćdziesiąt lat - dodała dziewczyna. - Ten pan nosił ciemne okulary. Widocznie choruje na oczy. Miał granatowy, elegancki płaszcz. Z podniesionym kołnierzem. Na głowie ciemny kapelusz z opuszczonym rondem. Ale zauważyłam, że ma baki trochę szpakowate.

- Pani jest bardzo spostrzegawcza - Kaczanowski pochwalił dziewczynę. -

Co jeszcze pani zauważyła?

• Waliza była dość stara i zniszczona. Kontrastowała z eleganckim ubiorem tego pana. Była przewiązana sznurkiem, żeby się nie rozleciała. Musiała być bardzo ciężka. Szłam do domu akurat za tym panem i zauważyłam, że dwa razy przekładał ją z ręki do ręki. Walizka była granatowego koloru. Z jaśniejszymi wzmocnieniami na rogach. Chyba żółtocielistymi?

• Znakomicie! Panno Jolu, pani jest skarbem. Z taką spostrzegawczością, gdyby pani po maturze chciała pracować w milicji, na pewno zrobiłaby pani karierę.

• Zostałabym majorem? - dziewczyna zaczerwieniła się, zadowolona z pochwały.«

• Co najmniej pułkownikiem, i to bardzo szybko. Musiałbym przed panią stawać na bacność - roześmiał się Kaczanowski. - I czyżby pani zdołała jeszcze coś zauważyć?

- A tak! Naprzeciwno jechała wolna taksówka. Ten pan postawił walizkę na chodniku i wybiegł na jezdnię, **aby** zatrzymać auto. Wsiadł do samochodu i odjechał.

- Jak wyglądała taksówka?

• To była zwykła, jasna warszawa. Nie miała na drzwiczkach wymalowanej syrenki. Kierowcą był **chyba** starszy człowiek.

- Na pewno walizka była granatowego koloru?

• Na pewno. Pamiętam doskonale, że była ona tej samej barwy, ale nieco jaśniejszej, co płaszcz tego pana. Takie granatowe płaszcze sprzedają teraz w Galluxie. Nawet tutaj na MDM.

- Pan, panie Janku, jako długoletni mieszkaniec domu, zna choćby z widzenia wszystkich lokatorów. Czy ten człowiek z walizką nie był jednym z nich?

- Nie pamiętam jego wyglądu, ja nie jestem taki spostrzegawczy jak Jola, ale to na pewno nie był nikt z naszej kamienicy. Stały mieszkaniec domu nie wpadły mi w oczy. Tego zapamiętałem, że miał ciężką walizę i był tutaj obcy.

- A przedtem czy też później nie widzieliście go?

Oboje zaprzeczyli.

- Pan z walizką to morderca? - zapytała dziewczyna. - Pan major prowadzi śledztwo w tej sprawie?

- Prowadzę. Trudno mi coś powiedzieć o tym człowieku. Równie dobrze mógł to być przypadkowy przechodzień, jak i zbrodniarz. Ponieważ wyście go widzieli, a nikt w całej kamienicy nie przyznaje się do noszenia w tym dniu ciężkiego pakunku, dlatego chciałem to zbadać za waszym pośrednictwem.

- Jeżeli go jeszcze raz zobaczę, postaram się wysledzić, gdzie ten mężczyzna mieszka, i dam znać panu majorowi.

- Jeżeli naprawdę jest mordercą dwojga osób, więcej się tu nie pokaże - stwierdził major. - Dziękuję za ewentualną pomoc, ale raczej proszę dać mi znać, natomiast nie deptać po piętach temu człowiekowi. To mogłoby być niebezpieczne. Proszę jednak dokładnie mu się przyjrzeć.

- Zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni - poważnie powiedziała Jola. Oficer milicji uśmiechnął się.

- To by nam bardzo ułatwiało nasze zadania, niestety, to porzekadło niewiele ma wspólnego z prawdą. A szkoda.

Kaczanowski przywołał kelnerkę, uregulował rachunek i pożegnał się ze swoimi młodymi przyjaciółmi. Po powrocie do Pałacu Mostowskich zdał relację z ostatnich „sukcesów” pułkownikowi Niemirochowi.

- Trzeba szukać taksówki, jasnej warszawy - za decydował zwierzchnik. - Musimy ten trop zbadać do końca.

- Albo do momentu, kiedy się nie urwie - od czasu prowadzenia sprawy napadu na bank w Łowiczu majorowi trudno było zdobyć się na optymizm.

- Zredaguj komunikat do prasy. Jasnych warszaw taksówek jest w stolicy ponad półtora tysiąca. Przesłuchiwanie kolejno każdego kierowcy zajęłoby nam wiele godzin i zaabsorbowało masę ludzi. Może ogłoszenie da rezultat?

Nazajutrz we wszystkich warszawskich gazetach, w radio i w telewizji ukazał się następujący komunikat:

Kierowca taksówki warszawskiej, jasnej warszawy, który w dniu 19 września około godziny dziewiętej wieczorem na ulicy Wilczej między Marszałkowską a Kruczą wziął do samochodu pasażera z dużą, ciężką walizką granatowego koloru, proszony jest o skomunikowanie się z Komendą Stołeczną MO, pokój 117, lub o zawiadomienie o tym najbliższego posterunku MO.

Ogłoszenie powtarzano dwa dni. Ale już drugiego dnia rano zgłosił się do majora Kaczanowskiego pan Sławomir Leśniewski.

- To ja wiozłem tego gościa - oświadczył oficerowi milicji. - Wszystko się zgadza. Walizka była taka ciężka, że ledwie ją włądował do taksówki. Nie podał adresu, jak to zwykle robią pasażerowie, a jedynie kazał się wieźć Marszałkowską. Później polecił mi skręcić w Aleje Jerozolimskie, w stronę Wisły. Przejechaliśmy Most Poniatowskiego. Kiedy dojeżdżałem do ronda, kazał się zatrzymać. Powiadam, że tu jest zakaz i mogę stanąć dopiero na Francuskiej. Tam też wysiadł, dał piętnaście złotych, nie chciał reszty. Od razu trafił mi się kurs z powrotem na Dworzec Główny. Kiedy odjeżdżałem, gość stał na chodniku, jak gdyby się namyślał, co robić dalej. Potem, kiedy objeżdżałem rondo, zauważyłem, że szedł do przystanku tramwajowego.

- W którą stronę?
- Do tego w kierunku Warszawy.
- Jak wyglądał?

- Dość wysoki. W ciemnym płaszczu. Miał okulary. Też ciemne. Siedział z tyłu koło swojej walizki. Mało go widziałem. Przez tę ciężką, granatową walizę tak go dobrze zapamiętałem. Mam w domu taką samą.

Zeznania taksówkarza upewniły milicję, że człowiek z walizką, nawet jeśli nie był mordercą Andrzeja Doberskiego, zachowywał się dziwnie podejrzanie. Któż bowiem każe się wieźć na Saską Kępe, aby potem wrócić tramwajem do lewobrzeżnej Warszawy? Po prostu mężczyzna chciał zatrzeć swoje ślady i to mu się udało. Gdzie go teraz szukać?

Kiedy tak Janusz Kaczanowski smakował gorycz nowej porażki, wszedł do pokoju dyżurny podoficer i położył majorowi na biurku pilny telefonogram. Dzwonił Łowicz:

Komenda Powiatowa MO wyjaśnia, że zrabowana ze Spółdzielczego Banku Ludowego wraz z pieniędzmi waliza była koloru brązowego. Ponownie sprawdziliśmy. Stop. Przesyłamy zeznania pracowników banku ustalających te fakty.

Stop. Podpisano: Mikołaj Stolarczyk, porucznik.

Niepowodzenia, jak to raz jeszcze potwierdziła praktyka, zawsze chodzą w parze.

## ROZDZIAŁ XII

### Nowe tropy?

Pies milicyjny, taki doświadczony wilczur, który już niejednego przestępcę posłał za kraty, biegnie za śladem głośno szczekając i wywijając wesoło ogonem. Gdy nagle ślad się urywa, wilczur staje, a ogon mii nieruchomieje. Pies podnosi wysoko łeb i stara się złapać „górnny wiatr”. Kiedy i to nie daje efektu, mądry tropiciel znowu z nosem przy ziemi zatacza coraz większe kółka, aby gdzieś dalej odnaleźć zgubiony ślad. Skoro nie może na niego trafić, wilczur wraca na pierwotne miejsce i ponownie zatacza koła, teraz w przeciwnym kierunku Wreszcie odnajduje! Wydaje radosny szczek i puszcza się pędem za tropem. Ogon znowu zaczyna się poruszać wahadłowo.

Czasem psisko, niestety, nie odnajdzie zagubionego śladu. Wtedy uznaj? się za pokonanego, siada na tylnych łapach, spuszcza łeb i łypiąc ślepiami na swojego prze wodnika zdaje mu się tłumaczyć:

- To nie moja wina, zrobiłem wszystko, co mogłem.

Oficer dochodzeniowy nie może uznać swojej porażki. Musi stałe szukać zagubionego śladu. Kiedy jednak nic dochodzenia zrywa się, trzeba zaraz motać następną. Któraś z nich okaże się w końcu właściwa i doprowadzi do przestępcy.

Tak też postąpił major Janusz Kaczanowski. Ślad zbrodniarza z ulicy Wilczej urwał się gdzieś na rondzie, na Saskiej Kępie. Trzeba go szukać od nowa. A jeśli nie jego, to innego z bandytów uczestniczących w akcji na bank w Łowiczu.

Oficer milicji jeszcze raz uważnie przesłuchał taśmę magnetofonową z nagranyymi zeznaniami Jadwigi Rodzińskiej. Zatrzymał się na fragmencie, w którym była żona Kazimierza Strzelczyka opowiadała, jak herszt bandy po wypiciu paru koniaków pochwalił się, że wiedział o piwnicy, bo pomagał swego czasu jej mężowi przenosić tam meble.

Także i brat Kazimierza, dyrektor Wojciech Strzelczyk, wspominał, że do piwnicy w jego jednorodzinym domku przywieziono ciężarówką paki pochodzące z przeprowadzki z ulicy Wilczej.

Przecież tej przeprowadzki nie dokonali tylko dwaj ludzie: sam Strzelczyk i jego przyjaciel podający się chętnie za przywódcę bandy. Kto jeszcze pomagał? Może wśród nich byli pozostali uczestnicy skoku w Łowiczu albo „człowiek z walizką”, morderca Doberskiego i Rodzińskiej? Trzeba odszukać tych ludzi.

W tym czasie, kiedy w sądzie toczyła się sprawa rozwodowa Kazimierza Strzelczyka, on pracował w stacji obsługi samochodów przy ulicy Omulewskiej na Grochowie. Tam więc major Kaczanowski wysłał swoich ludzi dla zasięgnięcia języka i odszukania pracowników pamiętających byłego kolegę, który tak podle skończył.

Sam major również udał się na Omulewską. Jego ludzie rozmawiali z mechanikami, a oficer milicji odwiedził kierownika wydziału personalnego.

- Drogi majorze - tłumaczył kierownik - u nas, niestety, istnieje bardzo duża fluktuacja załogi. Starzy

majstrowie są rzeczywiście przywiązani do zakładu. Natomiast młodzież przychodzi do nas raczej na naukę. Posiedzi tu dwa, trzy lata, pozna dobrze fach i zachęcona większym zarobkiem ucieka do prywaciarza, chociaż u nas ma i opiekę socjalną, i lepsze warunki bhp. A tam musi tyrać od rana do wieczora, piątek czy świątek, mróz czy deszcz. Ja nie przypominam sobie tego Strzelczyka. Jedynie z gazet wiem, co to był za numer.

- A ja go pamiętam - wtrącił się do rozmowy urzędnik, starszy mężczyzna, pracujący przy sąsiednim biurku. - Sam mu wypisywałem opinię, kiedy od nas odchodził.

- Co pan może o nim powiedzieć, panie...?
- Władysław Barecki - przedstawił się zapytany. - Jestem teraz

zaopatrzeniowcem. Wtedy byłem w dziale kadr. Strzelczyk przyszedł do nas z FSO. Z nieszczególną opinią. Już pracując u nas, parę razy był wzywany do prokuratora. Ale jakoś się wykręcił. Fachowiec raczej dobry. Skarg na niego nie mieliśmy. Ale ciągnęło go do pieniędzy. Słyszałem, że handlował różnymi akcesoriami samochodowymi. Zwłaszcza dla wozów zagranicznej produkcji.

- Kradzionymi?
- Czy ja wiem? Mamy tu starego strażnika, Edmunda Cieleckiego. Temu

Strzelczyk specjalnie wpadł w oko. Cielecki robił, co tylko mógł, - żeby chłopaka na czymś złapać. Po prostu ze skóry wychodził. Ci dwaj ludzie znienawidzili się od pierwszego wejrzenia, chociaż Bogiem a prawdą nie mieli powodu.

- Bywają takie nieuzasadnione antypatie.
- Cielecki zastawiał różne pułapki na Strzelczyka. Rewidował go prawie

przy każdym wyjściu, ale ani razu go na niczym nie nakrył. Cały zakład przyglądał się tej zabawie. Stawały grube zakłady.

- Strzelczyk był lubiany u was? Miał tu przyjaciół?
- Tak daleko moja wiedza nie sięga. Ale chyba nie miał. Lubił zarobić, i to raczej poza pensją. A to zazwyczaj odbija się na innych. Miano mu to za złe. Jak się orientuję, trzymał się dawnej paczki z FSO.

- Jest utartym zwyczajem - powiedział major - że kiedy pracownik jakiejś instytucji przeprowadza się, korzysta z pomocy kolegów i z samochodu ciężarowego swojej instytucji. Wiemy, że właśnie w okresie pracy na Omulewskiej Strzelczyk rozwiódł się z żoną i zmienił mieszkanie. Czy dawaliście mu ciężarówkę?

- Zawsze idziemy na rękę naszym ludziom - potaknął kierownik działu kadr. - Pracownik składa podanie do dyrekcji i po uzyskaniu zgody dostaje samochód z kierowcą. Jeżeli prosił o wóz, to w aktach Strzelczyka powinno być tego rodzaju pismo.

Akta odnaleziono, ale podania w nich nie było. Widocznie Kazimierz skorzystał z jakiejś innej okazji.

- Czy strażnik, który tak wojował ze Strzelczykiem, pracuje jeszcze u was?
- Pracuje. Prywaciarze kaperują tylko mechaników. Edmund Cielecki doczeka na pewno u nas emerytury. Pan major chciałby z nim porozmawiać, prawda? Zaraz sprawdzę, czy dzisiaj dyżuruje.

Miał dyżur i zjawił się w pokoju kadrowego. Ten zaś podał Cieleckiemu powód wezwania. Oto oficer milicji chciałby z nim porozmawiać.

- Na pewno panu majorowi chodzi o tego bandytę Strzelczyka? Od razu się na nim poznałem. Wszyscy się ze mnie śmiali. Kiedyś sam dyrektor mówił: „Cielecki, dlaczego wy tak prześladujecie porządnego człowieka?” Diabła tam porządny. Ja łotra przez skórę wyczułem.

- Nie złapaliście go jednak - wtrącił Władysław Barecki - na niczym.

- Ano nie złapałem - przyznał strażnik. - Ale tak mu życie obrzydziłem, że odszedł od nas. Dobre i to. Teraz byśmy za tego bandytę oczyma świecili. Wstyd byłby dla całego zakładu. Ale muszę przyznać, cwaniak był wielki. Kiedy odchodził stąd, wyśmiewał się ze mnie. Pamiętam, powiedział: „Żebyś chciał, to bym wam,

Cielecki, ten wasz karabin zabrał i razem z wami z fabryki wyniósł. Ale na co mi takie stare graty. Zabierałem stąd cenniejsze rzeczy na waszych oczach. Stary dureń z was, Cielecki”. Tak powiedział. Ale to nieprawda. Nic przy mnie nie ukradł. A ci dwaj z piekła rodem jego pomocnicy nie mogli mu pomóc.

- Jacy pomocnicy, panie Cielecki?

- Dwóch skończonych łobuzów, lecz dużo głupszych od niego. Niby pracowali w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, ale prawie nie było dnia, żeby któryś z nich nie kręcił się od rana przed naszym zakładem. Kombinowali razem ze Strzelczykiem. On nimi dyrygował.

- Co tam oni mogli kombinować - roześmiał się personalny. - Przecież do - zakładu wstępu nie mieli.

- Panie dyrektorze, wtenczas było inaczej niż dzisiaj i nasz zakład także inaczej wyglądał. Tych maszyn nie było. O części także było trudniej. Cewka do warszawy czy świeca była wielkim rarytasem. Spod lady je sprzedawano. Strzelczyk, kiedy komu wóz remontował i wyczuł frajera, zawsze mu szepnął: „Wyjedź pan na ulicę i zatrzymaj na chwilę. Podesłę panu dobrego fachowca, który zrobi to wszystko, czego tu się nie udało. Wstawi też oryginalne części. Prosto z Moskwy. Nie było tygodnia, żeby paru facetów nie przerobili na grubszy grosz.

- Części musieli jednak mieć.

• Mieli. To prawda. Ale za jaką cenę? Trzy lub cztery razy drożej niż w cenniku. Potem, jak się z zaopatrzeniem poprawiło, te interesy zaczęły się kończyć. Kraść tutaj mu nie pozwoliłem, więc zwinął - chorągiewkę. Wcale się nie zdziwiłem, kiedy wyczytałem jego nazwisko w gazecie. Taki pies - dodał z zawziętością Cielecki - musiał tak skończyć. Dobrze mu tak.

- A tych dwóch jego pomocników pamiętacie? Jak ich nazwiska?

• Jednemu było Kozłowski albo Kowalski. Na niego także marny koniec przyszedł. Prokurator wziął go jak swojego. Bodaj sześć lat mu przypalantowali. Z przyjemnością o tym wyczytałem w „czerwoniaku”. Ten drugi nie był lepszy, ale go dotychczas nie złapali. Nazywał się śmiesznie: Ciepławoda. Albo jakoś podobnie. Ale na pewno na końcu była „woda”. Każdy na niego inaczej wołał.

- Spotykał pan później tych ludzi i Strzelczyka?

- Nie - stary strażnik wzdrygnął się, jak diabeł na widok wody święconej.

Major powrócił do Pałacu Mostowskich zadowolony z wyników własnych i

swoich ludzi. Wywiadowcy uzyskali potwierdzenie tego, co opowiadał Edmund Cielecki, chociaż ich rozmówcy nie wspominali kolegi z tak zapiekłą nienawiścią, jak stary strażnik. Rzeczywiście, Strzelczyk, wykorzystując panujące wówczas braki w zaopatrzeniu, urządził sobie pod bokiem państwowego zakładu przy Omulewskiej prywatny, bogato zaopatrzony w części zamienne interes. Kiedy w zakładzie często rozkładano ręce lub dawano termin dwutygodniowy, przed warsztatem dostarczano brakujący detal albo od razu, albo za godzinę, najdalej na drugi dzień, i to wprost do mieszkania właściciela wozu. Za to drożej, i to znacznie drożej. Ale ten, komu groziło dłuższe unieruchomienie samochodu, nie targował się i płacił. Inni na pewno kombinowali w podobny sposób, lecz nie byli tak sprytni jak Strzelczyk, który cały interes umiał zorganizować i rozkręcić na dość dużą skalę.

To trwało kilka lat. Skąd pochodziły części, którymi handlował? Różnie o tym mówiono na Omulewskiej, ale na ogół wszyscy byli zgodni co do tego, że nie z tego warsztatu. Dobry złodziej nie kradnie w swojej parafii - mówi przysłowie i jest w tym nieco prawdy. Strzelcykowi nie brakowało przezorności.

Natomiast pełną prawdą było to, że późniejszy przywódca napadu na bank w okresie pracy na Omulewskiej nie przyjaźnił się z kolegami, nie był przez nich lubiany. Więcej w tym jednak było zazdrości niż innych powodów. Ludzie nie lubią sprytniejszych od siebie. Toteż Strzelczyka pożegnano bez żalu i szybko o nim zapomniano. Dopiero sensacyjne wiadomości z prasy wydobyły tę sylwetkę z niepamięci. O jego towarzyszach nikt poza Cieleckim nie umiał niczego powiedzieć.

W każdym razie dochodzenie znowu ruszyło z martwego punktu. Czy tym razem we właściwym kierunku, ani major, ani jego szef, pułkownik Niemirowicz, nie mogli mieć pewności. Jednakże postanowili iść dalej tym śladem.

- Musicie, majorze, koniecznie odszukać tego Kozłowskiego i Zimnąwodę - polecił pułkownik - i to jak najprędzej. Przynajmniej jeden z nich pomagał Strzelcykowi w przeprowadzce. Może przynajmniej trafimy do tego uczestnika napadu, który był u Rodzińskiej.

- Ciepła woda, a nie zimna - poprawił Kaczanowski.
- Wszystko jedno, Januszk, dla mnie może być i ciepła, byle ją odnaleźć.
- Jutro jadę do FSO. Takie nieczęste nazwisko powinni tam pamiętać.

Tym razem szczęście szło za oficerem milicji jak wierny pies. Wprawdzie w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu pracuje przeszło piętnaście tysięcy osób, lecz kiedy Kaczanowski zapytał się w dziale kadr o pracownika noszącego



nazwisko „Cieplawoda”, urzędniczka roześmiała się i poprawiła:

: - Może panu majorowi chodzi o Antoniego Dobrowoda, bo cieplej to na razie nie mamy. Zresztą tej dobrej wody także już nie mamy, bo Antoni Dobrowoda nie pracuje w naszej fabryce od trzech lat. Ale takich nazwisk się nie zapomina. Mamy tak dla hecy zebrany zestaw rozmaitych imion i nazwisk naszych ludzi. Dobrowoda znajduje się na czele tej listy. Dzięki temu był znany w całym FSO. Zawsze przekręcano jego nazwisko, najczęściej nazywano go „Zimnąwódką”. Nie gniewał się zresztą o to. Któryś z kolegów zaproponował mu, aby zmienił nazwisko. Nie zgodził się. Z dumą wyjaśnił, że jest to staropolskie, szlacheckie nazwisko, lepsze od niejednego innego. Podobno gdzieś na Mazowszu jest cała wieś, której wszyscy mieszkańcy tak się nazywają.

- To możliwe - zgodził się major. - Jakiś dawny zaścianek szlachecki. Sam się zetknąłem z taką szlachtą zagrodową noszącą podobnie oryginalne nazwisko „Stary Brat”. Pisali się oddzielnie. Miałem kolegę szkolnego, właśnie tak się nazywał. Ale potem, zdaje się, zmienił nazwisko na „Starzyński”.

- To pierwsze było ładniejsze - zauważyła urzędniczka.
- Czy Antoni Dobrowoda odszedł od was ze względu na jakieś nadużycia? Z częściami fiata?

- O ile wiem, to nie. Musiałabym sprawdzić w jego aktach. Jeżeli dobrze pamiętam, to z imięgo powodu. On wybudował sobie domek na dalekim Służewcu. Za wyścigami. Musiał jeździć do FSO półtorej godziny w jedną stronę. Tracił dużo więcej czasu, niż gdyby mieszkał w Otwocku lub w Wołominie. Dlatego poszukał sobie zajęcia bliżej domu. Możemy odszukać w archiwum akta personalne Antoniego Dobrowoda i przesłać je panu majorowi. Naturalnie do zwrotu. Dzisiaj nie zdążymy, ale w ciągu najbliższych dni znajdziemy jego teczkę.

- Dziękuję pani, jeśli będę ich potrzebował, to zwrócę się do was w tej sprawie. Ale przypuszczam, że to, czego się dowiedziałem, na razie mi wystarczy.

Janusz Kaczanowski miał rację. Wystarczył jeden telefon do Biura Adresowego i adres poszukiwanego leżał na biurku oficera milicji. Rzeczywiście, to był daleki Służewiec. Posłany tam natychmiast wywiadowca ustalił, że we wskazanym miejscu znajduje się niewielka posiadłość. Ogródek owocowy z paroma oknami inspektów oraz domek wzniesiony najprawdopodobniej własnym przemysłem. Najpierw postawiono pokój z kuchnią. Później dobudowano do tego jeszcze dwa pomieszczenia i budynek gospodarczy. Antoni Dobrowoda mieszkał

tam z żoną i trojgiem, dzieci. Najstarsza córka niedawno wyszła za mąż, sprowadzając swojego wybrańca do, domu rodziców. Dwoje młodszych chodziło do szkoły. Antoni pracował jako mechanik samochodowy w jednym z zakładów przemysłowych na Służewcu. Żona zajmowała się gospodarstwem domowym i ogrodnictwem, przynosząc rodzinie pewne niewielkie dochody. Zięć był kierowcą samochodowym w tej samej fabryce co teść. Córka skończyła technikum handlowe i awansowała na zastępczynię kierownika w pobliskim MHD.

Miejscowy dzielnicowy uważał tę rodzinę za jedną ze spokojniejszych w jego obwodzie. Mężowie nie bili żon, młodsze dzieci nie tłukły kamieniami latarń ani nie popełniały innych chuligańskich wybryków. Jeśli się dopilnowało, to nawet i śnieg w zimie odmiatano z chodnika. Że tam czasem starszy trochę za dużo wypił lub młodszy po paru kielonkach był zbyt głośny, rzecz normalna. Dzielnicowy życzyłby sobie mieć tylko z takimi ludźmi do czynienia.

Major postanowił tym razem działać przez zaskoczenie. Teren był trudny do penetracji, a o wygodną kryjówkę dla walizki z czterema milionami złotych bardzo łatwo. Liczna ekipa milicyjna, zaopatrzona w odpowiednie aparaty, zjawiała się wczesnym rankiem w małym domku, kiedy wszyscy byli obecni. Prokurator miał wprawdzie pewne zastrzeżenia, ale w końcu udzielił zgody na dokonanie rewizji.

Trwała ona bez mała sześć godzin. Zastosowano bardzo czułe przyrządy wykrywające najdrobniejsze metalowe przedmioty do głębokości kilku metrów w ziemi. Przetrzęsnięto mały domek wzdłuż i wszerz. Nic dziwnego, że kobiety widząc, jaki milicja zrobiła nieporządek, nie mogły się powstrzymać od pomstowania. Stary Dobrawoda powtarzał:

- Za co, panie kapitanie, za co?

- Nie udawajcie, że nie wiecie - odpowiadał kierujący rewizją kapitan Więcek.

Wreszcie milicjanci, najlepsi specjaliści do tego rodzaju roboty, jakimi rozporządzała Stołeczna Komenda, ocierając pot z czoła uznali się za zwyciężonych. Nie znaleziono absolutnie nic.

- Ubierajcie się, Antoni Dobrawoda - polecił kapitan Więcek. - Pojedziecie z nami.

Maria Dobrawoda słysząc to wybuchnęła głośnym płaczem. Dzieci zaczęły jej wtórować.

- Za co mnie aresztujecie?
- Ależ ludzie, czy wyście zgłupieli? Nikt was nie aresztuje. Zabieram was,

panie Antoni, do Pałacu Mostowskich na przesłuchanie. Odwieziemy was z powrotem.

- Wolę już sam wrócić - mechanik samochodowy zaczął wciągać jesionkę.

Żona gorączkowo szykowała mu jakieś jedzenie, córka wyciągała z szafy ręcznik i ciepłą zmianę bielizny.

- Dajcie spokój, co wy robicie? - oficer milicji usiłował uspokoić obie kobiety.

- Pan Antoni za dwie godziny będzie w domu.

- Aha - mruknęła pani Maria. - Już ja was znam.

To mówiąc obrzuciła funkcjonariuszy milicji spojrzeniem, w którym nie było ani krzty tego podziwu i miłości, jaką każdy obywatel PRL powinien darzyć stróżę ładu powszechnego.

- Bierz, stary, wszystko, co ci naszykowaliśmy.

W końcu Antoni Dobrawoda z ogromną paką w ręku zajął miejsce w milicyjnej warszawie. Wóz ruszył w kierunku Pałacu Mostowskich, gdzie na mechanika czekał major Kaczanowski.

Pierwszy rzut oka upewnił oficera milicji, że Antoni

Dobrawoda nie jest tym, jak go określała przystojna uczennica Jola Chramiec, „panem z walizką”. Tamten według opisu dziewczyny był dość wysokim, eleganckim mężczyzną ze szpakowatymi bakami, ubranym w granatowy płaszcz. Natomiast właściciel domku na Służewcu był niski, gruby, i pomimo ciężkiego fachu z dość wydatnym brzuszkiem. A poza tym był łysy jak kolano i gładko wygolony. Zasadnicze różnice. Sprytna i obdarzona dużym zmysłem obserwacyjnym panna Jolanta nie mogła się aż tak mylić. Major zrezygnował z ewentualnej planowanej konfrontacji.

• Proszę, panie Antoni, niech pan siada - Kaczanowski wskazał krzesło, podsunął papierosy. - Chciałbym z panem porozmawiać. Może kawy?

• Za co, panie majorze?

• Nie rozumiem?

• Za co mnie aresztujecie? - Dobrawoda położył koło siebie trzymaną w ręku paczkę i zajął wskazane mu miejsce. Po papierosa jednak nie sięgnął.

-- Ależ, panie Antoni, kto mówi o aresztowaniu? Zaprosiłem pana tutaj na małą rozmowę. Chcemy, żeby pan nam dopomógł.

• Ładne zaproszenie - oburzył się mechanik. - Wpadacie rano do domu,

chyba w dziesięciu chłopa, przewracacie wszystko, do góry nogami. Jak tatarska horda.

- Bardzo pana za to przepraszam. Kiedy pan się zorientuje, z jakiego powodu doszło do naszego spotkania, - mam nadzieję, że wybaczy nam pan tę rewizję. Była ona przykrą, ale niezbędną koniecznością.

- Nic nie znaleźliście - warknął Antoni.
- Proszę mi wierzyć, że bardzo mnie to cieszy.
- Ech, pan major tylko tak mówi.
- Nie będę się z panem bawił w ciuciubabkę ani niczego nie owijał w bawełnę. Ta rewizja ma związek z pańskim znajomym, Kazimierzem Strzelczykiem. Brał on udział w napadzie w Łowiczu, gdzie z banku zrabowano przeszło cztery miliony złotych.

- On przecież nie żyje.
- Tak, ale gdzieś są pieniądze, które zrabował w Łowiczu.
- Niby miały być u mnie?
- Mamy wszelkie podstawy, aby twierdzić, że Strzelczyk schował swój skarb w piwnicy, w domu przy ulicy Wilczej.

- Tam, gdzie mieszkała jego żona?
- Tak, tam, gdzie mieszkała jego żona, którą ktoś zamordował, a przedtem zastrzelił w tej samej piwnicy drugiego z łowickich bandytów, Andrzeja Doberskiego.

Antoni Dobrowoda zbladł.

- Pan major myślał, że to ja?

- Morderca dobrze wiedział, że Kazimierz Strzelczyk dysponował piwnicą przy Wilczej. Pan o tym też wiedział. Przecież razem z Kazimierzem znosiliście do tej piwnicy meble z szóstego piętra. A później tam przechowywaliście najrozmaitsze części samochodowe. Wtedy, kiedy kombinowaliście na Omulewskiej.

- Ano wiedziałem - przyznał Antoni.
- Chyba więc pan się teraz nie dziwi, że musieliśmy go traktować jako jednego z podejrzanych.

- Tak wychodzi.

- Dlatego musieliśmy zrobić rewizję. Moi ludzie narobili wam bałaganu.

Jeszcze raz was za to przepraszam.

- Nie ma o czym mówić, panie, majorze, sam rozumiem.

- Przypuszczamy, a mamy na to pewne dowody, że w tej przeprowadzce i przenoszeniu mebli do piwnicy brał udział człowiek, który następnie uczestniczył w napadzie na bank. Dlatego zaprosiłem pana na rozmowę i liczę, że pan nam szczerze opowie, jak to było z tym znoszeniem mebli do sutereny? Chyba pan nie będzie osłaniał bandytów i morderców? Poza tym, jak pan wie, takie osłanianie osób poszukiwanych przez milicję jest karalne.

- Rozumiem, powiem wszystko jak na świętej spowiedzi - zapewnił

Dobrawoda. - Co wiem i pamiętani.

- A zatem słucham pana.

• Z Kazimierzem pracowaliśmy razem w FSO. Wtedy był szczeniakiem, zaraz po szkole. Pierwsze kroki tam stawiał. Głupi był, to go i podeszli. Naokoło kradli, a potem chcieli zrzucić na niego. Ale już wówczas Strzelczyk zapowiadał się na fachowca dużej, klasy. Jakoś się ze sprawy wypućował, bo naprawdę był niewinny. Później, chyba przez trzy lata, pracował na stacji benzynowej, a potem na Omulewskiej. Zawsze miał łeb do interesów, a za parę groszy toby diabłu duszę sprzedał. Spiknął się ze mną i jeszcze z dwoma z FSO. My kończyliśmy pracę o drugiej, on później. Nawinął interes, abyśmy przychodzili na Omulewską i kręcili się w pobliżu warsztatu, a on nam podrzucał klientów. Takich, którym stacja obsługi nie mogła nic pomóc, bo nie miała części.

- A wyście mieli? Skąd?
- Kombinowało się, panie majorze.
- Z FSO?

• Niech Bóg zachowa! - zastrzegł się stary mechanik. - Nigdy mnie na niczym nie złapano. Na najmniejszej śrubeczce. Wiadomo było, co jest najbardziej potrzebne, to się na prowincji szukało, u prywatniarzy stalowało, a kto jechał za granicę, to przywoził na zamówienie. Zawsze mieliśmy te chodliwe rzeczy, Strzelczyk wynajdował klienta, który się nie targował, bo mu było pilno. My takiemu wózek podszykowaliśmy na cacy.

- Przecież były prywatne warsztaty.

• Oni robili to samo. Kombinowali, jak mogli. Dlatego te samochody w tamtych czasach jakoś jeździły. Ale my byliśmy na miejscu, przed wjazdem na Omulewską.

- A w środku mieliście swojego człowieka.
- Właśnie - przytaknął Antoni. - Potem to się urwało, ale na początku nieraz ładny pieniądz można było zarobić. Bo pensja była groszowa. Nie to co teraz, kiedy człowiek za dobrą pracę może dobrze zarobić. Wtedy to „czy się stoi, czy się leży”...

- Znamy to. A jak było z przeprowadzką?
- Kazik nieraz nam popłakiwał, że ma złą, niewdzięczną żonę. Że już dłużej z nią nie wytrzyma. Że podał sprawę do sądu. Wreszcie kiedyś powiedział, że się z domu wyprowadza i musimy mu w tym pomóc.. Wiadomo, przyjacielowi takiej przysługi odmówić nie można. Urwaliśmy się z pracy. Jeden z koleżków wykombinował lewy kurs swojego wózka i przetransportowało się Kazika na Ochotę. A część gratów zważyło do piwnicy.

- Kto w tym brał udział?
- Oprócz mnie i Kazika, jeszcze dwóch z FSO. Kowalski i Nawrot. On prowadził ciężarówkę.
- Gdzie pracują?
- Nawrot nie żyje. Zmarło mu się przed dwoma laty. Na serce po grypie. A Kowalski potem próbował sam kombinować. Ale głupio. Wyprowadzili cały wóz z FSO i wpadli na tym. Dostał pięć lat. Musieli go już wypuścić, ale co się z nim dzieje, nie wiem.

- Jak on wyglądał?
- Mały, suchy jak wiór. U prawej ręki nie miał dwóch palców, bo mu maszyna urwała.

- Młodszy od pana?

- Jeszcze młodszy od Strzelczyka. Chyba ze cztery lata.

- Nikogo więcej wtedy nie było?

Antoni zastanawiał się.

- Był jeden. Widywałem go parę razy z Kazikiem. Nie wiem, co on robił, ale nie z naszej branży.

- Jak on wyglądał?

- Nie poznałbym go teraz. Wzrostu jak Kazimierz. Chyba blondyn? Tak mniej więcej w jego wieku. Pewnie się znali albo z powszechniaka, albo z tej samej ulicy.

- Pamięta pan, jak się nazywał?

- Kazik mówił do niego „Zygmunt”. Nazwisko też wiedziałem, ale wyleciało mi z pamięci. Przecież to sześć lat z okładem, panie majorze. Później, po tej przeprowadzce, tego gościa nigdy nie spotkałem. Ze Strzelczykiem także się urwało, bo interes się skończył. On zmienił pracę. Ja zostałem w FSO, kupiłem ten placyk i powoli zaczynałem się tam budować. Wszystko sami z żoną robiliśmy. Nie było czasu na daremne spotkania ani pieniędzy na kielicha.

- Może pan sobie jednak przypomni to nazwisko?

- Wiem tyle, że coś od drzewa.

- Drzewiecki, Lipski, Lipiński - podpowiadał major. - Różański, Jaworek, Jaworowski, Jaworski, Sosnowski, Choiński, Modrzewski, Gruszecki, Śliwiński...

- Nie - Dobrowoda pokręcił głową.

- Może Dębski, Dąbek, Dębał - major jednym tchem wymieniał całą florę. - Grabowski, Grabiec, Wiśniewski, Jesionek, Jesionowski, Leszczyński, Klonowski, Maliniak, Orzechowski, Orzeszko, Swierczyński? Pan Antoni przecząco kiwał głową.

- A może Okoń?

- To już bliżej. Ale nie z ryb, ale z drzew. Jak sobie przypomnę, to zaraz dam znać panu majorowi.

- Słowo?

- Słowo starego ślusarza.

Kiedy za Antonim Dobrowoda zamknęły się drzwi, majorowi nie było zbyt wesoło. Jak znaleźć tego czwartego z przeprowadzki? Oficer milicji wątpił, czy mechanik samochodowy przypomni sobie jego nazwisko. A jeśli przypomni, czy zechce je ujawnić milicji? Może uda się odnaleźć tego Kowalskiego? Może on będzie coś wiedział? Z rysopisu tego człowieka wynikało, że Kowalskiego nie można było uważać za „pana z walizką”. Zresztą walizka była granatowa, a więc nie zawierała pieniędzy. Czy „pan z walizką” jest rzeczywiście mordercą?

Znaków zapytania było coraz więcej.

## **ROZDZIAŁ XIII**

### **A radio grało coraz głośniejsze**

Wywiadowca MO, który z polecenia majora Janusza Kaczanowskiego prowadził wstępne rozeznanie na Służewcu, tam, gdzie mieszkał Antoni Dobrowoda, chociaż sprytny i doświadczony w swoim fachu, nie zauważył jednak „konkurenta”.

Uszło jego uwadze, że w pobliżu domku zamieszkanego przez mechanika samochodowego i jego rodzinę kręci się jakiś mężczyzna. Wysoki, o twarzy pociągłej, ubrany w stary, podniszczony płaszcz ciemnego koloru, w cyklistówce i w ciemnych okularach. Ten człowiek już od paru dni bacznie obserwował wszystko, co się dzieje w małym domku i w przylegającym do niego ogrodzie.

Nieznany obserwator nie przestraszył się dwóch samochodów MO, które pewnego ranka zastał przed domem Dobrowody. Przeszedł koło stojących aut, okrążył małe ogrodnictwo i wyszukał po jego drugiej stronie dobry punkt. Widział, co się dzieje, sam nie wpadając nikomu w oczy. Kiedy funkcjonariusze milicyjni badali cal po calu cały ogród przy pomocy aparatów do wykrywania ukrytych przedmiotów, samotny obserwator wiedział, czego się szuka w małym ogródku. Widział, że nie znaleziono niczego. Widział także, jak milicjanci opuścili mieszkanie w towarzystwie właściciela domu dzwigającego

w rękę spory pakunek. Ale chyba nie był to ten pakunek, o którego wykrzycie przez MO drżał wysoki mężczyzna.

Kiedy samochody odjechały, przed furtką pozostały dwie głośno pomstujące kobiety. Zaraz otoczyła je grupka sąsiadek i sąsiadów. Nieznajomy także się zbliżył.

- Czego oni chcieli? - zapytał.
- A cholera ich wie! Cały dom przewrócili do góry nogami - wyjaśniała młodsza z kobiet. - Jak ojciec się pytał, czego szukają, to odpowiadali „sam pan wie”.
- Znaleźli co? - zagadnęła jedna z Sąsiadek.
- Co mieli znaleźć? - oburzyła się żona właściciela domku.
- To dlaczego zabrali pana Antoniego?

Zamiast odpowiedzi, rozległy się nowe pomstowania na milicję.

• Mego brata - zauważył wysoki nieznajomy - także raz zabrali. Mówili, że na rozmowę. Wrócił po dwóch, tygodniach, tak długo z nim rozmawiali. Dobrze, że chociaż żona dała mu paczkę z ciepłą bielizną, bo siedział w nie ogrzanej piwnicy - błagował mężczyzna. - W robocie mu za ten czas nie zapłacili, a milicja się śmiała. „Dobrze, żeś wyszedł, dziękuj Bogu” powiedzieli, kiedy przyszedł z prośbą o wyrównanie straty w zarobkach. Do tej pory nie wie, za co siedział. Dla nich zamknąć kogoś, to jak dla mnie wypalić papierosa. Trzeba było dać mężowi jedzenie i coś ciepłego.

- Pewnie, że dałam. Nie chciał brać, ale zmusiłam.



- Brat też nie chciał, a później nie mógł się nadziękować żonie.

Nieznajomy dyskretnie wycofał się z ciągle rosnącego tłumku. Dowiedział się tego, czego chciał. Walizki tu nie znaleziono. Czy w ogóle była? Tadeusz Majewski zaczynał w to wątpić. Wrócił do miasta i zatelefonował do Zygmunta Lipienia.

- Muszę się z tobą zobaczyć - powiedział.

- Zaraz?
- Nie, Wolałbym jutro. Po biurze.
- Tylko błagam cię, nie tak jak ostatnim razem.
- Więc gdzie? Może u mnie?
- Nie - odpowiedział Zygmunt. - Lepiej przyjdź do mnie. Ale to naprawdę

takie ważne?

- Sam zrozumiesz, jak ci wszystko powiem. Będę o piątej.

Rozmowę przerwano.

Jeszcze tego samego dnia Tadeusz Majewski przez parę godzin obserwował dom, w którym mieszkał Zygmunt Lipień. Ale nic się w nim nie działo. Ani przed domem, ani w jego pobliżu nie zatrzymał się żaden radiowóz. Wieczorem w mieszkaniu przyjaciela paliło się światło. Tadeusz parokrotnie zobaczył jego sylwetkę zbliżającą się i oddalającą od okna.

Na drugi dzień Majewski znowu zatelefonował do ministerstwa, miejsca pracy Lipienia. Usłyszał jego głos w słuchawce. Przyjaciel był w biurze. A więc jak na razie, wszystko w porządku. Ale czy na długo?

Tym razem milicja złapała dobry trop. Teraz będzie nim szła i w końcu dojdzie do Zygmunta Lipienia, a później i do niego, Tadeusza Majewskiego. Był pewien, że aresztowany Lipień przyzna się do wszystkiego i bez cienia wahania wyda pozostałego na wolności ostatniego członka napadu na bank. Trzeba się ratować!

Za każdą cenę!

Przed czwartą po południu Tadeusz obszedł naokoło kamienice, w której mieszkał Lipień. Wiedział, że Zygmunt obecnie jest sam w mieszkaniu. Dzielił je wprawdzie z bratem, pracownikiem jednej z central handlu zagranicznego, ale brat wraz z żoną i dziećmi przed pół rokiem wyjechał na dwa lata na Kubę.

Przed domem było wszystko w porządku. Majewski wszedł na klatkę schodową i pojechał windą na ostatnie piętro. Piechotą zszedł po schodach. Przystanął przed; drzwiami mieszkania Zygmunta Lipienia i pilnie nasłuchiwał.

Wewnątrz panowała głucha cisza. Chyba milicja nie zorganizowała tutaj „kotła”.

Tadeusz uspokojony zszedł na dół i z daleka obserwował kamienicę.

Nieco przed wpół do piątej nadszedł Lipień. Majewski schował się do bramy i przyjaciel go nie zauważył. Zygmunt szedł spokojnie, nikt poza Tadeuszem go nie śledził. Potem w mieszkaniu otworzyło się jedno z okien. Uczynił to właściciel lokalu.

Jeszcze przez czterdzieści minut Tadeusz obserwował ulicę. Wreszcie dziesięć po piątej zadzwonił do drzwi kolegi. Zygmunt otworzył natychmiast.

- Nikt cię nie widział? - zapytał.
- Za kogo mnie masz? Za małe dziecko? Specjalnie czekałem na moment, kiedy na klatce schodowej nikogo nie było.

Weszli do pokoju.

- Jak tu zimno - Majewski aż się wzdrygnął. - Proszę cię, Zygmunt, zamknij to okno.

Gospodarz spełnił tę prośbę. Następnie wyciągnął z kredensu dwa kieliszki i butelkę.

- Napijesz się?
- Z przyjemnością.

Lipień nalał, wypili, przekąsili słonymi paluszkami stojącymi na stole.

- Wiesz - Zygmunt mówił to z wielkim ożywieniem - ten łobuz, który zastrzelił Andrzeja Doberskiego i tę biedną kobietę, nie znalazł naszych pieniędzy. Milicja ustaliła, że on wyniósł z piwnicy granatową ciężką walizę. Dali taki komunikat w prasie i w radio. A przecież nasza walizka była brązowa i nie tak przesadnie ciężka. Wprawdzie ważyła dość sporo, ale kiedy ją niosłem, jakoś się nie przyginałem do ziemi pod jej ciężarem. Ktoś z boku mógłby pomyśleć, że w ogóle nic w niej nie ma. Z tego wynika, że w piwnicy rzeczywiście była jakaś waliza, ale nie z forszą, lecz naładowana czymś innym. Pewnie jakieś metalowe części samochodowe.

- Możliwe - zgodził się Tadeusz.
- To jest bardzo ważne. Nie wszystko stracone. Musimy trochę popracować głową i zastanowić się, gdzie Kazimierz Strzelczyk mógł ukryć te pieniądze. Nikt ich jeszcze nie znalazł. Milicja ich nie ma, bo już by się pochwalili. Zabójca Doberskiego także się rozczarował, że na próżno zamordował dwoje ludzi. Mamy szansę. Ten

kluczyk!

- Jaki kluczyk? - Majewski słuchał piąte przez dziesiąte wywodów przyjaciela.

- No kluczyk z kółka Kazika. Pamiętasz, Doberski stwierdził, że dwa klucze nie pasują do niczego. Jeden na pewno był do piwnicy na Wilczej. Drugi jest do schowka, w którym znajduje się walizka. Ta prawdziwa. Brązowa z czterema milionami w środku. Z naszymi pieniędzmi.

- Obawiam się, że teraz to już nieważne.

- Jak to nieważne? Tadek, co się z tobą dzieje? Jesteś dziwnie zdenerwowany? Co się stało?

- Nalej jeszcze po jednym.

Gospodarz nalał. Wypili.

- Mam złe wiadomości. Ale nie wiem, czy ci powiedzieć.

- Co się stało? - przeraził się.

- Obawiam się, że milicja tu przyjdzie, jeżeli nie lada chwila, to lada dzień.

- Gdzie?

- Właśnie tutaj. Do ciebie. A raczej po ciebie.

- Co ty mówisz? - Lipień przeraził się nie na żarty. - Przecież sam zapewniałeś, że jesteśmy zupełnie bezpieczni.. Mówiłeś to podczas naszego ostatniego spotkania.

- Od tego czasu dużo się zmieniło.

- Ale co?

- Nalej jeszcze. Taki jestem nieswój. Lżej mi będzie po paru wódkach.

Znowu wypili.

- Co się stało? - Zygmunt powtórzył.

- Opowiem ci wszystko od początku. Pamiętasz, w czasie naszego ostatniego spotkania uradziliśmy, że trzeba się zainteresować tymi dwoma kumplami Kazika, którzy razem z tobą go przeprowadzali i zwałali meble do piwnicy.

- No tak. Kowalskim i Dobrowodą. Miałeś się tym zająć.

- Właśnie się zająłem. Ale nie tylko ja.

- Nie rozumiem?

- Miałem konkurencję. Na szczęście byłem ostrożny i jedynie cudem

uniknąłem wsypy. Dowiedziałem się, gdzie mieszka Dobrawodą, i postanowiłem obserwować ten dom. To na dalekim Służewcu. Taka buda sklecona, własnym pomysłem. Kiedy badałem teren i zastanawiałem się, czy walizka może tam być gdzieś schowana a jeszcze nie wiedziałem, że to chodzi nie o naszą walizkę, nagle pod domek podjechały dwie milicyjne warszawy. Wskoczyło z nich dziesięciu chłopów. Część obstawiła całą posesję, reszta weszła do środka. Nie wiem, jak szukali w domu, ale po ogrodzie chodzili ze szperaczami, podobnymi do tych, jakich używają saperzy przy wykrywaniu min. Na pewno nie szukali min, lecz walizy.

- Czy ją znaleźli?

- Nie wiem. Przecież nie pytałem o to. Ale widziałem, że zabrali ze sobą tego Dobrawodę. Wyszedł z domu pomiędzy dwoma milicjantami, wsadzili go do samochodu i natychmiast odjechali. Nie dali mu się pożegnać z płaczącą żoną i dziećmi.

- No to co z tego? Wiemy, że pieniędzy nie znaleźli, bo szukali granatowej walizy.

- Pieniądzy nie znaleźli, to prawda, ale mają w ręku Dobrawodę.

- A niech go sobie mają - Zygmunt już się całkowicie uspokoił, nie rozumiejąc przerażenia kolegi.

- Pan Dobrawoda ma szczególne powody, aby milczeć i ani słowa nie pisać milicji, z kim to do spółki przeprowadzał Kazika...

- Co ty mówisz? - teraz Lipień zbladł.

- Mówię, że będą faceta tak długo maglowali, aż im powie o Kaziku wszystko, co o nim wie, nie tając, z kim przyjaźnił się Strzelczyk. Rodzińska też im co nieco powiedziała. Sam ją posłałeś do Pałacu Mostowskich i poinstruowałeś, co ma mówić.

- Okropność! Nie kryłem przed nią, że pomagałem Kazikowi w przeprowadzce i dlatego przyszło mi na myśl, że Strzelczyk ukrył pieniądze w tej piwnicy.

-A więc dwa plus dwa równa się cztery. Milicja też o tym wie, bo umie dodawać. A jeżeli do tego, co wiedzą, dadzą zeznania Dobrawody i Rodzińskiej, wyjdzie im czarno na białym, że pan Zygmunt Lipień, cichy i spokojny urzędnik jednego z ministerstw, jest groźnym bandytą poszukiwanym za napad na Spółdzielczy Bank Ludowy w Łowiczu. Aż dziw bierze, że dotychczas tu nie przyjechali.

- Co robić? - Zygmunt to bladł, to czerwieniał. Nareszcie zrozumiał niebezpieczeństwo.

- Przede wszystkim jeszcze raz nalej. Wypili.
- Jestem zgubiony - jęknął Lipień.
- Chyba tak - zgodził się Majewski.
- Jak się ratować?
- Właśnie przyszedłem do ciebie, abyśmy wspólnie znaleźli jakieś wyjście z sytuacji.

- Ale jakie?
- Musisz natychmiast zniknąć. Nie ma chwili do stracenia.
- Jak to zniknąć?
- Zwyczajnie. Wyjdiesz z domu i nie wrócisz.
- Będą mnie szukać.
- Naturalnie. Ale musisz się tak schować, żeby cię nie mogli znaleźć.
- Gdzie ja znajdę taki schowek? Przecież nie ucieknę za granicę.
- To by też nie pomogło. Za napad na bank nawet z Zachodu by cię przywieźli. Tam też nie lubią takich figli i nie chcą przechowywać fachowców do tego rodzaju roboty.

- Tym bardziej w kraju mnie znajdą.
- Można by upozorować samobójstwo. Na przykład znajdą twoje ubranie i list nad brzegiem rzeki. To byłoby wyjście. Mógłbyś w tym liście napisać, że odbierasz sobie życie, bo dręczą cię wyrzuty sumienia, że zostałeś bandytą. To by pięknie brzmiało. Stawialiby cię za przykład. Siadaj i pisz taki list. Ja ci podyktuję. A wieczorem podrzucimy twoją jesionkę z tym listem na brzegu rzeki. Można nawet w tym samym miejscu, gdzie zginął Kazik. To by jeszcze bardziej dramatycznie wyglądało. Nikt by się specjalnie nie dziwił, że woda nie wyrzuciła ciała. No, dawaj papier i długopis. Piszemy.

- Ale co ja zrobię bez żadnych dowodów i pieniędzy? Dokąd pójde, gdzie znajdę pracę i mieszkanie?

- O te sprawy będziemy martwili się później. Parę dni przeczekaś u mnie. Spokojnie rozejrzemy się w sytuacji i coś się wymyśli. Co do pieniędzy, to naturalnie, czym będę mógł, to cię wspomogę. Ty też przed samobójstwem możesz podjąć

oszczędności z PKO, jeżeli coś tam masz. Grunt, żeby się natychmiast ratować. Później wspólnie poszukamy tej walizki z forszą. A mając dwa miliony w ręku, nie zginiesz. Za taką forszą można nie tylko zmienić nazwisko, ale także zdobyć paszport zagraniczny. Zresztą wątpię, żeby to było potrzebne. Jakoś cię urządzę.

- Nie, nie! - Zygmunt Lipień prawie wykrzyczał te słowa.
- Więc co zrobisz? Chcesz tu czekać, aż przyjdą po ciebie i wezmą jak

barana do rzeźni?

- Nie mogę, nie potrafię się tulać z miejsca na miejsce jak beański pies.

Rzucić to wszystko, do czego przywykłem? Nie móc przez wiele lat, a może do końca życia spokojnie przejść się po Marszałkowskiej lub wstąpić do kawiarni? Nigdy nie zobaczyć się ze znajomymi i przyjaciółmi? To nie do wiary.

- A jednak konieczne. Tego wymaga twoje bezpieczeństwo. Jeżeli cię złapią, to i tak przez wiele, wiele lat nie zobaczysz przyjaciół. Zresztą oni natychmiast po twoim aresztowaniu przestaną się uważać za twoich bliskich.

- Nie mogę, nie mogę - Zygmunt opadł na stojący przy ścianie fotel i spuścił głowę.

- To było ryzyko, które każdy z nas podejmował, wchodząc do gmachu banku.

- Już lepiej naprawdę się zabić.

- Nie gadaj głupstw. Do tego zabrakłoby ci odwagi.

- Masz rację. Co ja teraz zrobię?

- Zygmunt, nie trać ducha, musimy sfingować twoje samobójstwo. Nie ma innej drogi.

- Boję się! Ja tego nie wytrzymam.

W tym momencie na tym samym piętrze zatrzymała się winda. Ktoś z niej wysiadł. Lipień cały drżący nasłuchiwał. Ale kroki poszły w innym kierunku.

- Tym razem to jeszcze nie oni - powiedział Majewski. - Ale bądź spokojny. Oni niedługo tu będą. Przyjadą windą, zadzwonią do drzwi, a jeżeli nie otworzysz, to je wyłamią. Im przecież wolno. Samochód będzie czekał na dole. Poprowadzą cię między sobą, jak wczoraj prowadzili Antoniego Dobrowodę. Czekał tu na nich spokojnie.

- Nie będę czekał. Sam do nich pójde.

- Zwariowałeś!

- Słuchaj, Tadek, to jest najlepsze wyjście z naszej sytuacji.

- Też wymyśliłeś!

- Zastanów się - Lipień nagle odzyskał spokój. - Pieniądzy nie mamy.

Nadzieja na ich odnalezienie prawie żadna. A jakie perspektywy? Żyć wiele lat w ciągłej obawie, że lada dzień wpadną na twój trop i postawią przed sądem? Żyć z takim mieczem Damoklesa aż do śmierci? To nie do pomyślenia. Potworne. Czy więc nie lepiej od razu z tym skończyć?

- Jak to?

• Iść do milicji. Szczerze się do wszystkiego przyznać. Naturalnie powiemy, że przywódcą był i namówił nas do udziału w akcji Kazimierz Strzelczyk. Będziemy pomagali milicji w odnalezieniu pieniędzy. Oni mają większe możliwości od nas, ale nasze wskazówki także są coś warte.

Tadeusz Majewski podszedł do stojącego na małym stoliczku radia i nacisnął klawisz.

- Dlaczego włączasz aparat?

• O szóstej będą komunikaty. Może coś powiedzą o naszej sprawie? Milicja lubi się chwalić. Aresztowanie Antoniego Dobrowody rozdmuchają, jak gdyby mieli w rękę nas wszystkich, walizkę i zabójcę tamtych dwojga. Ale mów dalej...

• Właśnie chodzi i o tamtą sprawę. Prowadzący dochodzenie na pewno przypuszcza, że to myśmy zabili Andrzeja Doberskiego i Jadwigę Rodzińską. Jak nas złapią, będą nam wmawiali te zabójstwa. Nie mamy żadnych kontrdowodów. Żadnego alibi. A jeżeli zgłosimy się dobrowolnie, uwierzą nam. Zresztą i tutaj nasza pomoc dla milicji może być dużo warta.

• Nie wiem, dlaczego mają nam wierzyć, kiedy sami się przyznamy, a nie wierzyć wówczas, gdy nas złapią?

• To jasne. Zabójca dobrowolnie nie zgłosi się do milicji. Co innego człowiek, którego podstępem wciągnięto do akcji na bank i który nawet nie miał broni w rękę.

- Jak to nie miał?

• Po prostu zeznamy, że tylko Doberski miał prawdziwy pistolet. Nam Kazik nie dowierzał i zaopatrzył jedynie w straszaki. Oddamy im te straszaki. A że wszystkie fakty należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego, więc i to będzie dla nas okolicznością łagodzącą. Milicja i prokurator, szczęśliwi z zakończenia sukcesem tej

sprawy, wdzięczni za pomoc w ujęciu mordercy i odnalezieniu pieniędzy, nie będą nastawali na surowy wyrok. Może nawet prokurator zgodzi się na nadzwyczajne złagodzenie kary? W ten sposób wykpiłibyśmy się paru latami odsiadki. W ogóle nie spodziewam się, aby nam dali więcej jak po „piątce”. A za dobre zachowanie podarują jedną czwartą.

- Nie wiem tylko, którym twoim słowom uwierzą.
- O co ci chodzi? - zapytał Zygmunt.
- Mają przecież zeznania Rodzińskiej. Sam ją uczyłeś, co ma mówić. Czy

nie powiedziała, że człowiek podający się za przywódcę bandy i organizatora napadu terroryzował ją pistoletem? Dwa razy numer ze straszakiem nie przejdzie.

- Powiemy, że Rodzińska zmyślała, a w rzeczywistości sama nawiązała ze mną kontakt, bo uważała, że jej się należy milion po Kaziku.

- Głupstwa, gadasz.
- Jestem całkowicie zdecydowany, aby zrobić, jak mówiłem. To dla mnie

najlepsze wyjście. Chodźmy od razu dzisiaj.

- Tak bez przygotowania?
- Masz rację. Choćby te straszaki. Trzeba się o nie

postarać. Usunąć prawdziwą broń. Muszę też napisać list do brata i wszystko mu wyjaśnić. Pójdziemy jutro, zgoda?

- Nie!
- Dlaczego?!
- Pomysł dobry dla ciebie. Małego urzędniczka w ministerstwie. Ale nie dla

mnie, z moją pozycją społeczną. Poza tym ty jesteś samotny. Nie musisz się o nikogo troszczyć. A kto da jeść mojej rodzinie przez te, jak optymistycznie sądzisz, pięć lat? Jak ta rodzina będzie żyła z piętrem ojca i męża bandyty?

- Szkoda - ironicznie uśmiechnął się Zygmunt - że wcześniej nad tym się nie zastanawiałeś. Teraz trochę za późno.

- Może nie za późno? - wciąż stojący przy aparacie radiowym Tadeusz przekręcił gałkę. Z głośnika buchnęła głośnie muzyka.

- Za głośno - zauważył Lipień. - Ścisz trochę!
- Obaj tak krzyczymy, że sąsiedzi mogą coś usłyszeć. Lepiej niech słyszą

muzykę.

- Jeżeli uważasz, że nie możesz iść ze mną, pójdę sam. Może masz i rację.



W bezpośrednim niebezpieczeństwie znalazłem się tylko ja. Tobie na razie nic nie grozi. Nie pisnę o tobie ani słówka. Zeznam, że Kazik tak zorganizował grupę, iż wzajemnie nie znaliśmy się i spotkaliśmy się pierwszy i ostatni raz w życiu dopiero w Łowiczu.

- Myślisz, że ci uwierzą?

- Naturalnie. Będą szczęśliwi, że się zgłosiłem. Nie mogą zwątpić w moje słowa. Jestem o tym przekonany.

Majewski jeszcze bardziej przekręcił regulator natężenia głosu. Muzyka była coraz głośniejsza.

- Ścisz trochę, bo nam bębunki w uszach popękają - oprosił Zygmunt.

- Spójrz w okno.

Lipień odwrócił się w stronę okna.

- Gdzie? Nic nie widzę. O co ci chodzi?

- Już o nic - odpowiedział Tadeusz dziwnym głosem.

Zygmunt stanął tyłem do okna i wtedy zauważył pistolet w ręku przyjaciela.

- Tadek... - wyjąkał. - Tadek... Błagam cię... Nie... Nie!

Padł strzał. Za nim drugi i trzeci. Zygmunt Lipień: miękko osunął się na podłogę. A radio grało głośno.

## **ROZDZIAŁ XIV**

### **Nie ten pistolet**

Tadeusz Majewski schował broń do kieszeni. Pochylił się nad leżącym, ale go nie dotykał. Nie ulegało wątpliwości, Zygmunt Lipień już nie żył. Zabójca podszedł do stołu i kolejno wypił dwie wódki. Następnie wrócił do przedpokoju, włożył płaszcz i naciągnął rękawiczki. Z kieszeni wyjął czystą chusteczkę. Podszedł do aparatu radiowego i dokładnie przetrął wszystkie gałki i klawisze. Nawet te, których nie dotykał. Nie bawił się w wycieranie kieliszków i butelki. Po prostu włożył je do kieszeni płaszcza.

Z kolei oczyścił klamkę drzwi wiodących z przedpokoju do pokoju, w którym leżał trup. Po starannym przetraniu zamków drzwi wejściowych Tadeusz Majewski gotowy był do wyjścia. Uważnie nasłuchiwał, ale na schodach panowała kompletna cisza. Szybki, lecz cichy ruch drzwiami i morderca przyjaciela znalazł się na klatce schodowej. Wytarł jeszcze klamkę i cicho, prawie na palcach wbiegł na wyższe

piętro. Tu spokojnie nacisnął taster windy. Zjechał na dół i wyszedł na ulicę.

Był absolutnie pewny, że nikt go nie widział, ani kiedy wchodził do mieszkania Zygmunta Lipienia, ani kiedy zeń wyszedł.

Przestępca doznawał uczucia przykrości. Pierwszy raz zabił człowieka, i do tego przyjaciela z dawnych lat, ale nie robił sobie żadnych wyrzutów. To było jedyne rozsądne wyjście z trudnej sytuacji. Aresztowanie Lipienia mogło nastąpić za kilka godzin, a on by wszystko wyśpiewał. Wprawdzie plan z listem samobójczym był lepszy i bezpieczniejszy, lecz Zygmunt na to się nie zgodził. Jak gdyby coś przeczuwał. Trzeba było, nie zwlekając ani chwili, akcję przeprowadzić na miejscu. To nieprzyjemne, ale już się ma za sobą. Nawet kodeks karny zna „stan wyższej konieczności”, a także „działanie w obronie koniecznej”...

- To była naprawdę obrona konieczna - zabójca uspokajał swoje sumienie, które zresztą niezbyt mu dokuczało.

Wrócił do domu, przebrał się i starannie obejrzał całe ubranie. Nigdzie nie znalazł najmniejszej plamki krwi czy śladów po drobinach prochu. Milicja ma w walce z przestępcami posługującymi się bronią palną bardzo ważny atut. Jest nim tak zwana próba parafinowa. Na rękach i twarzy człowieka strzelającego z pistoletu pozostają niewidoczne gołym okiem drobinki prochu. Dadzą: się one jednak wykryć w parafinie. Na wszelki więc wypadek Tadeusz Majewski natychmiast się wykapał, gruntownie szorując całe ciało. Postanowił, że będzie się kąpał dwa razy dziennie. Po paru dniach nawet próba parafinowa nie da żadnego rezultatu.

Ale w ogóle parę dni upłynie, zanim ktokolwiek zainteresuje się nieobecnością Zygmunta Lipienia w biurze. Zanim dadzą znać milicji, zanim milicja zdecyduje się na otworzenie mieszkania, znowu wygrywa się z czasem. Może i walizkę uda się w tych dniach odzyskać? Majewski miał własną koncepcję, gdzie jej szukać. Tadeusz nie zdawał sobie sprawy, że jednak popełnił zasadniczy błąd. W zdenerwowaniu nie słyszał, że radio gra nadal na cały regulator. Wprawdzie wytarł wszystkie klawisze i gałki, ale nie wyłączył aparatu. Ściany w nowych domach są akustyczne. Sąsiedzi na próżno pukali w podłogę i w sufit oraz uderzali młotkiem w rury centralnego ogrzewania. To nic nie pomagało. Radio, im późniejsza stała się pora, bardziej dawało się we znaki współlokatorom.

Po bezsennie spędzonej nocy któryś z sąsiadów zawiadomił milicję. Sprawdzono, że na pukanie nikt nie otwiera, a urzędnik ministerstwa Zygmunt Lipień jest nieobecny w biurze. Dowódca patrolu porozumiał się ze swoją komendą.

Postanowiono otworzyć drzwi.

Dalej już wszystko potoczyło się normalnym w takich przypadkach trybem. Komenda Dzielnicowa zawiadomiła Komendę Stołeczną. Przyjechała ekipa dochodzeniowa. Jednym z pierwszych ludzi, którzy w Pałacu Mostowskich dowiedzieli się o nowej zbrodni, był naturalnie pułkownik Niemiroch. Nic więc dziwnego, że major Janusz Kaczanowski znalazł się w mieszkaniu ofiary mordu prawie jednocześnie z technikami dochodzeniowymi. Pracowali oni parę godzin, ale poza trzema łuskami pocisków rewolwerowych niczego więcej nie znaleźli. Żadnych odcisków palców prócz nielicznych zresztą śladów rąk denata. Nic nie wskazywało powodu, dla którego cichy, nie wadzący nikomu pracownik ministerstwa został zabity w swoim mieszkaniu trzema strzałami z pistoletu.

- Nasz fach upada - skarżył się technik daktyloskopii. - Wolałbym kamienie tłuc. Byłby przynajmniej jakiś pożytek. Teraz każdy, zanim wyprawi bliźniego do lepszego świata, zakłada rękawiczki i wszystko wyciera flanelą.

Lekarz ustalił godzinę zgonu i obiecał jak najszybciej dokonać sekcji zwłok. Chociaż przyczyna śmierci nie ulegała żadnym wątpliwości: trzy pociski rewolwerowe, z których jeden prawdopodobnie przebił lewą komorę serca, a dwa kolejne spowodowały także śmiertelne rany, Kaczanowski chciał mieć te pociski, aby je oddać do analizy. Sprawą bardzo ważną i bardzo pilną było ustalenie, czy kule pochodzą z tego samego pistoletu, z jakiego oddano śmiertelny strzał do Andrzeja Doberskiego. Potwierdzenie tego faktu zacieśniałoby dochodzenie do poszukiwania jednego człowieka.

Pozornie powód zbrodni był tajemniczy. Z mieszkania nic nie zginęło. Zamordowano człowieka spokojnego, cieszącego się dobrą opinią w miejscu pracy. Ale dla Janusza Kaczanowskiego nie ulegało żadnej wątpliwości, że zastrzelony mężczyzna to trzeci z czwórki bandytów operujących w Łowiczu.

Mechanik samochodowy Antoni Dobrawoda twierdził przecie, że człowiek, który brał udział w przeprowadzce Kazimierza Strzelczyka, a następnie przedstawił się jego byłej żonie jako przywódca przestępczej grupy, nazywał się „od drzewa” i miał na imię Zygmunt. To się idealnie zgadzało. Aby jednak niczego nie zaniedbać, major polecił, żeby milicyjny radiowóz przywiózł starego mechanika na miejsce zbrodni. Tym razem oficer milicji uprzedził dowódcę warszawy, aby ten poinformował Dobrawodę, że potrzebny jest tylko jako świadek.

Mieszkaniec Służew ca rzucił okiem na leżącego na podłodze mężczyznę.

- Znam go - powiedział. - Teraz, kiedy go widzę, przypomniałem sobie i jego nazwisko. To jest Zygmunt Lipień. Przyjaciół Kazimierza Strzelczyka. To ten sam, o którego pan major wypytywał mnie przed dwoma dniami.

Samochód milicyjny odwiózł świadka do jego miejsca pracy, a major wrócił do Pałacu Mostowskich. Uważał, że nie ma już nic do roboty na miejscu zbrodni. Pozostali tam specjaliści. Kaczanowski był najzupełniej pewien, że niczego nie znajdą.

- Takiemu to dobrze - tymi słowami powitał pułkownik Adam Niemirosz przyjaciela. - Inni męczą się dochodzeniem, pracują dzień i noc, a ty, Januszu, bez kiwnięcia palcem w bucie coraz to dostajesz następnego bandytę.

- Już mi na tym świecie pozostał tylko jeden - potwierdził Kaczanowski. - Obawiam się, że i tego otrzymam z - przedziurawioną skórą.

- Cztery miliony to jednak ogromne pieniądze. Dla ludzi przekraczających granicę pomiędzy uczciwością a zbrodnią taka suma staje się celem, do którego dąży się dosłownie po trupach. Nasza grupa przestępcza po łatwym sukcesie w Łowiczu rozpoczęła walkę na śmierć i życie, byle dojść do tych milionów.

- Tym razem pułkownik chyba się myli.

- A to dlaczego? Sam przed chwilą stwierdziłeś, że zabity był członkiem bandy.

- Tak. Jestem też przekonany, że zginął z ręki czwartego ze współników, ale tu nie chodziło o pieniądze. Tych milionów zresztą, jak wiemy z opowiadania Jadwigi Rodzińskiej, Zygmunt Lipień nie posiadał. A gdyby je miał ten czwarty, również nie musiałby zabijać przyjaciela. To raczej odwrotnie, mielibyśmy do czynienia z trupem tego wysokiego.

- Wysokiego?

- Pułkownikowi trochę pamięć nie służy - tym razem Kaczanowski zrewanżował się Niemiroszowi za jego różne złośliwości. - Świadców napadu w Łowiczu zgodnie zeznali, że spośród trzech bandytów operujących w gmachu banku jeden wyróżniał się wzrostem wyższym niż przeciętny. Doberski i Lipień liczyli sobie po parę centymetrów ponad metr siedemdziesiąt. Pozostał zatem ten wysoki.

- Tyle mam spraw na głowie, że trudno mi pamiętać detale każdego dochodzenia - bronił się Niemirosz. - Od tego mam pomocników, a wśród nich niezastąpionego „pogromcę przestępców”.

- Chyba zmienię fach i zostanę grabarzem - odpowiedział Kaczanowski.
- Wracajmy jednak do naszych baranów, jak powiadają Francuzi. Jaka jest ta twoja teoria?

- Lipienia zastrzelił jego wspólnik, ponieważ bał się wsypy. „Wysoki” musiał się zorientować, że jesteśmy na tropie urzędnika ministerstwa.

- To wiedział więcej od nas.

- Pułkownik się myli. Najdalej w ciągu tygodnia miałbym Lipienia pod kluczem. Antoni Dobrowoda pamiętał, że on ma imię Zygmunt, zaś nazwisko pochodzi od jakiegoś drzewa. To była wprawdzie nikła, ale konkretna wskazówka. Inny z kumpli Strzelczyka, Roman Kowalski, także nie pamiętał nazwiska przyjaciela Strzelczyka, ale za to ujawnił istotny szczegół. Ten człowiek pracował w ministerstwie przy Kruczej. Przy tej ulicy mieszczą się siedziby kilku ministerstw, ale odnalezienie wśród pracowników tych urzędów człowieka, o którym mieliśmy nieco dokładniejsze dane, nie przedstawiało większych trudności. Moi wywiadowcy właśnie ustalali listę podejrzanych. Na pewno byłoby ich kilku, może nawet kilkunastu. Różnych Zygmuntów Jaworskich, Konarskich, Klonowskich, Grabowskich. Drzew u nas nie brakuje i co najmniej dziesięć procent polskich nazwisk wywodzi się od nich. W tym spisie znalazłby się także Zygmunt Lipień. Zaplanowałem zdobycie fotografii tych „drzewek” i pokazanie ich Dobrowodzie i Kowalskiemu. Jeśli to by nawet nie od razu rozstrzygnęło sprawy, w każdym razie zawęziłoby moją listę. A drogą eliminacji doszedłbym i do przestępcy. Tę robotę obliczałem na pięć dni.

- Brawo, Januszk. Tym razem naprawdę chwacko się spisałeś.

- Nie - zaprzeczył major. - Byłem na dobrym tropie, jednak spóźniłem się. „Wysoki” wyprzedził mnie co najmniej o trzy dni. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wiedział, że jeżeli dostanę do swoich rąk choć jednego z członków bandy, wycisnę z niego nazwiska pozostałych.

- To zrozumiałe - przytaknął Niemirosch.

- Trzy kule przerwały moją nić dochodzenia. Muszę ją teraz wiązać na nowo.

- Twój „wysoki” jest także zabójcą tamtych dwojga, Doberskiego i Rodzińskiej?

- Nie wiem, ale na to pytanie zdobędziemy odpowiedź po zbadaniu

pocisków wyjętych z ciała Lipienia. Przypuszczam jednak, że te pociski wyszły z dwóch różnych pistoletów.

- Tak sądzisz?

- Właśnie. Inna jest technika zbrodni. Na Wilczej przestępca strzelił w plecy Doberskiemu. Tutaj morderca ustawił ofiarę twarzą do siebie, chociaż na pewno mógł wybrać taki moment, kiedy Lipień był odwrócony do niego tyłem. W piwnicy nie znaleźliśmy łuski po pocisku. Strzelający postarał się o usunięcie tego śladu. Liczył widocznie na to, że kula ulegnie uszkodzeniu i nie będzie można dokonać analizy. W mieszkaniu Lipienia łuski leżały na podłodze, zabójca chociaż starannie usuwał ślady palców, nie fatygował się z pozbyciem tego dowodu. Poza tym ilość strzałów. Mordercy z Wilczej wystarczy jeden. Oszczędzał pocisków. Do Lipienia strzelono aż trzykrotnie, mimo że przy tak małej odległości nie mogło być mowy o pudle. Każdy pocisk był śmiertelny.

- Wydaje mi się, że masz rację. Mamy do czynienia; z dwoma przestępcami. Moja teoria „mózgu” znowu się potwierdza.

Kaczanowski nie zaprzeczył, chociaż tę teorię niedawno całkowicie obalił. Ale nie chciał wracać do poprzedniej dyskusji. Zwierzchnikowi, nawet jeżeli jest przyjacielem, należy ustępować. Przynajmniej w drobiazgach.

- Ale gdzie są pieniądze?

- Dla mnie to nie problem - uśmiechnął się major. - Mam nawet kluczyk do nich, ale nadal nie wiem, na jakich drzwiach wisi kłódka. Pocieszam się tym że nasi obaj przestępcy, mój „wysoki” i twój „mózg”, także tego, nie wiedzą, chociaż jeden z nich ma duplikat mojego, klucza. Widziałem japoński film „Rashomon”, tam poradzono sobie bardzo prosto, wezwano na świadka umarłego. Niestety, nam Strzelczyk nic nie powie. Musimy szukać sami.

- Widzę, że masz nową koncepcję, Januszku. Jakaż to?

- Mylisz się. Koncepcji jeszcze nie mam. Ale czują że zbliżamy się do rozwiązania. Dochodzenie zebrało; ogromną ilość materiału. Wśród tych wszystkich doku-

meritów znajduje się na pewno coś, na co nie zwróciliśmy uwagi, a co może nas doprowadzić do morderców i do schowka z milionami. - Tak sądzisz?

- Jestem tego najzupełniej pewien. Już teraz dostrzegam pewne luki naszego rozumowania, zwłaszcza dotyczące przebiegu wypadków przy Wilczej. Zdaje się, że

popęłniliśmy zasadniczy błąd w ocenie sytuacji.

- Jaki?
- Walizka.
- Z tego błędu wyprowadziła nas Komenda Powiatowa MO w Łowiczu. To

był zresztą nie nasz, lecz ich błąd. W żadnym protokole, w żadnym dokumencie dochodzenia prowadzonego na miejscu w banku nie ma wzmianki, że walizka, w której bandyci wynieśli pieniądze, miała kolor brązowy.

- To racja. Niemniej istnieje problem, dlaczego zabójca Doberskiego zabrał tę granatową walizkę. Rozumiem, szukał pieniędzy, wszedł do piwnicy, natknął się na konkurenta i wywalił do niego.

- On też nie wiedział, jakiego koloru jest ta właściwa walizka.

- Zgoda. Mógł nie wiedzieć. Ale później, kiedy już wziął ciężar do ręki, musiał się zorientować, że coś nie gra. Papier waży sporo, jednak nie tyle, aby człowiek normalnie zbudowany, jeszcze nie stary, przyginał się pod ciężarem tego pudła. A poza tym już w piwnicy miał okazję sprawdzić, co jest w środku granatowej walizki.

- Bał się ryzykować. W każdej chwili mógł ktoś nadejść.

- A jednak miał czas zarówno znaleźć i usunąć łuskę po pocisku, jak też starannie zamknąć piwnicę i do czysta wytrzeć kłódkę. Z tego wynika, że człowiek, który niósł walizkę, od początku wiedział, że w niej nie ma czterech milionów. Na tej paczce zależało mu nie mniej niż na pieniądzach.

- Sądzisz więc, że facet przyszedł po dwie walizki?

- Jeżeli nie po dwie, to na pewno po tę granatową. Miała ona dla niego co najmniej taką samą wartość, jak ta z milionami.

- Dla tej walizki zamordował dwoje ludzi?

- Nie. Tylko Doberskiego. Rodzińską zabił, bo ona wiedziała albo mogła się domyślić, kto w jej piwnicy zastrzelił tamtego człowieka. Śmierć Lipienia i tej kobiety ma to samo podłoże, chociaż zbrodni dokonało dwóch różnych mężczyzn. Każdy z zabójców za cenę zbrodni chciał sobie zapewnić bezpieczeństwo. Przyznaję, że to się im obu chwilowo udało.

- Dobrze, że dodałeś „chwilowo”.

- Nie byłbym godnym tak sławnego szefa, gdybym nie wierzył w ostateczny sukces.

- Więc co zamierzasz teraz robić?

• Mógłbym spokojnie czekać, aż los zrobi mi znowu prezent w postaci następnego nieboszczyka. Drogi tych dwóch przestępców muszą się skrzyżować w miejscu ukrycia pieniędzy. Ale nie będę czekał. Sam spróbuję dobrać odpowiedni klucz, lecz nie do schowka z milionami, bo ten mam w kieszeni, ale do rozwiązania całej tajemnicy.

- Gdzie będziesz szukał tego swojego klucza?

• Przede wszystkim w aktach sprawy. Poza tym w swojej głowie. Naturalnie nie zaniehbując normalnego dochodzenia. Obecnie moi ludzie idą po śladach w ministerstwie, w którym pracował Zygmunt Lipień, ustalają jego przyjaźnie i kontakty. Zwłaszcza w ostatnich dniach, z uwzględnieniem ludzi wysokiego wzrostu. Przesłuchuje się mieszkańców kamienicy, gdzie popełniono zbrodnię i ludzi z okolicznych domów.

- To wszystko już robiłeś parę razy.
- Lubię ścisłość, więc poprawiam na trzy.
- Bez efektów.
- Nie powiedziałbym - bronił się major - jednak trafiliśmy na ślad Lipienia.

Wprawdzie trochę nas ubiegli, ale może tym razem nam się poszczęści.

- A co z mieszkaniem zajmowanym przez Strzelczyka?
- Opieczętowane. Prokurator nie podjął żadnej decyzji. Także jedyny spadkobierca zmarłego, jego brat, nie wszczął żadnych kroków prawnych.

- Nikt nie usiłował dobrać się do lokalu?

• Nie. Ci, co szukają czteromilionowego skarbu, doskonale wiedzą, że tam go nie znajdą. A stare garnitury Strzelczyka ich nie interesują.

• Jest jednak faktem - zauważył pułkownik - że Strzelczyk w dniu napadu był na ulicy Wilczej. Na pewno nie zjawił się tam jedynie po to, aby zobaczyć się ze swoją byłą małżonką, lecz żeby zejść do piwnicy. Po co tam chodził?

• Może chciał tam schować pieniądze, a później się rozmyślił? Przypomniał sobie, że Lipień zna tę kryjówkę. Przecież pieniądze ukrywał nie tylko przed nami, ale i przed swoimi współnikami.

• Nie sądzę, aby człowiek, który tak doskonale zaplanował całą akcję w Łowiczu, nie przewidział z góry wszystkich ewentualności i później nagle zmieniał swoje decyzje. Musiał być inny powód.



- Może Strzelczyk miał w tej piwnicy coś, co wolał po napadzie stamtąd usunąć? Przyznaję, pułkownik, że swoimi wątpliwościami zabił mi pan porządnego człowieka. Muszę to gruntownie przemyśleć. Przesłane przyczyny takiego, a nie innego ich postępowania. Dotyczy to zarówno tego z bandytów, który pozostał przy życiu, jak też „pana z walizką” oraz tych zamordowanych. Najdalej za tydzień rozwiązę wszystkie zagadki.

Pomimo przeciwności losu major Janusz Kaczanowski nie tracił wiary w szybkie poznanie tajemnicy.

## ROZDZIAŁ XV

### Tylko jedna chwila uwagi

Nieraz rozwiązując jakąś trudną krzyżówkę, człowiek czuje się bezradny. Nie może znaleźć wyrazu, który jest niezbędny, aby pozostałe stały się wiadome. Wielekroć czyta się określenie tego wyrazu, wielekroć podstawia się rozmaite znaczenia, nawet szukając pomocy w encyklopedii. Ze zniechęceniem odsuwa się na wpół rozwiązana krzyżówkę. A kiedy nazajutrz lub po upływie zaledwie kilku godzin bierze się ją z powrotem do ręki, nagle wszystko staje się zupełnie proste.

Krzyżówki są miłą zabawą, pozwalającą na intelektualny wypoczynek, ale prowadzenie dochodzenia w sprawie rabunku czterech milionów złotych i czterech zabójstw (choć jedno z nich lekarz określił jako „nieszczęśliwy wypadek”) jest ciężką pracą, mimo że w pierwszym i w drugim przypadku chodzi o rozwiązanie zagadki.

Podczas kiedy wywiadowcy MO zbierali dane dotyczące ostatniej ofiary, Zygmunta Lipienia, major Janusz Kaczanowski czytał po raz nie wiadomo który akta sprawy, w nich szukając odpowiedzi na dręczące go niepewności. Czuł się jak człowiek z zawiązanymi oczyma, na oślepek szukający drogi do upragnionego celu. Wie, że, ten cel jest już blisko, prawie w zasięgu ręki, ale nie może do niego trafić, bo dokoła ciemno.

Major kolejno przegląda dokumenty: pierwszy meldunek o napadzie na Spółdzielczy Bank Ludowy, przesłuchania urzędników banku i innych świadków. Potem fotografie. Niezbyt kontrastowe, bo robione w czasie niepogody. Na brzegu rzeki leży człowiek. To Kazimierz Strzelczyk. Znowu protokoły rewizji: w warsztacie, w mieszkaniu właściciela warsztatu Jankowskiego, następnie w mieszkaniu i w piwnicy Wojciecha Strzelczyka, brata zmarłego. Oględziny

mieszkania Kazimierza Strzelczyka. Znowu protokoły przesłuchania mieszkańców tego domu. Dalej pudełeczko z taśmą magnetofonową. Na niej utrwalony głos Jadwigi Rodzińskiej, byłej żony Strzelczyka. Teraz fotografie piwnicy. Na odwróconym do góry nogami stole leży człowiek, Andrzej Doberski, jeden z uczestników napadu na bank, a druga ofiara, która opuściła ziemski padół. Inna fotografia. Widać na niej drzwi do windy i fragment klatki schodowej, a tuż obok na podłodze kobieta. To Jadwiga Rodzińska. Przeżyła Doberskiego zaledwie o czterdzieści osiem godzin. Jej również spodziewana fortuna nie przyniosła szczęścia. Dlaczego zginęła? Kolejna nie rozwiązana zagadka. Następnie protokół rewizji piwnicy i mieszkania zmarłej. W protokole dotyczącym piwnicy informacja, że znaleziono i zakwestionowano jakiś połamany aparat elektryczny; przesłano go do Zakładu Kryminalistyki dla dokładnego zbadania przedmiotu.

Znowu ogromna ilość protokołów przesłuchania świadków, którzy nic nie widzieli, nic nie słyszeli i nic nie wiedzą. Wśród nich wyróżnia się dwoje uczniów liceum przy ulicy Sadowej. Określili oni i opisali „pana z walizką”. Wyjaśnienie Komendy Powiatowej MO, że walizka zrabowana w banku była brązowego koloru.

Opinia

Zakładu Kryminalistyki dotycząca przesłanego aparatu elektrycznego. Notatki z FSO, ze stacji obsługi samochodów przy ulicy Omulewskiej.

Protokół rewizji w domku Antoniego Dobrowody i jego zeznania. Zeznania kierowcy samochodowego, Kowalskiego. Znowu zdjęcie: elegancko umeblowany pokój. Na podłodze mężczyzna. To już czwarte żniwo śmierci - Zygmunt Lipień. Jeszcze jeden członek bandy, któremu zrabowane pieniądze nie dały nic prócz trzech kul w piersi. Ekspertyza rusznikarska stwierdzająca, że pociski wyjęte z ciała Lipienia wyszły z innego pistoletu niż pocisk, którym zabito Doberskiego.

Sześć opasłych teczek zgromadzonych dokumentów. Gigantyczna robota całego sztabu ludzi. Robota, która nie przydała się na nic. Czy rzeczywiście ten wielki wysiłek poszedł całkowicie na marne?

Major Kaczanowski nie chce w to wierzyć. Chociaż zna prawie na pamięć leżące przed nim papiery, z największą uwagą czyta je ponownie. Oto ma w ręku opinię ekspertów:

Przesłany nam do oględzin przedmiot po zbadaniu okazał się aparatem pomiarowym służącym do badania napięcia lamp radiowych i telewizyjnych. Jest to model sprzed co najmniej pięciu lat. Pewne szczegóły wskazują na montaż

niefabryczny, chociaż tego rodzaju przyrządy były wtedy produkowane przez przemysł państwowy. Aparaty tego rodzaju są konieczne w każdym zakładzie naprawczym radia i telewizorów. W tamtych latach sprzedaż ich była reglamentowana. Cena na wolnym rynku przekraczała wtedy dwadzieścia tysięcy złotych przy cenie urzędowej wynoszącej 5600 zł Obecnie podobne urządzenia, znacznie ulepszone, są ogólnie dostępne w sprzedaży. Ich cena wynosi około trzech tysięcy złotych. Przesłany nam aparat został prawdopodobnie zniszczony przez rzucenie na niego czy też położenie jakiejś metalowej maszyny. Świadczyłyby o tym ślady rdzy i smarów. Maszyna ta musiała leżeć na aparacie przez pewien czas. Nie ustalono, w jakiej fabryce państwowej okazany nam aparat został wyprodukowany, gdyż wszelkie cechy, które by na to wskazywały, zostały usunięte. Przyrządy tego rodzaju produkowane były wówczas przez kilka zakładów. Analizę przeprowadził i opinię wydał mgr inż. Jan Grzymalski.

Janusz Kaczanowski zniechęcony odłożył trzymany w ręku dokument. Jaki związek może mieć ten stary połamany aparat będący teraz tylko kłębowiskiem drutów z napadem na bank?

Żadnego!

A jednak jakby coś tknęło oficera milicji, bo znowu sięgnął po arkusz papieru zapisany maszynowym pismem. Przeczytał go jeszcze raz, odłożył, długo coś rozważał, żeby znowu zainteresować się znanym tekstem.

Nagle wszystko stało się tak przeraźliwie jasne, jak gdyby w tym pokoju eksplodowała jakaś gigantyczna bania światła. Kaczanowski zerwał się od biurka, chwycił leżący przed nim dokument i, jak gdyby go ktoś gonił, pobiegł do gabinetu pułkownika Niemirocha. Sekretarka, panna Krysia, na próżno usiłowała go powstrzymr-

- Majorze, u pułkownika jest kapitan Musiał i porucznik Laskiewicz.

Ale Kaczanowski machnął ręką i nie pukając wszedł do pokoju zwierzchnika. Niemiroch zdziwiony spojrział na przyjaciela, a widząc wyraz jego twarzy, szybko zakończył rozmowę:

- Macie rację, kapitanie. Zabierzcie się do tego wspólnie z porucznikiem. O wyniku proszę mnie zawiadomić.

Oficerowie pożegnali się i wyszli. Kaczanowski podał pułkownikowi trzymany w ręku dokument.

- Proszę uważnie przeczytać - powiedział.

Adam Niemirowicz przejrzał pobieżnie papier, a potem po raz drugi już znacznie uważniej. Ponieważ nie znalazł w jego treści nic frapującego, zapytał majora:

- O co ci chodzi?
- Przecież tu jest rozwiązanie!
- W tej opinii? Nie widzę tu niczego nadzwyczajnego.
- Przecież tłumaczy, dlaczego nie brązowa, a granatowa walizka, jak też śmierć Doberskiego i Rodzińskiej. Ten dokument wskazuje, kto jest ich zabójcą.
- Możliwe, że - wskazuje, ale wołałbym, abyś ty mi pokazał wyraźniej.

- To takie proste - odpowiedział Kaczanowski, dziwiąc się, że jego zwierzchnik domaga się wyjaśnień. - Kazimierz Strzelczyk zajmował się nie tylko nielegalnym czy też półlegalnym handlem częściami samochodowymi. Handlował także różnymi aparatami elektrycznymi. Wtedy były one na rynku taką samą albo i większą rzadkością niż cewki do warszawy. W piwnicy przy Wilczej przechowywano te wszystkie rarytasy. Antoni Dobrowoda i Kowalski nie byli jedynymi współnikami późniejszego przywódcy przestępczej grupy. Oni w tym interesie reprezentowali branżę motoryzacyjną. Był ktoś trzeci, kto reprezentował dział elektrotechniczny. On także wiedział o schowku przy Wilczej i miał do niego, tak przypuszczam, własny klucz. Z tamtych lat „dobrych interesów” pozostało temu współnikowi trochę „towaru” złożonego w piwnicy, w granatowej walizie. Być może zresztą, że nie były to remanenty, ale handel prowadzono do ostatnich czasów. Kiedyś w piwnicy zdarzyła się mała tragedia. Ludzie składający tam części - samochodowe przez nieuwagę położyli je na pewnym aparacie elektrotechnicznym. Aparat został całkowicie uszkodzony.

- Załóżmy, że tak było - zgodził się pułkownik.
- Po dziwnej śmierci Strzelczyka członkowie jego bandy rozpoczynają poszukiwania ukrytego skarbu. Do tej akcji, oczywiście bez wiedzy tamtych, dołącza się i współnik Kazimierza z działu elektrycznego.
- Skąd on mógł wiedzieć, że pieniądze zginęły?
- Ja sam, jak ostatni idiota, wszystko mu powiedziałem. Dałem się podejść jak początkujący nowicjusz. Sarn o tym nie wiedząc, wpadłem w zastawione sidła.
- No dobrze, mów dalej.
- Dalej wszystko jest już proste. Ten facet rozumował podobnie jak

członkowie bandy Strzelczyka, że skarb ukryty został przy Wilczej. Zjawił się tam i w piwnicy zastał Andrzeja Doberskiego, kiedy ten spod stosu rupieci wyciągał walizkę. Wtedy ten człowiek bez namysłu strzelił do bandyty, zabijając go na miejscu.

- Przecież musiał widzieć, że to nie brązowa walizka.

• Nie jestem tego taki pewien. W słabym świetle palącej się na korytarzu żarówki zakurzona walizka miała ciemny kolor. Zresztą dla tego, co strzelał, była ona tak samo ważna jak pieniądze. Granatowa walizka z jej zawartością także nie mogła wpaść w ręce milicji.

- Dlaczego?

- Bo dla tego człowieka oznaczało to koniec kariery. Proces nie o zabójstwo, lecz o poważne nadużycia. Długoletnie więzienie, przepadek mienia.

- Doberski na pewno nie zabrałby ze sobą tej walizy.

• Tak, ale sprawdziliby jej zawartość i do końca życia miałby w swoim ręku jej właściciela. Mógłby go wycisnąć jak cytrynę. Zabójca znał swoją ofiarę lub jej nie znał, nie wątpił jednak, z kim ma do czynienia, czego ten człowiek szuka oraz że trudno liczyć będzie na jego wspinałomyślność i bezinteresowne milczenie. Dlatego po dokonaniu morderstwa z takim wysiłkiem holował aż do taksówki tę ciężką, granatową walizkę.

- Coś mi zaczyna - świtać - Niemiroch z największą uwagą słuchał majora” - Ale jak wytłumaczysz śmierć Rodzińskiej?

• Zabójca Doberskiego zapewne nie wiedział, jak się dalej potoczyły wypadki. Jednakże zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później, ktoś znajdzie w piwnicy trupa. Milicja zacznie przesłuchiwać byłą żonę Strzelczyka. Ona może się nieopatrznie wygadać, że i inni ludzie korzystali z jej piwnicy. Musiała przecież znać choć pobieżnie interesy swojego męża i jego współników. Tu, przyznaję, znowu popełniłem błąd. Trzeba było zatrzymać tę kobietę przynajmniej na czterdzieści osiem godzin i poddać ją bardziej szczegółowemu przesłuchaniu.

- Albo się z nią może przespać i także dowiedzieć się tego, o co ci chodziło.

• Widzę, że pułkownik wprowadza nowe metody śledcze. Żałuję, że nie wiedziałem o tym przedtem.

• Dobrze, dobrze. Powiedz mi, jak tłumaczysz wizytę Strzelczyka na Wilczej wieczorem w dniu napadu? Według twojej teorii pieniędzy tam nie zostawił.

- Strzelczyk również przypuszczał, że wykiwani przez niego koledzy będą

się starali zawładnąć skarbem. W tych poszukiwaniach nie ominą i piwnicy przy Wilczej. Na pewno miał tam coś, co chciał ukryć przed oczyma kompanów. Kazimierz nie bał się, że go zadenuncjują, nie przypuszczał, że będą go usiłovali pozbawić życia, ale spodziewał się, że zanim dojdzie do ugody między wspólnikami, oni sami spróbują odzyskać walizkę ze skarbem, Dlatego uważał schowek w domu byłej żony za niepewny, bo Lipień go znał.

- A zabójstwo Lipienia?

- To już bezsporne. Zastrzelił go ostatni z, pozostałych przy życiu członków bandy.

- A więc?

• Znam jednego z morderców. Mógłbym go natych miast aresztować, ale żadnej zbrodni nie mogę mu doświadczyć. Najwyżej po długotrwałym badaniu sprawy udo wodniłbym mu poważne nadużycia. To za mało. A poza tym pozostał jeszcze „wysoki” i walizka pełna banknotami. Na upartego potrafiłbym już dzisiaj ją znaleźć. Wiem gdzie się znajduje, ale jej nie ruszę. To teraz moja pułapka.

- Co zamierzasz robić?

- Otoczę troskliwą opieką tego człowieka. Będę kontrolował każdy jego krok. On ma większe niż „wysoki” szanse, odnalezienia skarbu. Doskonale znał przywódcę bandy, jego zwyczaje i łatwiej się domyśli, gdzie są ukryte pieniądze. Muszę go złapać in flagranti z walizką i z pistoletem w kieszeni. Ta broń to jedyny dowód że jej posiadacz jest zabójcą Doberskiego. Ani prokurator, ani sąd nie mogą opierać się wyłącznie na zeznaniach młodocianych świadków, choćby go palcem wskazali.

- A „wysoki”?

• Ci ludzie muszą się spotkać, bo będą szli tym samym tropem. Jeżeli „wysoki” wcześniej zawładnie skarbem, wtedy zabójca Doberskiego doprowadzi nas do niego. A jeżeli będzie przeciwnie, zobaczymy czwartego członka bandy przy próbie odbicia skarbu.

- Zdaje się, Januszk, że tym razem trafiłeś w dziesiątkę - pochwalił pułkownik. - Ale znowu zabierzesz mi najlepszych ludzi do tej roboty.

- Nie na długo. Tamtym też pilno. Wiedzą, że i my szukamy tych milionów. Muszą się śpieszyć, abyśmy ich nie ubiegli. Sądę, że w ciągu paru dni, najdalej tygodnia, sprawa będzie wyjaśniona.

- Cóż robić, muszę się zgodzić. Bierz się do roboty. Tylko uważaj. Tamci

dwaj mają broń i niewiele do stracenia. Nie chodzi mi naturalnie o ciebie, bo złego i tak lichy nie weźmie, lecz o moich ludzi. Żadnego niepotrzebnego ryzyka.

- Niech pułkownik będzie spokojny. Sam wszystkiego dopilnuję i będę działał przez zaskoczenie.

Major Kaczanowski postanowił w ten sposób zorganizować śledzenie przestępcy, aby wywiadowcy jak najmniej za nim „chodzili”. Wiedział, że jego przeciwnik jest sprytny i przebiegły, a jednocześnie nie ma już nic do stracenia. Jeżeli ten mężczyzna poweźmie choć najmniejsze podejrzenie, że jest inwigilowany, nie da się złapać na gorącym uczynku. A wtedy nie będzie mu można dowieść dwóch zabójstw. A mogą być nawet trudności z udowodnieniem nadużyć gospodarczych, o które oficer milicji go podejrzewał.

Ponieważ Kaczanowski przewidywał, gdzie nastąpi finał rozgrywki, przeto jeden z jego ludzi obserwował mieszkanie przestępcy, drugi miejsce jego pracy, trzeciego umieścił w pobliżu schowka walizki z milionami. Trzej ludzie dyżurowali w samochodzie, aby jechać lub iść śladami mordercy. Auto zmieniano codziennie lub nawet dwa razy dziennie. Poza tym do pomocy był zawsze radiowóz. Krótkofalówki zapewniały łączność wywiadowców pomiędzy sobą i majorem.

Kiedy oficer milicji przedstawił swój plan, zwierzchnik jęknął:

- Zabierasz mi dziesięciu ludzi i dwa samochody. Co ja z tobą mam!

Jednakże pułkownik Niemirowicz doskonale rozumiał, że ta ostrożność jest konieczna. Bez dyskusji zaakceptował plan majora.

Rozpoczęło się wielkie polowanie.

## **ROZDZIAŁ XVI**

### **Walizka pełna skarbów**

Od śmierci Zygmunta Lipienia upłynęły dwa dni. Nigdzie jednak, ani w prasie, ani w radio i w telewizji nie ukazała się wzmianka o tragedii przy ulicy Karmelickiej. Pomimo to Tadeusz Majewski doskonale wiedział, że milicja już wykryła zbrodnię. Fakt, że tym razem tego nie opublikowano, zabójca tłumaczył na swoją korzyść. Nie znaleziono żadnych śladów, MO nawet nie domyśla się, gdzie szukać sprawcy. A ponieważ ostatnio na koncie władz bezpieczeństwa publicznego zebrało się kilka nie wykrytych zabójstw i wielki napad na bank, Komenda Stołeczna nie chce ujawnić, że to konto powiększyło się o nową zbrodnię, która również nie ma

szans, Tadeusz w to nie wątpił, przysporzenia milicji sukcesów.

Można więc spokojnie przystąpić do poszukiwania czterech milionów ukrytych przez Strzelczyka. Trzeba to zrobić możliwie szybko, bo przecież inni także łamią sobie głowy nad rozwiązaniem tej samej zagadki. Pod słowem „inni” Majewski miał na myśli nie tyle milicję, co nieznanego konkurenta - zabójcę Doberskiego i Rodzińskiej.

Ostatni z pozostałych przy życiu uczestników skoku na bank w Łowiczu po trosze domyślał się, kim jest ten człowiek. Przypuszczał także, że zna go osobiście. Wiedział, że dla zdobycia czterech milionów tamten nie cofnie się przed niczym. Będzie ryzykował nie tylko cudzym, ale i własnym życiem. Dla niego, jak i dla Kazika, pieniądź był celem życia. Zresztą podobnie jak i dla Tadeusza Majewskiego oraz tych członków przestępczej grupy, którzy w walce o miliony zostali już wyeliminowani. Każdy z nich, nawet Zygmunt Lipień, nie zawahałby się przed użyciem pistoletu przeciwko innemu amatorowi milionów.

Trzeba zatem być szybkim, ale i ostrożnym.

Gdzie może być ta walizka? Gdzie ją Kazimierz Strzelczyk schował?

Nigdy nie była na Wilczej. O tym schowku wiedziało kilka osób. Przywódca bandy nie popełniłby takiego głupstwa. Kryjówkę przygotował wcześniej i dobrze ją zamaskował. Musiała znajdować się albo w pobliżu, miejsca pracy Strzelczyka, albo jego mieszkania. To bowiem pozwalało czuwać nad skarbem i mieć do niego łatwy dostęp.

Przy ulicy Marymonckiej, ani w warsztacie samochodowym Jankowskiego, ani w pobliżu warsztatu, walizki nie było. Szukali jej przecież we trójkę, a później znacznie bardziej dokładną rewizję przeprowadziła milicja. Zresztą warsztat i domek właściciela otaczało pustkowie, a schowek miał zamknięcie. Świadczył o tym najlepiej klucz na kółku znalezionym w kieszeni zmarłego.

Pozostaje dom przy Solcu. Gdzieś tam znajdują się te banknoty. Ale gdzie?

W mieszkaniu nie było żadnej skrytki. Lokatorzy kawalerek nie posiadali piwnic. Zresztą Strzelczyk był zbyt rozważny, aby cztery miliony złotych trzymać we własnej piwnicy. Pozostawał strych i piwnica... ale cudza. Dlaczego Kazimierz nie miałby na Solcu powtórzyć numeru z ulicy Wilczej? Wynająć od kogoś ze współlokatorów jego piwnicę albo jeszcze lepiej, nie wynajmować, a bez wiedzy właściciela dopasować do niej klucz i urządzić tam przemyślnie zamaskowaną skrytkę.



Tadeusz Majewski postanowił przekonać się o tym na miejscu. Będąc wyższym urzędnikiem stołecznych wodociągów, nie miał najmniejszych trudności ze sprokurowaniem dla siebie zaświadczenia, upoważniającego go do kontroli sieci wodociągowej na terenie Powiśla. Sam wystukał na firmowym papierze odpowiednią treść, sam przyłożył pieczęć i sam opatrzył podpisem ten dokument. Zdobicie ciemnoniebieskiego kombinezonu nie przedstawiało problemu. Do tego „żabka” w kieszeni bluzy i wielki francuski klucz w ręku, a można spokojnie brać się do roboty.

Przestępca nie lekcewał milicji. Liczył się z tym, że mieszkanie Strzelczyka jest pod stałą obserwacją. Toteż długo kluczył, zanim znalazł się w domu przy Solcu, gdzie miał swoją kawalerkę przywódca bandy. Najpierw Majewski pokręcił się trochę po ulicy. Nie zauważył wprawdzie niczego podejrzanego, ale mimo to skierował się do kamienicy stojącej naprzeciwko interesującego go bloku. Tam wylegitymował się dozorcę, rozpytywał, czy urządzenia wodociągowe funkcjonują prawidłowo, kazał się zaprowadzić do piwnicy, sprawdzał wodomierz. Był fachowcem w tej dziedzinie i zachowywał się tak, jak powinien to robić prawdziwy hydraulik. Nie wzbudził najmniejszego podejrzenia.

Z kolei Tadeusz dokonał inspekcji budynku stojącego tuż koło gmachu spółdzielni mieszkaniowej. Tutaj zabawił nieco dłużej. W tym domu także mógł być ukryty skarb. Dokładnie obejrzał boksy piwniczne. Badał wiszące na drzwiach kłódki. Bardzo żałował, że nie ma tego kluczyka z kółka. Wprawdzie pamiętał jego kształt i domyślał się” do jakiego rodzaju kłódek te klucze służą, jak jednak wśród tylu zamków rozpoznać ten najwłaściwszy? W tej kamienicy nie miał zresztą do rozstrzygnięcia zbyt wielu wątpliwości. Budynek stawiano jeszcze przed pierwszą wojną światową. Większość solidnych drzwi piwnicznych zaopatrzona była w zamki wewnętrzne, otwierane zwykłymi kluczami. Jedynie gdzieśgdzie założono skoble i powieszono kłódki.

Tadeusz Majewski uplanował, że w domu Strzelczyka i w kilku przyległych kamienicach wytypuje piwnicę zamykaną na ten rodzaj kłódek, do których mógłby pasować kluczyk Kazimierza. Potem uzbrojony w odpowiednie zaświadczenie poprosi właścicieli piwnic o otwarcie ich i pod pozorem sprawdzania, czy tamtędy przechodzą przewody wodociągowe lub kanalizacyjne, będzie mógł nawet w obecności lokatorów dokładniej spenetrować pomieszczenia. Oczywiście tak dyskretnie, aby nikt nie powziął jakichś podejrzeń i nie spostrzegł ukrytej walizki z milionami. Niech ją tylko znajdzie! Już jego głowa w tym, aby zabrać ją stamtąd bez

wiedzy właściciel la piwnicy.

Zupełnie spokojny, Majewski wszedł do budynku spółdzielni, której członkiem i lokatorem zarazem był Kazimierz Strzelczyk. Odnalazł dozorcę, pokazał mu zaświadczenie i pogadał na temat funkcjonowania wodociągów. Wysłuchał skarg, obiecał coś na to poradzić, a następnie polecił zawieźć się na strych, rzekomo w celu obejrzenia zbiornika, wyrównawczego.

Strych, jak zwykle w nowoczesnych domach, był niski, bo dachy teraz są płaskie. W najwyższym miejscu miał najwyżej metr dwadzieścia. Wchodziło się nań po metalowej drabinie przymocowanej pionowo do ściany. Tylko przez kwadratową klapę można było dostać się do wewnątrz.

- Po co mamy tam obaj włązić - zauważył rzekomy hydraulik. - Ja muszę. Niech pan na mnie zaczeka.

- Ja zjadę na dół i jak pan będzie wracał, to mi odda klucz - zaproponował dozorca, któremu wcale nie uśmiechało się zarówno pełzanie po strychu, jak i wyczekiwanie na najwyższym podejściu schodów.

- Doskonale - zgodził się Majewski i wszedł na strych.

Kiedy usłyszał, że gospodarz domu zjeżdża windą na dół, wyjął latarkę elektryczną i metr po metrze zaczął dokładnie penetrować całą powierzchnię. Szukał również tam, gdzie dach oddalony był od podłogi najwyżej o trzydzieści centymetrów. Jak się zresztą spodziewał, niczego tu nie znalazł. Dojście na ostatnie piętro i potem wdrapywanie się po drabinie jeszcze wyżej zbyt mogłoby zwrócić uwagę mieszkańców domu, żeby Kazimierz Strzelczyk zaryzykował umieszczenie swojego skarbu aż na strychu. Trzeba więc oczyścić zakurzony kombinezon, zejść na dół i spróbować szczęścia w piwnicy.

Gdyby przeprowadzający rewizję na strychu Tadeusz Majewski miał radiotelefon nastawiony na pewną długość fali, usłyszałby następującą rozmowę:

- Tu Jedyńka do Trójki i do Ojca. Tu Jedyńka do Trójki i do Ojca. „X” wyszedł z budynku i zbliża się do swojego samochodu. Odbiór.

- Tu Trójka. Zrozumiałem. Jestem gotowy.

- Tu Ojciec. Zrozumiałem. Trójka jechać za „X”, być w kontakcie z radiowozem. Odbiór.

- Tu Trójka. Zrozumiałem. Jadę za „X”. Odbiór.

- Ojciec do Trójki. Podawać trasę przejazdu „X”, Odbiór.

- Zrozumiałem. Skręcamy w Żwirki i Wigury w stronę miasta. Odbiór.
- Tu Ojciec. Słyszę was dobrze.
  - Tu Trójka. Jedziemy Żwirki i Wigury. Zbliżamy się do ronda na Raszyńskiej. Przejeżdżamy rondo, jedziemy Raszyńską. Skręcamy w Aleje Jerozolimskie. Odbiór.
    - Zrozumiano. Jedziecie Alejami Jerozolimskimi.
    - Tu Trójka. Skręcamy w Marszałkowską.
    - Słyszę was dobrze.
  - Jedziemy Marszałkowską. Skręcamy w Świętokrzyską w stronę Nowego Świata. Przecinamy Nowy Świat, skręt w Kopernika, skręt w Tamkę. Jedziemy Tamką. Odbiór.
    - Tu Ojciec. Słyszę was dobrze. Jedziecie Tamką.
    - Tu Trójka. „X” skręca w ulicę Kruczkowskiego. Wykręcił wóz i zaparkował. Jedziemy dalej. Widzimy „X”. Wysiada i idzie w kierunku Tamki. Tu Piątka. Trójka i Czwórka wysiedli i poszli za „X”. Co dalej robić? Odbiór.
      - Ojciec do Piątki. Zaparkować wóz na Kruczkowskiego i czekać. Być na podsluchu.
      - Tu Trójka do Ojca. „X” wszedł do budynku na Solcu. Stara kamienica. Trudności z ustaleniem, gdzie się dalej skierował, i z łącznością. Odbiór.
        - Zrozumiano. Pilnować przed wejściem do budynku. Gdyby „X” wyszedł z walizką w rękę, zatrzymać. Działać szybko, przez zaskoczenie. „X” może mieć broń. Odbiór.
        - Zrozumiano. Pilnujemy domu. Zatrzymamy. Odbiór.
      - Słyszę was dobrze.
      - Tu Dwójka do Ojca. Ja też zauważyłem „X”. Wszedł do sąsiedniego budynku obok tego, gdzie mieszkał Strzelczyk. Odbiór.
        - Tu Ojciec. Zrozumiano. Nadal wszystko obserwować. Jeżeli zajdzie potrzeba, udzielić pomocy Trójce i Czwórcie, odbiór.
        - Tu Dwójka. Zrozumiano.
        - Tu Rybitwa. Jestem w rejonie ulic: Dobra, Tamka, Solec. Proszę o instrukcje.
        - Tu Ojciec do Rybitwy. Krążyć w tym rejonie. W razie potrzeby udzielić pomocy pozostałym.

- Słyszałem was dobrze. Jestem na podsłuchu. Krążę we wskazanym rejonie.

Tadeusz Majewski nie słyszał tej rozmowy. Ale kiedy zszedł na dół i szukał dozorecy, aby mu oddać klucz od strychu i poinformować, że udaje się na dalszą inspekcję urządzeń wodociągowych do sutereny, spostrzegł pewnego człowieka idącego przez podwórze. Teraz już był pewny, że jego hipoteza okazała się prawdziwa.

Dawniej podwórza domów na Solcu były od siebie odgródzone albo oficynami, albo wysokimi murami. Teraz przy tej ulicy zostało kilka przedwojennych kamienic. Reszta to nowoczesne gmachy spółdzielni. Wypalone domy lub chylące się do upadku oficyny rozebrano i na tym terenie założono trawniki obsadzone różami. Tym wielkim podwórzem-ogrodem można obejść wszystkie budynki aż do ulicy Jaracza, a także wyjść i na ulicę Kruczkowskiego. Ale o tym wywiadowcy majora Kaczanowskiego nie wiedzieli.

Ostatni członek przestępczej grupy dobrze znał człowieka idącego przez podwórze. Wiedział, czego on tu szuka. Żeby nie zostać poznany, Tadeusz odwrócił się tyłem i ze swoim „francuzem” w rękę zajął się badaniem hydrantu przeciwpożarowego. Idący nie zwrócił żadnej uwagi na hydraulika. Wszedł na klatkę schodową, a upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, zszedł do piwnic.

- Co teraz robić? - zastanawiał się Tadeusz. - Zejść za nim do sutereny i załatwić go tak, jak on Andrzeja Doberskiego? To byłby doskonały kawał.

Po błyskawicznym namyśle Majewski zrezygnował z tego planu. Nie grały roli opory moralne. Tamten zasłużył na śmierć. Choćby dlatego, że zastrzelił Doberskiego i później zamordował niewinną kobietę, Jadwigę Rodzińską. Ale zabójca działał późnym wieczorem, kiedy na ulicy i w samym budynku ruch był minimalny. A teraz dochodziła godzina druga po południu. Na Solcu byłoj ludno. Po podwórzu kręciło się sporo osób. Poza tym dozorca wiedział o rzekomym hydrauliku. W razie dochodzenia wspomnieliby o nim milicji. Ta zaś bez trudu ustaliłaby, że tego dnia nie przeprowadzano w tym rejonie żadnej kontroli instalacji wodociągowych. Takiego śladu milicjanci już by nie wypuścili z rąk. Prędzej czy później Tadeusz usłyszałby sakramentalne „pan pójdzie z nami”.

Trzeba zaczekać i odebrać łobuzowi skradzione przez niego pieniądze przy lepszej sposobności.

Majewski wyszedł na ulicę Solec. Domyślał się, że amator walizki z milionami przyjechał tu swoim wozem. Tadeusz znał dobrze ten samochód.

Kazimierz Strzelczyk

dość często nim się posługiwał. Ale auta na Solcu nie było. Rzekomy hydraulik sprawdził na ulicy Dobrej i na Tamce. Tam także nie znalazł wozu. Dopiero na ulicy Kruczkowskiego tuż przy nowym budynku szkoły zauważył poszukiwany pojazd.

To był szczęśliwy traf. Tadeusz zaparkował swoją syrenę zaledwie dziesięć metrów dalej. I to w tym samym kierunku, w stronę Tamki. Wsiadł do samochodu. Postanowił tutaj czekać na mężczyznę z piwnicy. Jeżeli on odnajdzie walizkę, trzeba jechać za nim i podjąć próbę odebrania mu pieniędzy. Właściwie dobrze, że nie ma już do nich współników. Za cztery miliony złotych można sobie przyjemnie urządzić życie. W Polsce lub gdzie indziej. Raczej, żeby mieć spokój, gdzie indziej. Jest tyle pięknych miejsc na świecie. Choćby Ameryka Południowa. Inżynier-hydraulik wszędzie znajdzie pracę albo założy własną firmę. Będzie przecież rozporządzał pewnym kapitałem zakładowym.

A tymczasem w eterze krzyżowały się różne rozmowy.

- Tu Rybitwa, Tu Rybitwa. Do Ojca. Krążyć ciągle w wyznaczonym rejonie. Samochód „X” stale parkuje na Kruczkowskiego. Odbiór.
  - Słyszę cię dobrze, słyszę cię dobrze. Rybitwa nadal patrolować rejon.
  - Tu Dwójka do Ojca. Pilnuję kamienicy Strzelczyka. Wszystko w porządku. „X” nie wyszedł z sąsiedniego domu.
  - Tu Piątka do Ojca. Siedzę w samochodzie na Kruczkowskiego. Wóz „X” jest obok. Radiowóz regularnie tędy przejeżdża.
  - Tu Trójka i Czwórka. Pilnujemy bramy, do której wszedł „X”.
- Ojciec do wszystkich. Nadal uważać i wykonać poprzednie instrukcje.

A tymczasem ten, na którego tak czekano na Solcu, wyszedł z piwnicy z walizką w rękę, wszedł na pierwsze piętro i chwilę obserwował rozległe podwórce. Panował na nim normalny ruch. Tuż obok rozciągało się szkolne boisko. Furtka prowadząca od strony Solca do szkoły była otwarta. To dla wygody uczniów mieszkających przy Solcu, Dobrej i Wybrzeżu Kościuszkowskim. Mężczyzna pamiętał, że brama frontowa szkoły wychodzi na ulicę Kruczkowskiego, a tuż za tą bramą stał jego samochód. Posesję szkoły z dwóch stron: od Solca i od Kruczkowskiego, ogrodzono siatką. Natomiast inne ściany tego kwadratu stanowił mur. Miało to dla człowieka z walizką tę dodatkową zaletę, że kiedy znajdzie się na terenie szkoły, stanie się już niewidoczny dla ludzi z podwórka.

Spojrzenie na prawo i na lewo, a potem szybka decyzja: teraz! Mężczyzna wyszedł z klatki schodowej na podwórze i możliwie prędko, ale nie biegiem, doszedł do furtki szkolnej posesji. Później zakrył go mur. Idący miał absolutną pewność, że nikt go nie śledzi, ale niosąc w ręku cztery miliony złotych nie można być zbyt ostrożnym.

Przeszedł przez teren szkoły. Wyszedł na ulicę Kruczkowskiego. Do wozu kilka kroków, a drzwi auta przezornie nie zamknięte na kluczyk. Wrzucił walizkę na siedzenie obok kierownicy i ruszył. Samochód skręcił w Tamkę, w stronę Wisły.

Prawie jednocześnie z tym wartburgiem ruszyła także syrena.. - Tu Piątka, tu Piątka - rozległo się w eterze. -

„X” wraz z walizką wsiadł do samochodu i odjechał. Ruszam za nim.

- A niech was cholera! - łatwo się było domyślić, że to Ojciec tak chwali swoje dzieci, które dały się wykiwać w szpetny sposób, i pozwoliły uciec przestępcy.

Za chwilę ten sam głos, ale już spokojny, wydawał nowe polecenia.

- Tu Ojciec, Piątka jechać za „X” i stale podawać swoją trasę. Rybitwa na podsłuchu Piątki i podąża za nim. Ale bez włączania syreny. Zrozumiano? Odbiór.

- Tu Piątka. Tu Piątka. Jadę za „X”. Skręcił z Tamki na Wybrzeże Kościuszkowskie w stronę Mostu Poniatowskiego.

- Tu Rybitwa. Ruszam za Piątką. Cisza w eterze panowała krótko.

- Tu Piątka. Tu Piątka - informował kierowca milicyjnego auta. - Jadę za „X”. Chyba nie zauważony, bo dzieli nas parę samochodów. Nie tracę go z oczu. Wjeżdżamy ślimakiem na Most Poniatowskiego. Jedziemy przez Wisłę.

- Tu Rybitwa. Jadę w podanym przez Piątkę kierunku. Wjeżdżam na ślimak. Czy można włączyć sygnał, żeby mieć pierwszeństwo wjazdu na most? Musiałbym długo czekać.

- Włączyć! Ale tylko na chwilę.

- Tu Piątka. Dojeżdżamy do ronda na Saskiej Kępie. Jedziemy dalej ulicą Waszyngtona. „X” wyprzedził mnie dość znacznie, bo musiałem stać pod światłami. Nie straciłem jednak widoczności.

- Jadę ulicą Waszyngtona za Piątką. Widzę Piątkę. Nie widzę „X” - meldowała Rybitwa.

W środku pomiędzy wartburgiem człowieka z walizką a samochodami MO jechał Majewski swoją syrenką. Nawet nie bardzo uważał na tego, którego śledził.

Kiedy wartburg skręcił na Most Poniatowskiego, Tadeusz wiedział, dokąd jadą. Był tak tego pewien, że dojeżdżając do ulicy Międzynarodowej wyrzucił strzałkę w prawo i skręcił. Przejechał kilkaset metrów i znowu skręcił, tym razem w lewo. Dojechał do terenów ogrodów działkowych, zaparkował przy otwartej bramie, wysiadł i wszedł do środka. Znał drogę. Nieraz był tu z Kazimierzem Strzelczykiem. Chociaż pan z milionami pojechał dalej, Majewski wiedział, że przed kanałem jest inny, wygodniejszy zjazd na teren ogrodów. Tamta uliczka była na prawie całej długości wyasfaltowana. Tutaj nie było nawet zwykłego bruku, lecz tędy było bliżej do celu. Dobrze będzie obserwować właściciela wartburga, zanim dotrze do swojej działki. Może zresztą zechce on ukryć skarb gdzieś w sąsiedztwie? Ale teraz już żaden kawał mu się nie uda. Niedługo pożegna się ze skradzionymi milionami. One należą do tego, kto na nie zapracował.

- Tu Piątka - meldował kolejno wywiadowca MO. - Widzę „X”. Skręca w stronę ogrodów działkowych. Wjechał do środka. Przejechałem trochę dalej i zatrzymałem się. Podniosłem maskę, niby coś mi w silniku nawaliło. Widzę, że „X” zamknął za sobą bramę ogrodów działkowych i pojechał w głąb. Straciłem widoczność.

- Tu Rybitwa. Jestem przy Piątce. Prosimy o instrukcje.

- Tu Ojciec. Do Piątki i do Rybitwy. Pilnować bramy. Gdyby „X”

wyjeżdżał, doprowadzić do lekkiej kraksy, a wysiadającego z samochodu natychmiast obezwładnić. Pamiętać, że on ma broń. Zaraz tam przyjeżdżam. Zrozumiano? Odbiór.

- Rybitwa do Ojca. Słyszeliśmy dobrze. Zrobimy kraksę.

Major Janusz Kaczanowski, on to bowiem był Ojcem, wyskoczył prawie biegiem z pokoju operacyjnego, gdzie odbierano meldunki. Wydawał polecenia.

- Dwa radiowozy najbliższe ulicy Waszyngtona podjechać do wejścia do ogrodów działkowych. Dla mnie wóz z czterema ludźmi.

Wkrótce oficer milicji już pędził w stronę Saskiej Kępy. Tym razem syrena i migacz były włączone. Przez Marszałkowską przelecieli jak wicher. Rondo objechali lewą stroną, a skrzyżowanie Nowego Świata i Alej Jerozolimskich przejechali po torach tramwajowych.

Majewski wybrał sobie doskonały punkt obserwacyjny za werandą na sąsiedniej działce. Nie omylił się. Podjechał tu wartburg. Kierowca wysiadł i z walizką w ręku skierował się do swojego letniego domu, pięknie obsadzonego wieloma gatunkami róż. Był to w porównaniu z innymi prawie luksusowy budynek, z

składający się z dwóch pomieszczeń.

Teraz Tadeusz przypomniał sobie dawne czasy. Wakacje spędzane na obozach harcerskich. Podchody i tropienie śladów. Ostrożnie, to skradając się prawie na leżący, to podbiegając po parę kroków, zbliżył się do domku. Zajrzał przez okno. Hodowca róz położył walizkę na stole i otworzył ją. Sycił swój wzrok widokiem paczek z banknotami ułożonymi w równych rzędkach. Nareszcie dopiął celu, dla którego poświęcił wszystko, nawet życie dwojga ludzi.

Jak tokujący głuszec nic nie słyszy, tak człowiek nad walizką pełną banknotów również nie słyszał po cichu otwieranych drzwi. Otrzeźwił go dopiero głos:

- Dzień dobry panu. Cieszę się, że znowu się spotykamy. To bardzo miłe z pana strony,” że wyjął pan tę walizkę z piwnicy na Solcu. Ale niepotrzebnie pan tak się fatygował. Uwolnię pana od tych kłopotów.

Mężczyzna za stołem podniósł głowę. Zobaczył robotnika w ciemnoniebieskim kombinezonie z pistoletem w ręku. Chciał zrobić ruch, lecz usłyszał słowa wypowiedziane po cichu, ale zdecydowanie:

- Rączki grzecznie na kark. Stanać pod ścianą. Sterroryzowany spełnił rozkaz. Wieko walizki nie pod trzymywane rękami zamknęło się.

- To pan - powiedział siląc się na zachowanie spokoju. - Mogłem się tego spodziewać. Trudno, zaskoczył mnie pan, przegrałem.
- Ja także nie łudziłem się, kto przyjdzie na Solec po walizkę. Czekałem na to.
- Przyznaję, podszedł mnie pan. Nie poznałem pana, chociaż widziałem kombinezon na podwórzu. Nie powinienem był tego lekceważyć. Proponuję, żebyśmy się podzielili. Tam starczy i dla dwóch.
- Był czas, kiedy przyjąłbym tę propozycję. Teraz na to za późno. To są moje pieniądze. Ja je zdobyłem.
- Trudno. Wobec argumentów, jakie pan ma w ręku, muszę się zgodzić. Ale tam są także i moje pieniądze. Dolary w szarej kopercie. Zarobiliśmy je wspólnie z Kazimierzem. Myślę, że mi je pan jednak odda.
- Handlując kradzionymi aparatami pomiarowymi.
- Banknotów z walizki także wam wujaszek z Ameryki nie przysłał.
- Ile tych dolarów?



- Powinno być ponad trzy tysiące. Chyba że Kazik coś z nich wydał. Ale nic o tym nie wiem. Jest tam też trochę marek zachodnioniemieckich i franki szwajcarskie. Wszystko w osobnej kopercie, na samym wierzchu walizki.

Majewski nie wypuszczając pistoletu - z prawej ręki... podszedł do stołu i podniósł wieko. Rzeczywiście, na samym wierzchu leżała duża, szara koperta dość obficie wypełniona. Tadeusz wziął ją w lewą rękę i żeby otworzyć, musiał dopomóc sobie i prawą. Wprawdzie pistoletu z dłoni nie wypuścił, ale skierował wzrok wyłącznie na trzymany pakiet.

To był błąd. Majewski zrozumiał to w momencie, kiedy w szparze koperty ujrzał jasną zieleń banknotów dolarowych. Rzucił kopertę i usiłował skierować lufę pistoletu we właściwą stronę. Spóźnił się o sekundę. Huknął strzał. Tadeusz poczuł silne uderzenie w pierś, a potem ogarnęła go ciemność.

Mężczyzna pod ścianą śmiał się bezgłośnie.

Schował pistolet do kieszeni i nie zważając na leżącego na podłodze człowieka w kombinezonie podbiegł do walizki. Szybkim ruchem zamknął ją na oba zamki.

- Dobrze ci tak, kanalio - mruknął spoglądając na drgające na podłodze ciało. - Chciałeś mnie zastrzelić, teraz użyźnisz mój ogród.

Odruchowo spojrzął przez okno. Zobaczył dość daleko idących ludzi. Na przedzie szedł człowiek w jasnym płaszczu. Rozglądał się uważnie, jak gdyby czegoś szukał. Nieco z tyłu posuwał się w tym samym kierunku umundurowany milicjant.

Hodowca róz znał człowieka w jasnym płaszczu. Wiedział, że jest oficerem milicji. Wiedział, czego i kogo on tu szuka. Na szczęście wartburg stał z drugiej strony

domku i na razie nie był widoczny dla obu zbliżających się.

Nie było chwili do stracenia. Mężczyzna chwycił cenną walizę i wybiegł z domku. Wskoczył do samochodu. Silnik natychmiast zapalił. Nacisnął gaz, wóz skoczył do przodu. Ostry zakręt wprawo i auto gnało do bramy wyjazdowej. Ale nie tej od strony kanału. Stamtąd przecież szła milicja. W stronę tej drugiej, od ulicy Międzynarodowej.

- Chyba będzie otwarta - pocieszał się kierowca wartburga. - Może tam nie ma zasadzki? W razie czego będę się przebijał.

I tym razem sprzyjało mu szczęście. Bramę zastał otwartą. Bez przeszkód dotarł do Międzynarodowej. Przeleciał przez nią i skręcił w lewo. W ulicę

Waszyngtona. Jechał z powrotem w stronę Warszawy.

## ROZDZIAŁ XVII

### Ostatni strzał

Major Janusz Kaczanowski w biegu wyskoczył z samochodu. Wóz Piątka stał na Waszyngtona. Rybitwa umieściła się tuż przy bramie, ukryta za żywopłotem.

- Bez zmian, panie majorze - meldował starszy sierżant, dowódca radiowozu. - Ten drań zamknął bramę na kłódkę. Nie mogliśmy za nim dalej jechać.

Na bramie rzeczywiście wisiała potężna kłódka. Widocznie wszyscy działkowcy mieli swoje klucze. Natomiast znajdująca się obok furtka była otwarta. Oficer milicji zajrzał do środka. Tutaj biegła prosta, dość długa ulica porządnie wyasfaltowana. Od niej odchodziły mniejsze drogi. Na działkach stały domki, sklecone przez właścicieli poletek. Był październik i godzina, kiedy ludzie są zajęci w fabrykach i w biurach. Do ogrodów działkowych mało kto o tej porze zaglądał.

- Znajdziemy go, obywatelu majorze - wtrącił starszy sierżant. - Cały teren jest ogrodzony, a samochód nie szpilka, nie schowa go.

Nadjechał następny radiowóz, a za nim drugi.

- Koledzy z obu radiowozów - Kaczanowski kierował akcją - niech obstawią na zewnątrz cały teren ogrodów. Rybitwa i Piątka pozostają na swoich miejscach.

Mają być do mojej dyspozycji i uważać na tę bramę. Ja z moimi ludźmi wchodzę na teren. Rozstawimy się szeroko, ale nie tracąc wzajemnej widoczności przeczeszemy ogrody. Zwracać uwagę na popielatego wartburga numer WW-9978. Broń mieć w pogotowiu. Są pytania?

- Gdyby uciekał, co robić?
- Po ostrzeżeniu strzelać. Według regulaminu. Najpierw w górę, potem w nogi.
- To my, majorze - zaproponował dowódca jednego z radiowozów - obstawimy tamtą stronę ogrodów działkowych. Od Międzynarodowej.
- Dobrze, jedźcie.

Major przekroczył furtkę. Szedł dość szybko, ale ostrożnie. Rozglądał się. Z czwórki umundurowanych milicjantów dwóch od razu skręciło w lewo, pozostali w przeciwnym kierunku. Na swoich ludziach Kaczanowski mógł polegać jak na sobie samym. Nieraz już wspólnie przeżywali różne chwile. Dobre i złe. Także i takie,

gdzie odwaga i zdecydowanie jednego ratowały życie drugiemu.

Oficer milicji przeszedł ze sześćdziesiąt metrów. Nagle gdzieś na prawo od siebie, ale niezbyt daleko, usłyszał cichy odgłos. Jak gdyby ktoś zgniótl pustą torbę nadmuchawszy do niej przedtem powietrza. Kaczanowski znał taki stuk. To wystrzelono z pistoletu w zamkniętym pomieszczeniu. Major skręcił w poprzeczną uliczkę. Dobiegł do ścieżki równoległej z asfaltowaną drogą. To musiało być gdzieś tutaj. Jeden z sierżantów także usłyszał znajomy odgłos i teraz znalazł się z piętnaście metrów z tyłu za majorem.

Teraz Kaczanowski zwolnił i posuwając się naprzód badał wzrokiem mijane działki. Z daleka widział stojący nieco w głębi domek, wyróżniający się wśród innych solidnym wykonaniem. Na upartego można by w nim mieszkać cały rok. Właściciel obsadził budynek piękными różami. Pomimo późniejszej jesieni, krzewy były pokryte kwiatami.

- To chyba tam - major ręką wskazał sierżantowi różany domek.

Przebyli następne kilkanaście metrów. Posuwali się naprzód coraz ostrożniej.

Nagle zza ślicznej chatki wyskoczył popielaty wartburg. Ściał - brawurowo narożnik jakiejś działki, stratował niewysokie krzewy, przejechał kawałek uliczką, na której znajdował się major, i zakręcił w prawo, ginąc z oczu ścigających. Słychać było jedynie warkot oddalającego się pojazdu.

Sierżant wyszarpnął pistolet z kabury i rzucił się pędem w kierunku, gdzie znikł samochód. Janusz Kaczanowski przeciwnie, zawrócił i w tempie stumetrówki pobiegł do bramy. Zbliżając się do niej, głośno wydawał dyspozycje:

- Rybi twa zostanie tutaj. Czekać na rozkazy! Ściągnąć tamten radiowóz! - Do radiowozu na Międzynarodowej: - Jeżeli zobaczycie popielatego wartburga, jechać za nim. Jeżeli nie, niech jadą w kierunku Wału Miedzeszyńskiego i po drodze wypytują, czy widziano taki wóz. Dać znać radiowozom patrolującym w Śródmieściu, aby natychmiast zablokowali Aleję 3 Maja przed Nowym Światem i ślimak na Wybrzeżu. Zatrzymać popielaty samochód za wszelką cenę! Ja jadę z Piątką. Mój wóz z ludźmi czeka tutaj na dyspozycje. Zrozumiano?

- Tak jest - potwierdził dowódca patrolu i zaczął przez radiotelefon powtarzać polecenia.

Janusz Kaczanowski nie tracąc czasu dopadł stojącego na Waszyngtona fiata, kierowanego przez Piątkę, i rzucił:

- Zakręcać! Jedziemy do ronda. Znowu nam łobuz uciekł. Ale tym razem go

złapiemy.

- Tu Sokół, tu Sokół - rozległo się w radiotelefonie. Widziałem popielatego wartburga, jak wyjeżdżał z ogrodów działkowych na Międzynarodową. Patrolowałem tę ulicę, ale jechałem w przeciwnym kierunku. Zawracam i będę go gonił. Teraz skręcił w Waszyngtona.

Piątka, czyli starszy sierżant Stefan Bartosik, miał pewne trudności z nagłym zawróceniem na tak ruchliwej ulicy, jaką jest Waszyngtona. Roztrąbiły się klaksony. O mało nie doszło do zderzenia z ciężarówką. Na głowę Bogu ducha, winnego kierowcy posypały się znane epitety: jak jeździsz, baranie?

- Dałbym mu barana! - mruknął starszy sierżant, kiedy się w końcu wydostali z tego galimatiasu.

Tymczasem nadszedł nowy meldunek:

- Tu Rybitwa do Ojca. Sierżant Pajęcki znalazł w domu z różami zabitego. Ubrany w kombinezon roboczy, w kieszeni miał zaświadczenie pracownika wodociągów, wystawione na nazwisko Tadeusz Majewski. Przy zabitym leżał pistolet. Prosimy o instrukcje. Odbiór.

- Słyszałem was - Kaczanowski w pośpiechu już się nie podawał za Ojca. - Niech się tym zajmą moi ludzie. Wezwać z Komendy Stołecznej ekipę techniczną. Odbiór.

- Tu Rybitwa. Zrozumieliśmy. Wzywamy ekipę techniczną.

- Widzę radiowóz przy rondzie - meldował Bartosik. - To pewnie Sokół.

Zbliżyli się do ronda. Teraz dobrze widzieli, że ktoś z radiowozu rozmawia z milicjantem pełniącym służbę na skrzyżowaniu. Potem samochód skręcił w ulicę Skaryszewską.

- Tu Sokół do Ojca - rozległ się głos w radiotelefonie. - Popielaty wartburg ucieka Skaryszewską. Gonię go. Brak widoczności.

- Stamtąd - podpowiedział kierowca fiata - może uciekać Grochowską albo skręcić w Zamojskiego i Targową. Targowa jest w przebudowie. Zamknięta dla ruchu kołowego. Objazd Kijowską i Brzeską. Nie można szybko jechać. Chyba skręci w Grochowską. Może będzie próbował zrobić koło i znowu wrócić na Waszyngtona albo urwać się w jakąś boczną ulicę.

- Szybciej, sierżancie - popędzał Kaczanowski.

Radiowóz Sokół pędził na sygnale. Mimo to fiat ciągle się do niego zbliżał.

- Ojciec do Rybitwy - rozkazywał oficer milicji. - Jechać natychmiast do Wiatracznej. Przeciąć drogę wartburgowi. Odbiór.

- Rybitwa do Ojca. Zrozumiano. Jedziemy do Wiatracznej.

Wpadli na skrzyżowanie Skaryszewskiej z Zamojskiego. Widzieli, że przed nimi radiowóz zatrzymał się na krótko i znowu z włączonymi sygnałami pojechał Grochowską.

- Mówiłem - zauważył z satysfakcją starszy sierżant - że będzie nawiewał Grochowską. Mądry facet.

- Tamci z Rybitwy zajadą mu drogę. - Nie zdążą.
- Muszą zdążyć.

Bartosik nic nie odpowiedział. Korzystając z tego, że Grochowska ma dwa, a w niektórych miejscach nawet trzy pasma, gnał z szybkością ponad sto dwadzieścia na godzinę. Właśnie wyprzedził radiowóz, który teraz jechał za nimi ciągle na sygnale.

- Posterunki drogowe MO - roześmiał się starszy sierżant - gotowe pomyśleć, że tamci z Sokoła gonią nas. Żeby nam tylko nie zablokowali drogi.

- Tu Rybitwa - rozległ się następny meldunek. - Dojeżdżamy do ronda przy Wiatracznej. Widzieliśmy z daleka popielatego wartburga. Gonimy go Grochowską.

- Dobra nasza - skomentował Bartosik. - Teraz facet nie będzie mógł skręcić w boczną ulicę. Gdyby wytracił szybkość, Rybitwa go dojdzie.

Ale przestępca uciekający wartburgiem nie miał zamiaru skręcać. Zdawał sobie sprawę z tego, że goni go Kilka lub więcej radiowozów. Liczył na przewagę szybkości, jaką miał jego samochód nad warszawami. Chciał na prostej, szerokiej szosie wykorzystać ten atut do maksimum. Znał takie miejsce, nie dojeżdżając do Garwolina, jeszcze przed Kołbielą, gdzie po zakręcie w lesie można niepostrzeżenie wjechać na boczną drogę idącą też przez las. W jego głębi znajdowało się bezpieczne schronienie, gdzie mógłby spędzić kilka dni i przygotować dalsze plany ucieczki. Tam by go nikt nie znalazł.

Człowiek w popielatym samochodzie uważał, że nie wszystko stracone. Dociskał gaz do deski i wyciągał ze swojego auta maksimum szybkości.

Major Kaczanowski również zdawał sobie sprawę z tego, że radiowozy nie mają żadnych szans osiągnięcia szybszego wartburga. Jedyne jego fiat może wchodzić w rachubę, ale znajduje się zbyt daleko od uciekającego. Ten na pewno ma

jakiś konkretny plan zgubienia pogoni. Postępowanie tego człowieka wyraźnie świadczyło, że w niebezpieczeństwie nie traci głowy. Nie ucieka więc na ślepo, dokąd oczy poniosą.

- Tu major Kaczanowski do centrali - nie było czasu na bawienie się w pseudonimy. - Natychmiast zawiadomić Komendy Powiatowe w Mińsku i w Otwocku, aby zablokowały szosy z Warszawy na Siedlce i na Garwolin. Ale jeszcze przed skrzyżowaniem z drogą Mińsk - Góra Kalwaria. Odbiór.

- Przyjęte - Janusz poznał w słuchawce głos pułkownika Adama Niemirocha. - Zaraz się z nimi połączymy. A wy się starajcie, aby wam nie uciekł. Ekipa techniczna już wysłana na teren ogrodów działkowych.

- Jeżeli polecą na Mińsk, to leży jak długi - starszy sierżant komentował rozkazy swojego przełożonego. - Ci z Mińska zawsze zdążą. Do skrzyżowania z drogą z Góry Kalwarii mają tylko dwa kilometry. Blokadę najlepiej zrobić w pobliżu fabryki noży w Stojadłach. Gorzej z tymi z Otwocka. Do szosy habelskiej mają około dziesięciu kilometrów. Mogą się spóźnić, jak nasza Rybitwa.

Obaj milicjanci z fiata zobaczyli z daleka radiowóz. Zbliżyli się do niego.

- Uwaga, Rybitwa - powiedział major. - Czy widzicie wartburga?
- Straciliśmy widoczność.
- Rybitwa, polecicie szosą na Mińsk - rozkazał Kaczanowski. - W pobliżu Mińska, pewnie w Stojadłach, będzie blokada. My jedziemy na Garwolin. Odbiór.

• Słyszemy was dobrze, widzimy was jeszcze lepiej - zażartowano z radiowozu, od którego fiat oddalony był najwyżej 200 metrów. - Lecimy na Mińsk.

- Sokół, tu Ojciec. Czy mnie słyszycie?

- Sokół do Ojca. Słyszemy majora bardzo dobrze.

- Wy, Sokół, też lecicie na Garwolin.
- Zrozumiano. Lecimy na Garwolin.

Bartosik zrównał się z radiowozem. Zaczął go wyprzedzać. Na szczęście szosa była prawie pusta. Fiat mógł rozwinąć większą szybkość.

- Jak z benzyną? - zaniepokoił się major.

- Możemy gonić nawet do Lublina - uspokoił kierowca.
- Janusz, słyszysz mnie? - pułkownik Niemiroch nie lubił tracić czasu na wywoływanie hasel radiotelefonicznych.

- Słyszę, pułkowniku.

- Rozmawiałem z Otwockiem i Mińskim. Zrobią blokadę. Ci z Otwocka na szczęście mają wóz na szosie lubelskiej. A co u was?

- Sądzę, że będzie leciał na Lublin - informował Kaczanowski. - Jadę tą drogą. Rybitwę posłałem na Mińsk.

- Tylko uważajcie, nie dajcie się postrzelić - ostrzegał pułkownik.

- Na pewno się nie damy.

Dojechali do rozdwojenia szos przy Starej Miłośnie. Bartosik tak skręcił w prawo prawie bez wyhamowania, że wóz z piskiem opon zatańczył na szosie, ale utrzymał równowagę. Kaczanowski kątem oka widział, że jadący tuż za nimi radiowóz także bez zmniejszania szybkości poleciał szosą na Mińsk.

- Leży jak neptek - stwierdził Bartosik. - Nie dałbym złamanego grosza za jego skórę. Za pół godziny najdalej będziemy go mieli.

Jechali przez pewien czas w milczeniu. Na doskonałej szosie kierowca wyciągał z fiata, ile się tylko dało.

- Uwaga, uwaga. Tu Paweł do Ojca. Czy mnie słyszycie? - otwocki radiowóz MO usiłował nawiązać łączność z majorem Kaczanowskim.

- Słyszę cię, Paweł, dobrze. Gdzie jesteście?

- Za Wiązownią. Niedaleko Wólki Mładzkiej. Na wysokim nasypie drogi zrobiliśmy za zakrętem blokadę. Droga zastawiona dwiema ciężarówkami. Daleko jesteście?

- Zbliżamy się do objazdu przy Wiązowni - uprzedził majora Bartosik, który jako kierowca lepiej znał trasę.

Wjechali na niewielkie wzniesienie. Teraz widzieli stosunkowo duży odcinek drogi.

- Mamy go, majorze - ucieszył się starszy sierżant. - Właśnie wchodzi w zakręt.

Rzeczywiście, w odległości jakichś dwóch kilometrów przed nimi widać było popielatego wartburga pędzącego po łuku, jaki tutaj tworzy droga omijająca Wiązownicę. Potem samochód znikł z oczu goniącym.

Zbliżała się decydująca chwila. Janusz Kaczanowski uwolnił się od pasa bezpieczeństwa, którym był ciasno przypięty do siedzenia, i sprawdził, czy pistolet jest załadowany.

Fiat leciał objazdem tworzącym tutaj długi, łagodny łuk, ale Bartosik ani

trochę nie zmniejszył szybkości.

- Zaraz go zobaczymy znowu - mruknął.

Wyszli na prostą. Samochód jadący przed nimi widać było coraz wyraźniej. Właśnie dojeżdżał do mostku przez jakąś rzeczkę i gwałtownie zaczął hamować. Zjechał z nasypu drogi, zatrzymał się. Z wozu wyskoczył mężczyzna w ciemnym ubraniu, z walizką w ręku. Skrył się pomiędzy drzewami rosnącego tam lasu.

- Zobaczył blokadę i ucieka - komentował starszy sierżant. - Myśli, że go nie zauważyli. Nas chyba nie widział.

Z przeciwnej strony słychać było ryk syreny i widać nadjeżdżający stamtąd radiowóz. Oba samochody zatrzymały się prawie jednocześnie przy wartburgu. Z warszawy wyskoczyło czterech mundurowych milicjantów.

- Tam uciekł - jeden z nich pokazywał majorowi kierunek, w którym zbiegł przestępca. - Ale nie ujdzie nam. To niewielki las. Znamy tu każde drzewo. Dalej ciągną się pola uprawne i stoją zabudowania chłopskie.

- Ja ze Szczepańskim - ofiarował się jeden z kaprali - pobiegniemy naokoło, skrajem lasu. Z obu stron zabiegniemy mu drogę, gdyby chciał uciekać w pole.

- Dobrze. A wy ze mną. Bartosik. Jak nadjedzie Sokół, niech jego ludzie także przeczesują las. Wy zostajecie tutaj. Pilnuj drogi, żeby nie próbował przeskoczyć na drugą stronę.

Kaczanowski wbiegł do lasu. Za nim dwaj milicjanci. Był to jeszcze dość młody las, ale ponieważ znajdował się blisko miejscowości letniskowej, jaką jest Wiązownia, więc gęstego poszycia nie było tu prawie wcale. We wszystkich kierunkach krzyżowały się różne ścieżki. Widoczność była stosunkowo duża.

Major przez jakieś dwieście metrów biegł prosto przed siebie. Rozumował, że w podobny sposób musiał postępować i przestępca, aby możliwie jak najdalej odbić się od drogi i nie być z niej widocznym. Potem oficer milicji zatrzymał się, nasłuchiwał i rozglądał wokoło. W pewnym momencie zdawało się Kaczanowskiemu, że jakiś cień szybko przeciął jedną ze ścieżek. Janusz ruszył w tamtym kierunku. Usłyszał głos jednego z otwockich milicjantów:

- Stój, bo strzelam!

Teraz majora wyraźnie dochodziły odgłosy przedzierania się przez krzaki. Coraz to trzasnęła łamana gałąź.

Oficer ruszył pędem w tamtym kierunku, usiłując przeciąć drogę uciekającemu.



Nagle zupełnie blisko huknął strzał. W pół minuty później Janusz Kaczanowski dotarł do małej polanki. Na jej skraju, pod krzakiem wysokiego jałowca, leżał człowiek w dziwnie skrzyśonej pozycji. Wyglądał strasznie. Samobójca strzelił sobie w usta. Obok jego prawej ręki leżał pistolet. Ostatnim ruchem, silniejszym niż sama śmierć, ten człowiek drugą ręką przyciskał do siebie brązową walizkę. Palce miał kurczowo zaciśnięte na jej rączce.

Sprawa walizki z milionami została zakończona. Pieniądze! Ileż dobrego można stworzyć przy ich pomocy. Ale i jaka wielka zabójcza moc w nich tkwi.

Major Janusz Kaczanowski powoli podszedł do samobójcy. Wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i przykrył na twarz dyrektora Wojciecha Strzelczyka.

„KB”